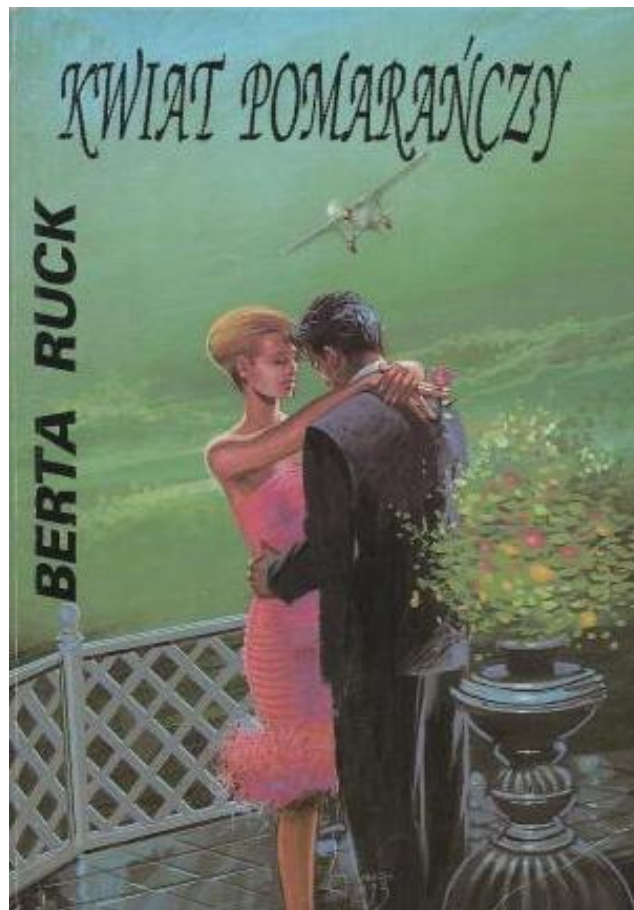




BERTA RUCK

Kwiat pomarańczy



Oficyna Wydawnicza
GRAPH MEDIA FILM
Gdańsk 1993

CZĘŚĆ PIERWSZA

I. KLASYCZNA DYSKUSJA I MIŁOŚĆ OD PIERWSZEGO WEJRZENIA

„Długie to będzie narzeczeństwo czy krótkie?” — takie zazwyczaj bywa pierwsze pytanie, a po nim następuje:

„Gdzie się poznali? Czy on jest dobrze sytuowany? A co robi?”

Jeżeli odpowiedź brzmi: „Narzeczeństwo będzie długie”, zdania zazwyczaj są podzielone, albo że „szkoda”, albo że „zazwyczaj tak bywa najlepiej”, albo też że „to nie sprawia żadnej różnicy”.

Zaręczone dziewczęta, co wy powiecie na ten temat?

Posłuchajcie historii Gwyneth Winifred Wynn (albo w" skrcie Posy), córki doktora, mającego zresztą dość dużą praktykę wśród górzystych okolic Walii. Właśnie jej narzeczeństwo miało trwać długo, a rozpoczęło się raptownie, w tempie po prostu zawrotnym. Pójdźmy śladem poszczególnych zdarzeń i, spoglądając z wyżyn jej uczucia, przyjrzyjmy się ich dobrym i złym stronom, których Posy, jako zbyt młoda i niedoświadczona, w „tłumie tych wydarzeń” zupełnie nie rozeznawała.

Niektóre zaręczone dziewczęta będą ganiły Posy, inne może przyznają jej słuszność.

Miłosna historia Posy rozpoczęła się wiosennego popołudnia — chłodnego zresztą i chwilami deszczowego — kiedy biegnąc wąską górską ścieżką w stronę domu, natknęła się nagle na leżącego bez życia młodzieńca, którego ujrzała u podnóża skały. Jego piękna twarz w obramowaniu gęstej czupryny, jego zamknięte oczy i delikatne rysy przypominały jej jednego z młodych uczestników wojny krzyżowej, leżącego na polu walki. Pierwszą myślą Posy było: „Cóż. za cudowny sen...”, a później dopiero nawiedziła ją myśl pełna przerażenia: „Nie żyje?”

Ale zaczekajmy. Należy rozpocząć od chwili, kiedy na godzinę przed tym zdarzeniem Posy siedziała na zebraniu sekcji haftu wiejskiego Instytutu Kobiet w Parish Hall.

Zarówno ona, jak i dwanaście innych członkiń siedziało pochylonych nad wielką kapą, która po skończeniu miała być przesłana do oceny do Narodowego Komitetu Rękodzielniczego w Walii.

Pracę przy wyszywaniu narzuty dopiero zaczęto. We wszystkie wtorki można było widzieć miejscowe panie zajęte haftowaniem wielkiego heraldycznego szkarłatnego Smoka Walii, który wspinał się aż do samego środka kapy. Niektóre były zajęte haftowaniem liter dobrze znanego walijskiego motta, inne znów wyszywały brzeg w oryginalne zielono-foiśłe desenie. Wszystkie członkinie (z wyjątkiem Posy Wynn i rudowłosej pomocnicy domowej od Ty Mawr), miały już ponad trzydzieści pięć lat i przeważnie były zamężne. „Okropne”, myślała Posy. Znała te wszystkie dobrotliwe, przeciętne, pełne i pomarszczone twarze (ich wygląd trudno było określić słowami) równie dobrze, jak znała własną delikatną, świeżą twarzyczkę, której często przyglądała się w lustrze. Znała każdy niemodny, zniszczony od deszczu kapelusz, każdy niezgrabny sweter, każdą nie dopasowaną spódnicę z ciemnej szarzy, tak samo dobrze, jak znała dokładnie wszystkie najdrobniejsze części własnej garderoby. Przeważnie orientowała się dokładnie, o czym członkinie tego dnia będą mówiły. Bo chociaż miss Arabella Jones, jedna z niezamężnych siostr możnego szlachcica (która zawsze twierdziła, że dobrze byłoby zajmować się czymś bardziej intelektualnym), zdecydowała się usiąść przy pulpicie pod tablicą i czytać głośno jedną z najpiękniejszych sztuk Mr Johna Galsworthy'ego, podczas gdy członkinie pracowały, kobiety jednak zawsze wolały gawędzić...

Tego popołudnia panie miały pełen zasób ostatnich nowinek. Żona rektora — również Jones — oznajmiła, że jej najmłodsza szwagierka, która opuściła wieś przed trzema laty, aby się nauczyć pielęgniarstwa, napisali właśnie wczoraj o swych zaręczynach.

— No!

(Klasa Instytutu Kobiet przyjęła tę wiadomość, jak lwica w ogrodzie zoologicznym odbierająca duży kawał mięsa, który dozorca wrzuca do klatki. Zazwyczaj lwica najpierw liże mięso, obwąchuje je, a dopiero potem połyka. Takie porównanie uczynił ojciec Posy, gdy dowiedział się, że o zaręczynach siostry Zofii Jones oznajmiono podczas zebrania sekcji haftu).

—A ten młodzieniec ma trochę pieniędzy, nie wie pani?

—Dokładnie nie mogę pani powiedzieć, ale przypuszczam, że ma niewiele! Z biednymi dziewczętami żenią się zawsze biedacy — zaśmiała się wesoło żona rektora. — Mężczyźni z pieniędzmi zawsze myślą tylko o tym, gdzie by znaleźć dziewczynę mającą okazały posąg!

—A czym się zajmuje?

—Jest młodym lekarzem, chirurgiem.

—Ach, naprawdę? Wobec tego nie można się niczemu dziwić. W szpitalach jest mnóstwo takich lekarzy, którzy przymierają głodem. Nikt ich nie zna lepiej ode mnie! — oświadczyła siostra Davis, miejscowa akuszerka, która była kłująca jak igła, podejrzliwa jak foksterier i przymilna jak łasica. — Gdzież pani szwagierka go poznała? (powtórzyło się zwykle walijskie pytanie: „Gdzie się poznali?”) W szpitalu?

—Wygląda to'tak, jakby go zebrała razem z kurzem na śmietniczkę, gdy sprzątała salę szpitalną — mruknęła impertynencko Posy do drobnej rudowłosej dziewczyny, wyszywającej tuż obok łapę czerwonego smoka.

Miss Jones z urzędu pocztowego zapytała:

—Czy to Walińczyk, pani Jones?

—Nie, miss Jones, on jest Anglikiem, pochodzi z Kentu, mam wrażenie.

—Ach, mój Boże... — a po chwili dodała weselej: — Miejmy nadzieję, że będzie z nim szczęśliwa!

Oczywiście zaraz potem nastąpiło zwykłe, nieuniknione pytanie: „Czy narzeczeństwo będzie długie?”

Gdy tylko pani Jones odpowiedziała, że nie wie, pani Pritchardowa Jones dorzuciła z zapalem:

—Szczęśliwa jest tylko taka para, która bierze ślub bez zbytej zwłoki. Ja mojego Ryszarda znałam dziesięć dni, zanim...

—Zanim się namyślił?

—Ach! O tym przynajmniej ja nic nie wiem. Chciałam powiedzieć, że znałam go dziesięć dni, zanim się namyśliłam!

—Boże święty, cóż za zgorzenie — jęknęła pani rektorowa Jones. — Uważam, że namyśliła się pani zbyt prędko, chociaż nie pochwalam również takiego narzeczeństwa, które wlecze się zbyt długo, bo nigdy z tego nic dobrego nie wychodzi!

—Co takiego? — szepnęła przerażona Posy Wynn. — Ach, już rozumiem: „W tym roku, w przyszłym roku, kiedyś...”

—Co nagle, to po diable, mówi przysłowie — wtrąciła pani Evans, sklepikarka z rogu głównej ulicy. — Zazwyczaj potem, gdy się już pobiorą, mają siebie dosyć i z miłości niewiele pozostaje!

—Lepiej, że później zdają sobie z tego sprawę niż nigdy — zaproponowała pani Jones z młyna. — Tak samo jak moja kuzynka Gwen Morgan: po wojnie pojechała do Kanady z eleganckim młodym człowiekiem, a gdy przyjechała do Winnipeg, dowiedziała się, że jej mąż był już przedtem żonaty od wielu lat! Okazało się, że był młodym wdowcem. Po tamtej żonie zostało pięcioro dzieci, którymi musiała się zaopiekować, a sama miała dopiero dwadzieścia lat!

—Mój Boże, jakie to straszne!

—„Żeń się spieszenie, a żałuj tylko w wolnych chwilach” — zacytowała miss Laura, najmłodsza niezamężna siostra bogatego szlachcica, która miała lat trzydzieści i coś, zajmowała się zawsze „cudzymi sprawami” i wyznała raz szczerze siostrze Davis, że co do małżeństwa, to przestała się już martwić.

—Zawsze jest niebezpiecznie, gdy ludzie pobierają się zbyt spieszenie — rzekła siostra Davis — bo przeważnie nie znają wzajemnie swych usposobień.

— A kiedy mogą się dokładnie poznać?

— Po roku na pewno.

— Myślę, że później. Długie narzeczeństwo często przyczynia się do uniknięcia wielu tragedii.

— Tak, weźmy chociażby te wojenne małżeństwa, kiedy to młodzi ludzie żenili się po dwutygodniowej znajomości!

Zresztą nie było się czemu dziwić, bo biedni chłopcy nigdy nie wiedzieli, jak długo jeszcze będą żyć — mówiła pani Pritchardowa Jones, obcinając koniec czerwonej nitki i spoglądając przeciągle ku oknu na mały wiejski pomnik wojenny, granitowy obelisk z wyrzeźbionymi na nim nazwiskami sześciu Jonesów, dwóch Evansów i niejakiego Williamsa, odznaczonego orderem Victoria Cross. — Takim rzeczom nigdy nie należy się dziwić.

—Ma pani słuszość. Najpiękniejszą historią miłosną na świecie jest historia Jakuba i Racheli — zadeklamowała miss Arabella z patosem. — Siedem lat Jakub ubiegał się o jej względy.

—Żeby później zwrócić swe afekty do jej rodzonej siostry — docięła pani rektorowa Jones, która bardzo często różnymi powiedzeniami nie przynosiła zaszczytu swojemu mężowi. — Czułe oczy musiała mieć ta siostrzyczka. Niejednokrotnie myślałam, że bardzo niemoralnie postąpił, gdy wówczas o świecie wyszedł, aby spojrzeć na nią.

Nastała krótka, pełna konsternacji cisza. Według ogólnej opinii pani Jones nie nadawała się absolutnie na żonę poważnego i szanowanego proboszcza.

—Potem biedny Jakub ubiegał się drugie siedem lat. Czternaście lat szukał odpowiedniej oblubienicy. Mój Boże! Mężczyźni w owych czasach musieli być jednak wierniejsi!

—Prawdziwy ideał — wtrąciła miss Arabella, podnosząc w górę głowę. — Powinniśmy podziwiać ten symbol męskiej wierności, cierpliwości i dobroci. Ten człowiek budował sobie dom powoli, jak ptak buduje gniazdo dla swojej samiczki.

—Ptaki — zaoponowała przyciszonym głosem miss Jones ze szkoły powszechnej, którą czasami nazywano „miss Jones, mój baranku” — nie potrzebują czternastu lat na zbudowanie gniazda.

Miss Arabella tymczasem ciągnęła dalej:

—Czy nie wiemy o tym, że te siedem lat ubiegania się o względy Racheli wydały się Jakubowi jedną chwilą, ze względu na uczucie, jakim darzył swą ukochaną?

—A czym one się wydały Racheli? — zapytała ironicznie żona rektora. — Co by dzisiejsza dziewczyna powiedziała, gdyby miała tak długo czekać? Mamy tutaj tylko dwie z młodszego pokolenia, które można o to zapytać. — Spojrzała na drobną rudowłosą pomocnicę domową. — Mary Margaret, jak byś się czuła, gdybyś była zaręczona siedem lat?

—Byłam już siedem lat zaręczona, proszę pani, ale oczywiście nie z jednym i tym samym chłopcem.

—A co pani na to powie, nasza mała miss Posy?

Posy Wynn, która nie wyglądała nawet na lat osiemnaście, drobna, ciemnowłosa, o rumianej twarzyczce, zaczerwieniła się jak szkarłatna róża. Najchętniej schowałaby się teraz pod rozpostartą haftowaną kapą. W głębi swego serduszka niejednokrotnie marzyła o miłości. Wyszywając w przyśpieszonym tempie, zdjęła nagle napałek z palca i wyszeptała, że musi już iść do domu.

—Ach, ale przedtem musimy usłyszeć, jakie ma pani zdanie na temat długiego i krótkiego narzeczeństwa.

—Nigdy o tym nie myślałam... Nie mam pojęcia— wybąkała Posy bezdźwięcznym głosikiem, który zawsze był jej bronią przeciwko atakom pań w średnim wieku. — Do widzenia! Muszę być wcześniej w domu...

—Chwileczkę. Tu jest dla pani matki ta lalka, której uszyłam sukienkę. Weźmie ją pani z sobą, droga Posy? Czy mogłaby ją pani nieść ostrożnie?

—O tak. Dziękuję. — Dziewczyna sięgnęła po dużą woskową lalkę w walijskim kostiumie i czarnym wysokim kapeluszu, w marszczonej pelerynce, w czerwonej sukni i w białym koronkowym fartuszku.

—Bardzo miłutko wygląda ta mała Posy Wynn — mruknęła pani Jones. — Taką ma dziecinną twarzyczkę! Trzymając tę lalkę na ręku, wygląda jak mała dziewczynka, która powinna się jeszcze bawić lalkami. A pomyśleć, że już jest dorosła, mogłaby właściwie wyjść za mąż i...

Posy wymknęła się, wołając Taffy'ego, długonogiego walijskiego teriera, który wyskoczył spod bramy, gdzie cały czas cierpliwie na nią czekał.

„Pocziwy Taffy! Pobiegniemy górską ścieżką i zapomnimy o tych wszystkich ludziach i o ich długich i krótkich narzeczeństwach. Im dłuższe narzeczeństwo, tym lepsze, skoro się już znajdzie kogoś, kto żywi dla człowieka jakieś uczucie” — myślała sprytna Posy, biegnąc lekko w swych tenisówkach piaszczystą ścieżką, która prowadziła aż do jej rodzinnego domu. — „Małżeństwo to znaczy prowadzenie gospodarstwa, babranie się przy kuchni, mycie naczyń i robienie gospodarskich rachunków. Wszystkie mężatki stają się ociężałe i trudno się potem domyślić, że taka kobieta była młoda i miała jakieś marzenia!” — Ruchliwa jak kozica Posy wskoczyła na skałkę, z której roztaczał się widok na kamieniołomy i poszarzałe stare ruiny druidyczne. — „Cudownie musi być, gdy się jest zaręczoną. Jak to przyjemnie spotkać kogoś, kto nas rozumie! Przebywać z nim zawsze, spacerować po lesie i ogrodzie... obserwować zachód słońca. I to tak tylko we dwoje, w oddaleniu od wszystkich ludzi. Ja bym nie chciała być krótko zaręczona ani też nie chciałabym, by moje narzeczeństwo, jak to mówią, trwało długo... Chciałabym być naręczoną na zawsze!” — A po chwili pesymistycznie: — „Może nigdy nie znajdę nikogo, kto by chciał się ze mną zaręczyć...”

— Ach... — zawołała nagle.

Bo w tej samej chwili dostrzegła „jego”, choć nie wiedziała jeszcze, że to będzie właśnie „on”...

*

Przyjrzyjmy się dokładnie krajobrazowi! Wiosenne niebo, delikatne chmurki nad dalekimi szczytami gór. Purpurowe zbocza górskie, zielone dolinki, nagie skały. U podnóża skał, na nierównej powierzchni gęstego mchu, tuż u stóp dziewczyny leżał skulony, nieprzytomny młody człowiek. Leżał bezradnie, w białej tenisowej koszuli, flanelowych spodniach i wysokich butach, wśród drob-

nych górskich kwiatków. Głowę miał odrzuconą, włosy potargane i oczy zamknięte.

Posy pomyślała: „Czyżby to był sen?”

Taffy podbiegłszy począł wachać i lizać policzek młodzieńca. Z rozchyłonych ust nieprzytomnego sączyła się wąska struga krwi. Najwidoczniej spadając ze skały pokaleczył sobie język aż do krwi.

— Nie żyje? — szepnęła Posy, przenosząc przerażony wzrok z leżącej na ziemi postaci w górę, na skałę, z której nieszczęśliwy najprawdopodobniej spadł. W następnej chwili usłyszała tuż nad sobą dźwięczny męski głos:

— Halo, dziecinko! Czy tędy można zejść na dół...

Ruda czupryna i twarz mężczyzny w sile wieku wyjrzała ku niej spoza występu skalnego. Potem ukazały się barczyste ramiona we włochatej chłopskiej kurtce. Windując się na szczyt skałki, nieznajomy miał ochotę skoczyć na dół.

— Stać! — zawołała Posy. — Niech pan na niego nie skacze! Tu leży ktoś zabity...

— Co takiego?

Zręcznym susem nieznajomy, który był dość otyły, wylądował na dole. Przykląkł nad nieprzytomnym młodzieńcem, przyłożył mu rękę do piersi, pokiwał głową, lekko uniosł leżącego i rozerwał mu przy szyi tenisową koszulę.

— Zabity? Nigdy w życiu! Najwyżej złamał sobie jakąś kość, chociaż i to jest bardzo wątpliwe. — Począł obmacywać troskliwie ręce i nogi nieprzytomnego. — Musiał się pośliznąć i prawdopodobnie uderzył się w głowę. Za chwilę odzyska przytomność. — Zdjął z siebie włochatą kurtkę i przykrył nią leżącego. — Niech mu będzie ciepło po takim wstrząsie — odezwał się z dziwnym akcentem, zupełnie obcym dla Posy, gdyż nie był to ani miejscowy walijski, ani też czysta angielszczyzna. Zanurzwszy dłoń w kieszeni kurtki, wydobyl manierkę, potrząsnął nią, potrząsnął swoją rudą czupryną, po czym wyciągnął srebrny kubek i zapytał: — Jest tu niedaleko woda?

Posy (upuściwszy lalkę, którą odruchowo przyciskała do piersi) pośpieszyła z kubkiem do strumyka płynącego w pobliżu. Ostrożnie przyniosła kubek napełniony zimną, czystą wodą. Leżący człowiek nie otworzył jeszcze oczu. Całkiem bezwiednie Posy poczęła się zastanawiać nad tym, czy miał niebieskie oczy. Uklękawszy przy nim, zanurzyła palce w wodzie i skropiła nią jego opalone skronie. Gęste brwi poruszyły się, uniosły się powieki i szare oczy spojrzały na Posy.

(Później opowiadał jej, że w owej chwili ujrzał najcudowniejszy widok. Wydała mu się piękna jak Julia, świeża jak wiosenny kwiat!)

Dziewczyna ostrożnie przytknęła kubek do jego ust. Pił chciwie, po czym zapytał:

—Gdzie jestem?

—Jesteś jeszcze ciągle z nami, George! — zadrwił rudowłosy, sympatyczny przyjaciel. — Ale spadłeś z wierzchołka skały i ta młoda dama myślała, żeś popełnił samobójstwo.

Mój Boże! Strasznie mi przykro, że panią przeraziłem — wyszeptał leżący na ziemi młodzieniec. Spojrzenie jego szarych oczu zagłębiało się coraz bardziej w aksamitnych, brązowych oczach Posy. Bo to wszystko, co się młodemu człowiekowi przytrafiło (oprócz tego nieszczęsnego upadku), przytrafiło się jednocześnie Posy — zdarzył się ten odwieczny, powtarzający się tak często cud miłości od pierwszego wejrzenia.

(Posy za pośrednictwem swego niewinnego młodego serca zanosila prośbę do nieba: „Niech to trwa! Niech to trwa wiecznie!”)

— Jak się teraz czujesz, George? — wtrącił rudowłosy przyjaciel. — Sądzisz, że będziesz mógł wstać?

— Naturalnie!

George („Cóż za cudowne imię”, pomyślała Posy.) usiadł, lecz gdy przy pomocy przyjaciela usiłował wstać, zachwiał się i upadł na trawę.

—Nieszczara — zmarszczył brwi. — Zdarzyło mi się to po raz pierwszy od pięciu lat, po tym nieszczęśliwym skoku w szkole. Cóż za trudności będziesz miał, Jeffreyu, gdy będziesz zmuszony biec do wsi i sprowadzać mi pomoc.

—Do naszego domu jest bliżej niż do wsi — oświadczyła Posy. — Ojciec jest lekarzem. Zaraz pobiegnę.

Dyszząc ciężko, wskoczyła na stopień rozklekotanego morrisa, którym ojciec wracał właśnie z wizyty u chorego. (Dr Wynn był brunetem o inteligentnej twarzy i dobrotliwym uśmiechu, który czasami stawał się sardoniczny). Posy opowiedziała mu o wypadku i ojciec skierowawszy morrisa na porośłą trawą ścieżkę w stronę skał, pytał ją o szczegóły tego nieszczęśliwego zdarzenia. Skonstatował złamanie kostki i zwichnięcie stawu kolanowego. Przy pomocy rudowłosego przyjaciela George'a przeniósł chorego do auta i przywiózł go do domu, Jeffrey tymczasem poszedł w towarzystwie Posy.

Dziewczyna szła jak we śnie, a jej towarzysz nie przestawał mówić. Na przestrzeni między kamieniołomami i boczną bramą białego domu doktora, opowie-

dział Posy mnóstwo o sobie i przyjacielu. Obydwaj studiowali w Oxfordzie i spędzali razem wielkanocne wakacje na pieszej wycieczce po walijskich górach. Powiedział jej, dokąd zamierzali się udać, że sam studiuje inżynierię, podczas gdy George Stirling pragnie uczyć w szkole w jakiejś nadmorskiej miejscowości, w której niedawno osiedlił się jego brat.

—Pan Stirling jest pańskim najserdeczniejszym przyjacielem? — zapytała Posy rudowłosego towarzysza. „Rudowłose jestestwo”, tak w myślach brzmiała opinia dziewczyny o intrygującym nieznanym.

—Najserdeczniejszy przyjaciel? Poczciwy George? Ja bym tego nie powiedział. Jesteśmy po prostu razem na uniwersytecie. Ja pochodzę z Pembroke i ciągle czytam Groupsa (którego prawdopodobnie nigdy nie skończę). Przyjaciel George'a już się z tym uporał i wkrótce ma się zaręczyć. Idiota, co? Podobno wyjeżdża do Brighton ze swą ukochaną i z jej rodzicami. Ponieważ byłem wolny, zaproponowałem George'owi, abyśmy zwiedzili kawałek kraju.

—Jest pan Amerykaninem?

—Oczywiście — odparł rudowłosy student. — Urodziłem się w Vermont. Matka była Austriaczką, a ojciec pochodził z księstwa Clare. Dobra mieszanina, siostrzyczko, co?

Posy, do której ten okrzyk był zwrócony, prawie wcale nie słuchała. Pragnęła znaleźć się w domu i wiedzieć, co ojciec w swym gabinecie robi jasnowłosemu Pięknemu Królewiczowi George'owi.

—Czemu się pani tak śpieszy, dziecinko?

—Dziecinko? A pan przypuszcza, że ile mam lat?

—Nigdy nie odgadywałem wieku kobiety, bo wygląd zawsze człowieka okłamuje — odpowiedział irlandzko-austriacki Amerykanin z uśmiechem. „Ta panienczka na pewno jest starsza, niż wygląda na pierwsze wejrzenie — pomyślał. — Z gołą głową, o dużych oczach, zarumieniona, w starym gumowym płaszczu objijającym się o kolana obciągnięte w bawełniane pończochy”. — Nie wiem, zresztą, czy to jest takie ważne. Ale proszę spojrzeć, co pani zostawiła na ziemi! — I pokazał Posy porzuconą walijską lalkę.

*

Tego wieczoru nieznanymi jedli kolację z rodziną Wynn, z matką i ojcem Posy, z jej siostrą i małym braciszkiem. O tych ostatnich czytelnicy wkrótce dowiedzą się czegoś więcej. To wszystko, o czym Posy myślała tego wieczoru i co wi-

działa, koncentrowało się na chorym nieznanym, złotowłosym i nieco bladym, który siedział z nogą wyciągniętą na szeszlunku, naprzeciw dziewczyny, tak że dzielił ich stół i co pewien czas musiała go okrążyć, aby podać młodzieńcowi talerz, musztardę, sól, kufel piwa, śmietanę, śliwki i kruche domowe ciasteczka.

Mimowolna zażyłość wzrastała między nimi po każdorazowym uśmiechniętym „dziękuję” ze strony gościa.

„Czy go przewiozą — myślała Posy z niepokojem — do wiejskiej oberży? Nie, przecież ojciec powiedział, że zawiezie go do powiatowego szpitala”...

W tej chwili w jadalni zabrzmiał głos ojca:

— Obawiam się, że będzie pan musiał zdecydować się na pozostanie co najmniej przez dwa tygodnie w naszym spokojnym zaciszu, George... Jakie jest pańskie nazwisko? Stir-ling... Jest pan krewnym George'a Stirlinga, który za moich czasów był w St. Ethelreda? Wojskowy lekarz, poległ pod Ypres. Jest pan jego bratankiem? — Ojciec zwrócił się do matki Posy. (O niej należy tylko powiedzieć, że powinna była zostać muzykiem i że czasami, gdy grała na harfie, zapominała o swych dzieciach, tak samo jak pielęgnując dzieci zapominała o harfie.) — Gwen, mogłabyś przygotować łóżko dla tego młodzieńca w którymś z pokojów na parterze, gdzie by zamieszkał, dopóki się nie wykuruje?

Dla bratanka dawnego szpitalnego przyjaciela ojca nie było powiatowego szpitala. Wszystko w domu Wynnów czekało teraz na rozkazy młodszego George'a Stirlinga.

Nazajutrz rudowłosy student wyjechał. Posy, zajęta w kuchni przygotowywaniem ciasta dla chorego, nie pożegnała się nawet z jego przyjacielem. Bez żalu rozstali się z nim wszyscy.

George Stirling pozostał, a po tygodniu Posy Wynn zdawało się, że nie istniał taki okres, kiedy nie była szczęśliwa i nie знаła młodzieńca.

(Zaręczone dziewczęta! Nie trzeba was chyba pytać o to, czy znacie takie uczucie?)

Teraz (kiedy matka miała zbyt wiele roboty w gospodarstwie, ojciec jeździł na wizyty, a siostra chodziła do koedukacyjnej szkoły) bieganie po sprawunki, podawanie jedzenia gościowi, przykutemu do fotela na werandzie Wynnów, było obowiązkiem Posy. Żadnej młodej, niedoświadczonej, romantycznej dziewczynie nie trzeba mówić, jak zrećźnie Posy spełniała swe obowiązki. Zmieniła dla niej swój wygląd zaciszna zielona walijska dolina, która niegdyś wydawała się jej taka szara jak więzienie.

—Trudno pomyśleć — zauważył George, patrząc na nią, gdy przyniosła mu herbatę — że nigdy nie była pani w Londynie.

—Mówi pan tak, jakby to było szczęście, a nie przykrość?

Niech pan pomyśli! Nigdy nie widziałam Opactwa Westminsterskiego ani Tower, ani księcia Walii... — żaliła się dziewczyna. — Nigdy nie byłam w teatrze ani na dansingu, ani w restauracji! Nigdy nie obserwowałam samochodów na Mail, z eleganckimi damami dworu jadącymi do pałacu Buckingham! Nigdy nie próbowałam szampana!

—Nigdy nie miała pani w ręku szklanki koktajlu ani też pomadki do ust. Wiadać to zresztą, Posy, gdy się spojrzy na pani twarzyczkę.

—Niech pan nie kpi ze mnie — prosiła dziewczyna, śmiejąc się z zawstydzeniem (wiedziała, że to był komplement!).

—Nigdy nie przyszło mi na myśl, że w obecnych czasach może istnieć taka dziewczyna, jak... — umilkł. Myślał o Mirandzie na odludnej wyspie, która nigdy nie widziała mężczyzny, dopóki królewicz Ferdynand nie wyłonił się z fal. Kilka książkowych bohaterek przypominało mu Posy Wynn...

—Przypuszczam, że wszystkie dziewczęta, które pan zna, piją martini podczas ubierania, malują sobie usta, palą papierosy, mknąc szybkimi autami po Piccadilly w drodze na plac wyścigowy?

—Co za cudowna wyobraźnia. Może niektóre są takie, szczególnie koleżanki przybyłe na studia do Oxfordu. Ale zostawmy je w spokoju — zawołał młodzieniec. Przeniósł spojrzenie z wiosennego górskiego krajobrazu, z zieleni pól, ze świeżego listowia, lśniącego jeszcze rosą i nieśmiałego jak pierwsza miłość, na zarumienioną twarz dziewczyny, po czym dorzucił z prostotą: — Widzi pani, pani jest tą jedyną dziewczyną, którą pragnąłem kiedyś w życiu poznać.

Milczała z radości!

Miejscowe plotkarki, jak sami przypuszczacie, dalekie były od milczenia. Omawiano gorączkowo „romans” u Wynnów między tym przyzwoicie wyglądającym młodzieńcem ze złamaną nogą i małą Posy.

Na następnym zebraniu sekcji haftu zapytano:

— jak długo zostanie u was ten gość, Posy?

— Dopóki ojciec nie orzeknie, że noga jest zupełnie w porządku. I tak już stracił pierwszą część semestru w Oxfordzie.

Parafialna akuszerka, którą powinno się nazywać „parafialną plotkarką”, rzucając zabójcze spojrzenie na Posy, zapytała:

—Nie będzie go pani brak, jak wyjedzie?

—Ach, absolutnie — odpowiedziała Posy obojętnie, haftując pośpiesznie białą kapę i mając takie uczucie, jakby Walijski Smok wszystkimi swymi czterema czerwonymi łapami chwycił ją za serce, gdy pomyślała o tym, co będzie po wyjeździe George'a Stirlinga.

*

Pewnego dnia opowiedziała mu legendę o skałach otaczających stare kamieniołomy, o miejscu, w którym się spotkali po raz pierwszy.

—Jeżeli ktoś o północy przed dniem pierwszego maja pójdzie tam w białej szacie, niosąc naczynie gorącego napoju, bosy, wolniutkim krokiem, mówiąc po walijsku: „Duchu Gór, spełń życzenie mego serca!”, wtedy Duch się ukazuje!

—Pogańskie, ale ciekawe powiedział George dziwnie „dorosłym” głosem. — Muszę przeczytać w Oxfordzie o mitach celtyckich. Jest tam mnóstwo podań ludowych, które charakteryzują sam naród, jego obyczaje i rozmaite cechy wspólne z innymi ludami.

Posy zainteresowała się, czy przypadkiem nie ma jeszcze czegoś ciekawszego o tych dawnych, starożytnych obyczajach.

— A przypuśćmy, że Duch Gór jest jakąś naturalną siłą, jak elektryczność albo radio — szepnęła, uważając tę teorię za bardzo oryginalną. — Przypuśćmy, że człowiek mógłby utrzymywać z nim kontakt na pewnej określonej długości fali! Czy wówczas wszystko to nie byłoby bardziej naturalne niż zwykła instalacja radiowa? Bo na przykład, George, gdyby naszym pradziadkom powiedział ktoś o radiu, na pewno by w nie nie uwierzyli. Wyobrazić sobie, że ktoś odkrył sposób wytwarzania naturalnej siły, która by spełniała ludzkie życzenia!

— W tym wypadku — powiedział George — chciałbym, żeby ta wiosna trwała wiecznie.

Posy pomyślała, że spełnienie takiego życzenia byłoby zbyt cudowne, aby mogło być prawdziwe, i spojrzała na mężczyznę leżącego na szezlongu, pytając:

—Chciałby pan?

—Tak. Warto byłoby stracić semestr w Oxfordzie, warto byłoby nie brać udziału w wielkich regatach dla zdobycia tej cudownej przyjaźni z panią, dla tych chwil spędzonych na miłych rozmowach. — Po chwili dorzucił: — Obecne wakacje są najprzyjemniejsze z tych wszystkich, jakie miałem w życiu.

—Bardzo się cieszę.

Milczenie dziewczyny w tej chwili mówiło wszystko. Poprzez nie George widział dokładnie młode serduszko Posy.

A potem nagle, wstydliwie, niezgrabnie, z tą niezgrabnością wzruszającą, bo niewinną, młodzieńczą, chłopiec dotknął ręki dziewczyny. Jego młody głos nieco drżał.

—Czy pani wie, w co ja wierzę, droga Posy? Wszystko jedno, jak długo będę żył, wszystko jedno, jakich poznam ludzi, wszystko jedno, co będę robił, czy będę podróżował, czy siedział na miejscu, nic już dla mnie nie będzie bardziej radosnego w życiu niż cudowna wiosna tego roku!

—Ani dla mnie — szepnęła Posy, trzymając ciągle rękę w jego dłoni. — Ani dla mnie...

George odchrząknął. Cóż miał zamiar teraz powiedzieć?

—George! — zawołał ojciec od drzwi swego gabinetu. — Mógłbym panu teraz zmienić opatrunek...

—Dobrze, sir — odparł George, wstał, sięgnął po grubą laskę, bez której nie mógł teraz się obyć i uśmiechnąwszy się na pożegnanie, zniknął w prowadzącym do gabinetu korytarzu.

Gdy wyszedł, stała się rzecz straszna. Okropna! Posy nagle uprzytomniła sobie, że ta gorąca, wzrastająca przyjaźń między nią i znikającym w korytarzu gościem nagle bez specjalnych powodów zmaląła i ostygła.

II. POGLĄD RODZICÓW NA TĘSKNOTĘ SERCA

Katastrofa! I właściwie bez powodu! Czyż George nie przyznał się, że ta przyjaźń jest nadzwyczajna? Dni i godziny stawały się coraz pełniejsze uroku, coraz droższe dla Posy, która coraz bardziej utwierdzała się w mniemaniu, że ona sama stawała się cenniejsza dla niego. Było to widoczne nie tylko w słowach, lecz w spojrzeniach, w ruchach, w całej atmosferze! Aż do tej chwili, kiedy wszedł do gabinetu chirurgicznego ojca. Wszedł stamtąd odmieniony. Całkiem obcy George Stirling. Nagle stał się daleki, taki inny, uprzejmie przyjazny, a poprzednio był przecież ciepły i intymny. Jego spojrzenie, które zawsze szukało jej wzroku, poczęło teraz go unikać lub też spoczywało na jej twarzy całkiem obojętnie. Przez następne dwa dni biedna Posy nie mogła zapytać George'a o przyczynę tej zmiany, bo nie miała okazji zetknąć się z nim pod nieobecność któregoś z członków rodziny. Ani słowa na ten temat nie mogła powiedzieć.

W swym boleśnie zranionym sercu zapytywała samą siebie: „Dlaczego? Co takiego zrobiłam, że George tak się oddalił? Ach, George! Przeżyliśmy taki cudowny okres, a teraz wszystko zostało zrujnowane. Pomyśl! Jesteś już prawie zupełnie zdrow i wkrótce stąd wyjedziesz. Czy masz sumienie wyjechać w ten sposób, podziękowawszy mi tylko grzecznie za przynoszenie maślanki z folwaraku, za cerowanie skarpetek, tak jakbym nigdy nie była twoją najdroższą przyjaciółką? Nie wytłumaczysz się z tego? Ach, ja tego wszystkiego nie zniosę”...

Ach, to bolesne cierpienie młodości, które Kipling nazywa „niepotrzebnym piekłem”. Ileż przykrości mogłaby sobie Posy zaoszczędzić, gdyby odgadła, co zaszło między jej ojcem i uwielbianym przez nią George'em w gabinecie chirurgicznym!

*

Właśnie to coś zdarzyło się po zmianie opatrunku.

—Jeżeli ma pan sekundę czasu, doktorze, chciałbym zamienić z panem kilka słów...

—Owszem, proszę bardzo, mój chłopcze. Niech pan mówi! Coś na temat finansów? — dłoń dr. Wynna spoczęła na portfelu, umieszczonym w kieszeni marynarki. „U chłopaka na pewno jest krucho z gotówką i chce pożyczyć pieniądze na podróż”.

—Ach, Boże drogi, skądże! — oburzył się George, gdyż należał do tych rzadko spotykanych młodzieńców, którzy zawsze skrupulatnie obliczają swoje

wydatki i nigdy nie żyją ponad stan. George mógł nie mieć pieniędzy, ale pożyczać od obcych ludzi — nigdy!

Wyprężywszy się na baczność, po chwili namysłu wybuchnął:

—Chciałem pomówić na temat pańskiej córki. Uważam, że w takich wypadkach popłaca tylko szczerłość i doszedłem do wniosku, że najpierw powinienem pomówić z panem. Chciałem zakomunikować panu, a mam nadzieję, że nie weźmie mi pan tego za złe... chciałem powiedzieć... że szanuję bardzo... Musiał pan chyba zauważyć mój niepomierny zachwyty... Wiem oczywiście... Doszedłem do wniosku, że skoro pan był przyjacielem mego stryja... — Zdania jakoś się nie kleiły. — Oczywiście nie powiedziałem ani słowa... Panu może wyda się to śmieszne, ale gdybym otrzymał od pana pozwolenie... Po prostu jest faktem, że jestem szalenie zakochany w Winnifredzie!

—W Winnifredzie? — doktor położył na stole fajkę, którą napychał tytoniem i spojrzał zdziwiony na młodzieńca. — Chyba pan nie ma na myśli Posy? O niej pan mówi? Przecież to jeszcze dziecko! Ileż ona ma, piętnaście — szesnaście...

—Powiedziała mi, że kończy osiemnaście dwudziestego trzeciego maja.

— A jeżeli nawet osiemnaście? A ileż pan ma, George? Blisko dwadzieścia dwa, czy tak? Istnieje tylko jedno, co mógłbym o was obojgu powiedzieć. Tworzycie bardzo miłą parę niemowląt!

Biedny młody George Stirling! Usiłował poważnie argumentować, lecz dr Wynn przy całej swej dobroduszości był nieustępliwy.

—Dwadzieścia dwa lata i uważa pan, że potrafi wybrać dziewczynę, z którą chciałby się pan związać na całe życie? Zmieni pan zdanie kilkanaście razy do dwudziestego ósmego roku życia. Przy odrobinie szczęścia pozna pan jeszcze ze sześć młodych kobiet, z którymi będzie miał ochotę się ożenić. — George, urodzony idealista, spojrzał na doktora zgorzony. — Tak, drogi panie — utwierdzał go w tym mniemaniu ojciec Posy, a całą tę przemowę zakończył dobitnym argumentem: — Ja też taki byłem!

—Nie wszyscy są jednakowi w podobnych wypadkach, doktorze. Proszę mi wierzyć, że jeżeli nawet przez dalszych jedenaście lat nie będę mógł się ożenić, takie samo uczucie zachowam dla Posy, jakie żywię dla niej dzisiaj.

—Mój drogi George, jestem przekonany, że mówi pan poważnie. Bardzo pana lubię i usposobiony jestem do pana jak najżyczliwiej, zresztą nic dziwnego, jest pan przecież bratankiem mego przyjaciela Stirlinga. Przyznaję, że przyzwoity z pana chłopak i jestem pewien, że zrobi pan w życiu karierę. Za jedena-

ście lat będę najszczęśliwszy z ludzi, jeśli mi wolno będzie przyjąć pana do rodziny.

—Przecież nie zamierzałem ożenić się natychmiast, sir. Również nie mam zamiaru zbyt prędko tego czynić. Chciałem pana tylko prosić o pozwolenie, abym mógł szczerze pomówić z Posy i abyśmy mogli się zaręczyć.

—Nie — odparł dr Wynn dziwnie obcesowo. — Nie wolno dziecku zaprzątać głowy takimi sprawami. — („Zaprzątać głowy!" Była tu mowa o kształtnej ciemnej główce Posy! Dziwaczny jest sposób myślenia rodziców!) — Proszę się dalej wytrwale uczyć, proszę brać udział w regatach i innych rozgrywkach oxfordzkich i proszę zapomnieć chociaż na rok o tego rodzaju zamiarach.

—Za rok będę miał dwadzieścia trzy lata...

TLR

—Wystarczający wiek na otrzymanie starszej emerytury — uśmiechnął się pobłażliwie dr Wynn.

—A Posy będzie miała prawie dziewiętnaście. Czy i wówczas nie będzie mi wolno nic jej na ten temat powiedzieć?

—Hm. Dobrze, jeżeli wtedy będzie pan miał na ten temat takie samo zdanie, pozwałam panu pomówić z nią o tym.

George westchnął z ulgą.

—Serdecznie dziękuję, sir. A... a czy będzie pan miał coś przeciwko temu, jeśli będę z nią korespondował?

—Chce pan korespondować z Posy? Może pan pisać, jeśli ma pan ochotę, chociaż pisanie przynosi niewiele korzyści. Ja osobiście niepotrzebnie w młodości zmarnowałem mnóstwo papieru na pisywanie listów do młodych kobiet — dr Wynn wybuchnął śmiechem. — Proszę pisać, jeśli to panu sprawia przyjemność, ale... — ostrzegawczo podniósł palec w górę. — Ale o niczym zbyt emocjonującym. Na to muszę mieć pańskie słowo, George.

Po tej rozmowie nastąpiła kolacja i zmartwienie Posy z powodu nagłej zmiany sytuacji. Przez następne dwa dni spod oka przyglądała się dowodom sztucznej przyjaźni George'a. Biedny George był także w duchu zmartwiony, ale przynajmniej znał przyczynę, gdy tymczasem Posy nie miała o niczym pojęcia.

Pewnego majowego wieczora o późnej godzinie nieszczęśliwa, mała zakochana dziewczynka postanowiła szukać ratunku w ostatecznym szaleństwie.

W domu Wynnów wszyscy chodzili wcześniej spać i o dziesiątej znajdowali się już w swoich pokojach. Owej majowej nocy młodsze rodzeństwo Posy spało od kilku godzin. Matka Posy była zmęczona, ojciec miał na noc nie wrócić do domu, gdyż młoda żona jednego z farmerów z sąsiedniej wsi spodziewała się dziecka i przysłała po dr. Wynnę. George pod pretekstem czytania książki udał się do swojego pokoju natychmiast po kolacji. Około trzech kwadransów na dwunastą Posy, mając wrażenie, że w całym domu tylko ona jedna czuwa, wymknęła się cichaczem z mieszkania. Na nogach miała krótkie skarpetki i tenisówki, a na nocną koszulę narzuciła gumowy płaszcz, spod którego wyglądała koszula, jak biała sukienka. Nie zapomniała o gorącym napoju w naczyniu, którego dawni poganie na pewno nie znali — naczyniem tym był zwykły termos. Ów termos sterczał teraz z płytkiej kieszeni nieprzemakalnego płaszcza. Wymknęła się cichutko i zamknąwszy za sobą ostrożnie frontowe drzwi, pobiegła waziutką ścieżką tuż za domem, kierując się w stronę druidycznych ruin.

— Nic się nie stanie — mówiła do siebie z upartym uśmiechem. — Oczywiście, że nic się nie stanie, ale trzeba się upewnić, jak się będę czuła, gdy będę wracać boso... A może Duch się ukáže? Daleka jestem od lęku. Potrafiłabym wówczas całkiem szczerze powiedzieć: „Moje serce tęskni do George'a, tęskni do tego, aby George był dla mnie znowu taki czuły!”

Potężne ruiny połyskiwały jak aluminium, gdy Posy zrzuciła płaszcz, skarpetki i tenisówki i stanęła w swej długiej, białej nocnej koszuli z bufiastymi rękawami. Potem wylała z termosu do małego kubka odrobinę doskonałej zupy z obiadu, którą wykradła z kuchni podczas podwieczorku. Ujęła kubek w obydwie dłonie, lecz tylko te dziewczęta, które próbowały już stąpać po nierównym i oślizgłym murze podczas księżycowej nocy, mogą się orientować, jak trudno było Posy utrzymać równowagę. W walijskim narzeczu powtórzyła trzykrotnie zaklęcie: „Duchu Gór”, aż wreszcie usłyszała szmer, który nie był ani jej własnym głosem, ani też krzykiem sowy dobiegającym z pobliskiego lasu. Drobne kamyki usuwały się spod jej stóp, krew zdawała się krzepnąć w żyłach.

„Nie wolno mi się obejrzeć — pomyślała przerażona. — Oglądać się nie wolno”. — Lecz obejrzała się w odpowiedzi na ten głos tak dobrze znany, głos najdroższy na świecie, który zawołał:

— Posy! Nie bój się!

— George! — zachwiała się.

Gdy tak stali, mógł być z powodzeniem Duchem Gór, gdyż poświata księżycy nadała jego blond włosom jasnosrebrny odcień i jego regularnym rysom marmurowy koloryt. Miał na sobie jasne flanelowe spodnie, a jego biały sweter z golfem wyglądał jak srebrna zbroja.

— Posy...

Stała, nieskalanie biała, w długiej nocnej koszuli, trzymając srebrny kubek w dłoniach. („Musiałam wyglądać jak lunaticzka!” — śmiała się później. „Wyglądałaś jak aniołek” — zapewniał ją George).

— Zaziebisz się! — zawołał George. Chwycił nieprzemakalny płaszcz i narzucił jej na ramiona. — Coś ty tu robiła, Posy? Wzywałaś Ducha Gór?

Zaczęła się jąkać:

— Ja... ja nie wierzyłam, że przyjdzie. — Oznajmiła to tak niepewnym głosem, że wesoło się zaśmiała. Śmieli się teraz razem i Posy już wiedziała, że aczkolwiek była między nimi ostatnio jakaś niewidzialna bariera, to jednak teraz pierzchło to bezpowrotnie. Znowu stał przed nią ten najdroższy, najczulszy przyjaciel, który powiedział coś takiego, za co mu Posy na wieki będzie wdzięczna.

„Wiesz, i ja z trudnością to przeżywałem! Istnieją rzeczy ważniejsze, niż się człowiekowi śniło... I to wszystko! Kłopotliwe było to, że nie wiedziałaś, co zrobić z tym gorącym napojem". Odebrał jej naczynie.

—Czy nie uważasz, że będzie lepiej, jak sami to wypijemy?

Podzielili się zupą, pijąc z przeciwnych stron naczynia.

Mimo woli stanowili cudowny obrazek, jakby ilustrację do starej walijskiej legendy. Posy miała sylwetkę prawdziwej księżniczki, a co do jej ukochanego — o tym później! Życie takie figle płała ludziom podobnym do George'a Stirlinga. Może z czasem to życie uczyni z niego pedantycznego nauczyciela? Może stanie się sławnym wioślarem? Wy wszyscy, którzy macie lat dwadzieścia, bądźcie pobłażliwi dla tych, którzy się stają ofiarami upływu lat! Nawet wy, najsympatyczniejsi, niedoświadczeni osiemnastoletni! Nawet wy, którzy wyglądacie jak kość słoniowa, którzy w dotyku macie miękkość jedwabiu i poruszacie się zręcznie jak lekko skaczące jaszczurki! Nawet was prawdopodobnie w przyszłości nieubłagany czas nie oszczędzi. Lecz cokolwiek życie uczynić ma w przyszłości z George'em Stirlingiem, we wspomnieniu o tej księżycowej nocy pozostanie on na zawsze wyśnionym ideałem młodej, niedoświadczonej dziewczyny. Tej nocy był on jeszcze bohaterem poetyckiego utworu Tennysona. (Autorka tej książki nie ma córki, lecz gdyby ją miała, życzyłaby sobie, aby George Stirling stanął na drodze córki i połączył swe życie z jej młodym życiem). Podczas tej księżycowej nocy George Stirling był uosobieniem męstwa i szlachetności. Po chwili zastanowienia zapytał:

— Naprawdę nie jest ci zimno, Posy?

— Jest mi strasznie gorąco. Mam na sobie mnóstwo ubrania pod tą białą koszulą. — Istotnie Posy miała na sobie komplet ciepłej bielizny, jakiś stary pulower brata i tweedową spódnicę.

Usiedli na mchu, wsparci plecami o skałę, z której przed niedawnym czasem George tak nieszczęśliwie spadł. Po chwili oświadczył:

— Słyszałem, jak skrzypnęła furтка ogrodowa...

—To ja wychodziłam, a byłam pewna, że zachowuję się cicho jak myszka!

—Właśnie, takie maluteńkie szmery są czasami o wiele głośniejsze, niż gdyby człowiek zatrzasnął mocno drzwi. Nie kładłem się do łóżka, nie mógłbym zasnąć. Wyglądałem przez okno i ujrzałem drobną figurkę w poświacie księżyca. Widziałem naczynie, które trzymałaś w ręku. Zorientowałem się, że nie wolno puszcząć cię samej o tej porze! Postanowiłem wyjść i śledzić cię. Nie masz do mnie żalu?

Posy nic nie powiedziała. Z jej piersi dobyło się radosne westchnienie.

— Posy, czy możesz mi powiedzieć, jakie było pragnienie twego serca?

Posy bąknęła: — Nie.

Cisza przenikniona była srebrzystym światłem księżyca i zgodnym biciem dwojga młodych serc. Żaden inny szmer nie dobiegał do ich uszu, dopóki Posy nie zapytała szeptem:

— Czy możesz mi powiedzieć, co to było podczas ostatnich dwóch dni?

Potrząsnął swoją piękną głową.

— Nie wolno mi tego mówić.

Lecz w świetle księżyca patrzyli na siebie. To wystarczyło. Spojrzenie to powiedziało mu, jakie było pragnienie jej serca, powiedziało jej, że przyczyna zmiany jego zachowania nie była znacząca. On ma na własność jej głębokie uczucie, tak samo jak ona może być pewna jego miłości. Może to długie, wymowne spojrzenie, bez dotknięcia, bez szeptu, tam, na pokrytym kropelkami rosy zboczu góry, za starymi ruinami druidów, w tę wilgotną księżycową majową noc, miało to samo znaczenie, co prawdziwe zaręczyny. Nie wzdychali, nie poruszali się, nie słyszeli nic, nie widzieli, tylko ich młode dusze...

Oboje niczego nie byli świadomi, dopóki nie usłyszeli tuż przy sobie rozkazującego głosu, który zawołał:

— Winnifreda? George Stirling? Co to wszystko ma znaczyć?

Był to głos dr. Wynna, wracającego wcześniej, niż się spodziewano, od żony farmera, która urodziła maleństwo bez żadnych komplikacji. Była teraz przy niej matka, dzięki czemu doktor mógł wrócić razem z powiatową akuszerką (niestety, ta akuszerka!), która mu przez cały czas asystowała przy chorej. Jechali bliższą drogą, aż dotarli do zbocza, na którym ujrzeni dwie zjawiskowe postacie. Jasne księżycowe promienie padły w pewnej chwili na obie młode, uduchowione twarze.

— Boże drogi, doktorze! — zawołała siostra Davis. — Proszę spojrzeć w tamtą stronę! — Nie ulegało już wątpliwości, że na zboczu siedziała rodzona córka doktora w towarzystwie młodego Stirlinga.

Jeszcze to wszystko nie miałooby specjalnego znaczenia, jak później oświadczył ojciec, gdyby ktoś inny przypadkiem ujrzał tę parę lunatyków. Ale siostra Davis, ta arcyplotkarka! Ta sprawczyni nieszczęścia! Ona właśnie sprowadziła te tragiczne skutki.

W jasnym świetle księżycy na zboczu góry ukazały się dwa gigantyczne czarne cienie. Dwoje młodych zerwało się na równe nogi. („Winnifreda! George Stirling!”)

Spod nastawionej budy auta ukazał się zaciekawiony profil akuszerki. Promień księżycy padł na termos, na srebrny kubek, z którego jeszcze unosiła się wąska smuga pary.

— Śliczna pora na urządzenie pikniku — uśmiechnęła się ironicznie siostra Davis. Nie było najmniejszej nadziei, że ta plotkarka zatrzyma całą przygodę dla siebie, że ewentualnie, roznosząc ją po okolicy, nie zechce dodać czegoś w rodzaju: „ta mała Posy Wynn przez całą noc włączyła się z tym młodzieńcem!” Twarz dr. Wynna miała surowy wyraz.

— Tato! — jęknęła Posy. — To wszystko nie ma nic wspólnego z George'em...

— Doktorze! Moja obecność tutaj nie ma nic wspólnego z Posy...

— Istotnie? — szepnęła siostra Davis półgłosem. — A ona gotowa śmiertelnie się przeziębic w tej nocnej koszuli!

— To moja biała sukienka! Wysłałam sama, aby zobaczyć... Proszę się nie śmiać! Aby zobaczyć Ducha Gór i dlatego ubrałam się na białe. Ale proszę spojrzeć! — Posy uniosła nocną koszulę, pokazując ciemny sweter brata i tweedową spódnicę. Młody George Stirling już ją wyprzedził.

— Sir, pozwoli pan, że wytłumaczę?...

— Proszę bardzo — mruknął ojciec, spoglądając na siostrę Davis, która patrzyła na George'a, a on przeszywał ją wzrokiem z wyraźną nienawiścią.

Cokolwiek czas, ten nieubłagany władca wszystkich dusz, zamierza uczynić z George'em Stirlingiem, jakiegokolwiek piętno pragnie wycisnąć na jego młodym życiu, to tej nocy mężczyzna, kierowany czystym, szlachetnym uczuciem, działał spieszenie i bez zastanowienia.

Zdecydowanie wystąpił naprzód i rzekł:

— Mam wrażenie, że ze względu na okoliczności... — zwrócił się przyciszonym głosem do ojca i słowa, które wypowiadał, mogła teraz uchwycić tylko Posy. — Doktorze! Nie uważa pan, że lepiej będzie wytłumaczyć, że jestem... że należę do rodziny?

— Słusznie — odpowiedział krótko ojciec. — Przypuszczam, że tak będzie najlepiej. I mnie to przyszło na myśl.

Tak. Dr Wynn widział tylko to jedno wyjście. Miejscowa plotka spali na panewce, jak to się mówi, i powiatowa akuszerka zapomni może o tym, co widziała

na zboczu góry w księżycową majową noc. W każdym razie nie będzie takiego skandalu, jeżeli się okaże, że mężczyzna towarzyszący małej Posy Wynn jest jej oficjalnym narzeczonym.

—Siostrze Davis — rzekł ceremonialnie ojciec Posy i uczynił to z taką godnością, że niemal każdą wypowiedaną przez siebie sylabę zdawało się powtarzać echo w druidycznych ruinach. — Mam wrażenie, że nie zna pani pana George'a Stirlinga, mego przyszłego zięcia? Pan Stirling jest zaręczony z Posy.

—Naprawdę? — wyszeptła Posy, lecz na szczęście nikt tego nie dosłyszał.

—Boże święty, doktorze, co pan mówi? — zawołała w podnieceniu siostra Davis. — Tak! Nigdy bym nie przypuszczała! Właśnie się dziwiłam! — I w przystępie zdziwienia poczciwa kobieta zupełnie zapomniała zadać stereotypowe pytanie:

„A czy narzeczeństwo będzie długie?”

TLR

III. PIERWSZE POCAŁUNKI I PIERWSZE LISTY MIŁOSNE

Po tej bohaterskiej nocy życie dla Posy Wynn, córki doktora, stało się niewyczerpaną serią problemów — pełnych podniecenia, niepokoju — i docinków ze strony całej okolicy.

Jakby wyłaniający się z różanej mgły, w przerwach między jedzeniem, obowiązkami domowymi i przyjmowaniem starych przyjaciół, słyszała Posy dziwnie nieprzytomny dziewczęcy głos (swój własny!) udzielający odpowiedzi.

Tak! To prawda, że była zaręczona z tym młodym Mr Stirlingiem, którego leczył jej ojciec. (Bardzo się cieszę, że się państwu podoba. Przystojny? Owszem, niczego). Nie! To nieprawda, że ojciec Posy udaremnił jej ucieczkę z Mr Stirlingiem, gdy się wybierali wśród nocy za góry do sławetnej kuźni w Gretna Green. (Była to jedna z wielu opowieści krążących od pewnego czasu. Każdy, kto choć przez jakiś czas mieszkał w podobnej plotkarskiej parani, może sobie z łatwością wyobrazić te wszystkie opowiadania, którymi się dzielono, na temat niewinnej nocnej eskapady). Tak. To była istotnie tak zwana miłość od pierwszego wejrzenia. Czy rodzice Posy są zadowoleni z zaręczyn? Oczywiście! Z początku nie chcieli oficjalnych zaręczyn, ale teraz już się z tym pogodzili. Owszem, przyzwyczaili się już do George'a! Nie taki on zresztą straszny. Ma lat dwadzieścia dwa. Zamierza zostać nauczycielem. Jego rodzice nie żyją.

Nie! Posy nigdy nie martwiła się o to, jaka będzie jej teściowa. Starszy brat George'a, Harold Stirling, założył właśnie przygotowawczą szkołę na Południowym Wybrzeżu i zamierzą tam później ściągnąć swego brata jako siłę pomocniczą. Ach, jeszcze nie! George musi najpierw zdać egzamin. Za trzy dni wyjeżdża znowu do Oxfordu.

*

Podczas następnych trzech dni widywano George'a Stirlinga spacerującego po drogach i wiejskich ścieżkach, wędrującego po okolicznych górach w towarzystwie Posy Wynn, a cała parafia obserwowała młodą parę z czułością szepcząc:
—Co za cudownie dobrana para!

—Zupełnie jak Romeo i Julia!

—Przypominają Pawła i Wirginię!

— Para kompletnych niemowląt — mrucał ojciec Posy. — Założyłbym się, że ta cała historia nie będzie trwać długo. Przyjemnie jest jednak patrzeć na małą Posy tak bardzo szczęśliwą.

Matka Posy mówiła:

— Ona patrzy na niego jak na królewicza z bajki. Ale jej twarzyczka ma taki sam rozmarzony wyraz słodczy jak przedtem, nim jeszcze George się tu zjawił!

— A chciałabyś, żeby jak wyglądała? — pytał ojciec Posy.

— Myślałam, że zbudzi się nagle pod wpływem pierwszych pocałunków.

Matka Posy nie wiedziała nic o scenie pierwszego pocałunku, jaka się rozegrała między królewiczem z bajki w tweedowych spodniach i w pulowerze, i jego śpiącą królową w zwykłym wełnianym swetrze! Najpierw zapytał nieśmiało: „Czy mogę cię pocałować, Posy?” Była przecież taka wstydliva, czego nigdy nie zauważył u londyńskich dziewcząt, nawet młodszych od niej. Odetchnęła głęboko i obejrzała się lękliwie. Znajdowali się wśród gęstych krzewów, w małym ogródku od strony kuchni. „Nie tutaj”, zaprotestowała. „Tu są okna szkolnego pokoju! Kit i Morwenna Jones z rektoratu właśnie odrabiają lekcje!” Zaręczona para umknęła dalej, między pagórki, na tyły mieszkalnego domu. Pod osłoną druidycznych ruin George nalegał: „Ani żywej duszy na przestrzeni kilku mil. Tylko kilka pasących się krów i tamte”... wskazał miejsce nieco wyżej, gdzie znajdowały się dwa myszołowy, nie większe od małych punkcików. „Czy mogę cię teraz pocałować, Posy?”

-Owszem, jeżeli chcesz”, odpowiedziała Posy po chwili wahania. Była zbyt młoda, aby wiedzieć, czym jest prawdziwa pieśczota.

Mimo woli cofnęła się kilka kroków na miękkim mchu. Odwróciła młodą twarzyczkę i uniosła usteczka jak rozwinięty kwiat róży. Była pewna, że na ten pierwszy raz George zadowoli się lekkim dotknięciem jej policzka. George wiedział, że była wciąż jeszcze bardzo zawstydzona, że jej pierś falowała lękliwie pod szkolnym dziewczęcym swetrem.

Może inny mężczyzna właśnie dlatego chwyciłby ją w objęcia, usiłując wśród pieśczot rozbawić i doprowadzić do śmiechu. Jak by Posy na to zareagowała?

Jeszcze inny może by prosił, żebrał nawet. Jak by Posy przyjęła taką pieśczotę?

Znalazłby się taki, który by ją tyranizował, uzewnętrzniał całą swą namiętność, pragnął ją posiadać. Ta ostatnia metoda na pewno przyniosłaby najlepsze rezultaty, lecz jak odebrałaby to Posy?

Zaręczone dziewczęta, co wy o tym myślicie? Czy takie rzeczy mogą coś w człowieku zmienić? W każdym razie żadna z tych metod zdobywania nie wywarłaby na dziewczynie pożądanego wrażenia. George Stirling w swej młodszej rycerskości tym razem ucałował tylko drobne dłonie dziewczyny.

Niesamowicie szybko minęły te trzy dni. Parafia nadal zadawała pytania, pytania gorączkowe, pełne niepokoju:

„Długie będzie narzeczeństwo?”

— Nasze? Przypuszczam, że tak. Nie mamy zamiaru jeszcze się pobierać. W tym roku, w przyszłym, może kiedyś — tłumaczyła cierpliwie Posy. — Ach, tak, nasze narzeczeństwo będzie bardzo długie.

Jak często musiała to wszystko powtarzać?

Jak często słyszała odpowiedzi ze strony parafialnych matron i starych pań: „Zawsze lepiej, żeby nie trwało zbyt długo, chociaż ja osobiście mam duże zaufanie do długich narzeczeństw. Daje to młodym ludziom możliwość lepszego

poznania się. Dziewczyna powinna rozkoszować się swą młodością, zamiast wychodzić za mąż przed dwudziestym rokiem życia! W wieku Posy nie ma się co śpieszyć. Przecież w domu jest jej bardzo dobrze, więc czego więcej potrzeba?"

— Nie — szepnęła Posy, zbudzona z cudownego fantastycznego marzenia, które ostatnio nawiedzało ją coraz częściej.

Najserdeczniejsza przyjaciółka Posy, Gladys, córka rektora, rozumowała:

—Widzisz, a ja chciałam już sobie sprawić elegancką suknię, żeby mogła w niej wystąpić jako twoja drużna! Sądziłam, że pan Stirling zechce wziąć ślub jeszcze tego lata!

—Tego lata? Wszystko by się popsuło — zaprotestowała Posy. — Najcudowniejszy okres miałabym zamieniać na prowadzenie gospodarstwa i robienie domowych rachunków?

To wszystko przecież doprowadziło mamę do siwizny i z tej przyczyny właśnie wszystkie zameżne kobiety stają się takie ocieężałe! (Pewno jeszcze i dlatego, że żadna z nich nie ma za męża George'a). Strasznie przyjemnie być narzeczoną i chciałabym, żeby to trwało wiecznie

—Wobec tego zaczekacie pewnie jeszcze rok — szepnęła ze smutkiem przyjaciółka. — Jestem ciekawa, czy zawsze będziesz z tego taka zadowolona?

—Naturalnie!

—Ach.

*

Gdy George wyjechał do Oxfordu, dla Posy Wynn rozpoczął się okres nieustannego pisanie listów.

— Boże święty, jak ci młodzi mogą wylewać wszystkie swoje uczucia na papier? — dziwił się ojciec Posy (a przecież sam kiedyś oświadczył, że zmarnował mnóstwo czasu na pisanie listów do jednej z młodych kobiet). Z pobłażliwym uśmiechem obserwował przybywające i odchodzące potężnie wypchane koperty.

George Stirling pisał listy dziwną metodą. Składał wzdłuż zwykły arkusz papieru i pisał na wąskich szpaltach, jakby to były szpalty gazetowe. Posy przeciwnie, dziecięcym, niewyrobionym charakterem pisma kreśliła kartkę za kartką po obydwu stronach.

George Stirling pisał:

Jesteś pierwszą osobą, do której w ogóle w swoim życiu piszę. Często, gdy siedzę w moim pokoju, mając przed sobą Twoje powiększone zdjęcie, stojące w ramce na biurku, mam takie uczucie, jakbyś była tu przy mnie i jakbym mógł z Tobą przez całą noc rozmawiać, moja Ty najukochańsza...

Najserdeczniejsza przyjaciółka Posy, Gladys, córka rektora, bawiła właśnie u Wynnów pewnego popołudnia, gdy przyniesiono Posy jedną z potężnie wypchnych kopert.

— Muszę ci to na głos przeczytać — postanowiła Posy.

Gladys, która nigdy w życiu nie otrzymała jeszcze miłosnego listu, otworzyła szeroko oczy, gdy Posy swoim dźwięcznym poważnym głosikiem czytała:

Lubię myśleć o Twoich listach, które wrzucasz do czerwonej skrzynki pocztowej i które giną w jej głębi. Jest to taki staroświecki wiktoriański przeżytek i często żałuję, że oboje nie urodziliśmy się o kilka pokoleń wcześniej. Niektórzy koledzy w Oxfordzie kpią sobie z okresu wiktoriańskiego. Dlaczego? Przecież mimo wszystko był to wiek literackich geniuszów...

Kilka stron było poświęconych tym literackim geniuszom. Posy czytała. Wyraz dezaprobaty zamajaczył na dziewczęcej twarzy cierplivej słuchaczki.

Wiek dziewiętnasty był wiekiem idealnie szczęśliwych małżeństw. Przypomnij sobie Gladstonów, Browningów. Pomyśl o królowej Wiktorii i o księciu małżonku. Wszyscy oni osiągnęli to coś, czego nowocześni zakochani nie mogą absolutnie odnaleźć.

— Co na przykład? — pragnęła się dowiedzieć przyjaciółka.

Miłość została napiętnowana gorączką, pośpiechem i materializmem nowoczesnego świata. Niektórzy najbardziej mili koledzy, którzy są tu ze mną, hołdują bóstwu szybkości i ich największym marzeniem jest posiadanie sportowego samochodu. Weźmy chociażby Jeffreya O'Briena, kolegę, który podróżował ze mną i który był świadkiem owego wypadku, kiedyśmy się pierwszy raz spotkali. Wpadłem na niego zeszłej środy na wybrzeżu przy barkach. Jeffrey ostatnio dużo wiośluje, lecz wątpię, czy kiedykolwiek będzie zwycięzcą. Przynajmniej nie może nic stracić na wadze, a poza tym do tego sportu zupełnie się nie nadaje. Za dużo zresztą ma przyjaciół, za dużo tańczy. Namawiał mnie, abym poszedł z nim na herbatę do pewnych państwa nazwiskiem Armstrong, których syn studiuje razem z nim. Powiadam Ci, dom mają cudowny. Obszerny ogród, przez który przepływa

rzeka. Sami gospodarze bardzo gościnni, mają córkę, która mi się zresztą wcale nie podoba. Cała rodzina wyznaje poglądy militarystyczne, zawzięcie gra w tenisa i uprawia wszelkie sporty. Jednym słowem, zupełnie inne typy ludzi, kochanie. Tak przynajmniej oświadczył Jeffrey. A propos, pytał o Ciebie, lecz było to podczas takiego gwaru, że wątpię, czy dostyszał moją odpowiedź. Układa plany na jakąś nową wycieczkę. W ogóle kieruje się dewizą, że życie jest po to, aby coś robić i aby oglądać świat. Na ogół wszystko mu jedno, co się zwiedza, grunt, żeby zwiedzać.

Należy do tych ludzi, którzy nie mogą usiedzieć na miejscu...

—Zupełnie się zgadzam z tym Jeffreyem O'Brienem — wtrąciła przyjaciółka. — Jak on wygląda?

—Ach, nawet nie zwróciłam na to uwagi. Taki sobie rudzielec. Ale jakie masz zdanie o liście George'a?

—Mam ci powiedzieć szczerze? Uważam, że jest okropny — oświadczyła nielitościwa Gladys.

Posy utkwiała w jej twarzy spojrzenie swych szeroko rozwartych zdziwionych oczu.

— Straszny?

—Tak, zupełnie jakby to było wypracowanie szkolne. Gdybym ja miała wielbiciela, nie zniosłabym tego, żeby marnował czas i papier na wypisywanie bzdur o wiktoriańskich geniuszach! Chciałabym, aby cały list był tylko zdaniami pełnymi miłości. Chyba każda zaręczona dziewczyna podzielałaby mój pogląd? Nienawidzę nowoczesności. Jeżeli miałyby pisać takie listy, to przecież lepiej, żeby zamiast listów sam wpadł do mnie choć na chwilę!

—Ach — westchnęła z żalem Posy — bo ty tego wszystkiego nie rozumiesz.

Życie Posy było teraz jednym długim wyczekiwaniem letnich wakacji.

— Będzie pani miała swego narzeczonego przez całe trzy miesiące, prawda? — zapytywano ją w parani.

Posy odpowiadała cierpliwie:

—Będzie tutaj niecałe trzy miesiące. Przy końcu wakacji ma ważne egzaminy. Połowę wolnego czasu spędzi w Kornwalii, a resztę z nami.

—Bardzo słusznie ze strony George'a — mówił ojciec Posy. — Najlepszy dowód, że nie jest młokosem, bo zamiast całe wakacje spędzić ze swą ukochaną,

będzie pracował w Kornwalii, aby jak najprędzej skończyć studia. Wątpię, czy ja bym się zdobył na takie bohaterstwo, gdybym był w jego wieku.

George istotnie pracował. Błady i wyczerpany, lecz po chłopięcemu radosny, przyjechał do Posy, aby spędzić z nią drugą połowę wakacji. W górach było już późne lato, lecz dla młodej pary dookoła panowała wiosna.

I znowu życie Posy przemieniło się w nieustanne spacerowanie, w nie kończące się rozmowy z George'em. Znowu parana obserwowała dobraną parę, błąkającą się całymi dniami po okolicy. Narzeczony Posy był typowym Anglosasem, przystojnym, o regularnych rysach. Nikogo nie zdziwiła tajemnica jego przeszłości, która nieoczekiwanie wyszła na jaw — a mianowicie, że jako dziesięcioletni chłopiec pozował do pewnego sławnego obrazu, znajdującego się w Akademii. Przedstawiał tam jednego z niewolników na rzymskim placu targowym. Z obnażoną głową, z czupryną opadającą na czoło, George, jak zwykle w szarych flanelowych spodniach i wzorzystym pulowerze, spacerował całymi dniami pod rękę z uradowaną Posą, która wyglądała teraz jeszcze młodziej niż w zeszłym roku. A przecież skończyła już osiemnaście lat! — Teraz są najspokojniejsze dni! mówił do niej George uśmiechając się czule i sprawiali wrażenie tej mitycznej pary kochanków, których bogowie przeobrazili w ptaki morskie i dla których uczynili niebo bezchmurne, a fale morskie spokojne, nie znające burzy.

Tak, sierpień był wyjątkowo piękny w tym roku.

Tylko matka Posy podziwiała:

— Czy Posy, która zawsze była takim niesfornym dzieckiem, będzie już teraz taka spokojna i opanowana?

A parafialna akuszerka przyszła specjalnie na herbatę, aby się dowiedzieć, czy miss Posy i szanowny Mr Stirling nigdy się z sobą nie kłócą.

„Niepoprawna stara panna! — myślała z niechęcią Posy. Była zbyt młoda, aby się orientować w złości siostry Davis, która aczkolwiek dość przystojna, nigdy nie przeżyła w swym życiu żadnego romansu. — Dlaczego u diabła mamy się kłócić”?

— Zakochani zawsze się kłócą, żeby potem się przeproszać i mieć pretekst do pocałunków.

Bardzo głupia metoda — oświadczyła Posy, odrzucając dumnie główkę. Była niezadowolona, że parafialna akuszerka wspomniała o pocałunkach. Właśnie w tym okresie Posy doszła do wniosku, że pieszczoty George'a były wyjątkowo subtelne, bo całował ją w policzek na dzień dobry i dobranoc tak delikatnie, jakby się czegoś lękał, a gdy zostawali sami, ośmielał się tylko całować ręce Posy,

które były wyjątkowo drobne i wyjątkowo ładne. Aby mieć pojęcie o tych pieszczotach, należy sobie wyobrazić pogodne kwietniowe niebo, świeżo rozkwitłe pączki na drzewach, pierwszą upojną pieśń skowronka, nieśmiało wychylające się główki wiosennych kwiatów, delikatne płatki śniegu, złociste jaskry wśród gęstej trawy. Taki charakter miała idylla miłosna małej Posy.

—Kłócić się? — śmiał się później George. — Czy mogłoby cię coś skłonić do kłótni ze mną?

—Byłoby to możliwe tylko wtedy — odparła rezolutnie Posy — gdybym była o ciebie zazdrosna!

—Nigdy nie będziesz, moja najdroższa! Jesteś pierwszą dziewczyną, którą w życiu pocałowałem — znowu pochylił się nad jej ciemną główką i ucałował małą opaloną rączkę. — Mam nadzieję, że będziesz ostatnia! Co tak złego musiałbym zrobić, aby zasłużyć na gniew twoich cudownych oczu?

—Ja nie jestem wcale taka idealna — zaprotestowała Posy z całą świadomością. — Ach, George, nim się zjawiłeś, byłam w ogóle okropna! Czy wiesz o tym? Uważałam mój dom rodzinny za więzienie! Zdobywałam się na cierpliwość i jednocześnie żywiłam nienawiść do całej tutejszej przyrody, a tylko dlatego, że jej nie znałam. Ale teraz doszłam do wniosku, że nie ma na świecie chyba nic piękniejszego.

—Daj spokój! Przypisujesz mi takie zasługi, jakich zupełnie nie mam, skarbie. — (Teraz zawsze nazywał ją w ten sposób). — W każdym razie chciałbym, żebyś i poza Walią coś jeszcze zobaczyła. Wszystkie piękne rzeczy na świecie musimy zwiedzać razem. Może by tak zacząć od Szwajcarii? A później Włochy, Wenecja, Florencja, Siena... Ach, kochanie, pomyśl o tych wszystkich cudach. Kiedyś, kiedyś...

—Chętnie zgodziłabym się, gdyby to miało nastąpić nawet w przyszłym roku — powiedziała Posy. — Ojciec wybiera się do Londynu na zjazd dawnych studentów i zamierza odwiedzić cię w Oxfordzie. Nic o tym nie wiesz, George! Powiedział, że mnie zabierze z sobą.

—Skarbie! I tak długo tałaś to przede mną? Jak to cudownie, że będę cię mógł wszędzie oprowadzić! Zamieszkać razem ze Smithem. Całymi dniami będę przy tobie! Przedstawię ci wszystkich moich kolegów i znajomych, byś mogła się zorientować, z kim przebywam, gdy nie jesteśmy razem. Oxford! Boko będzie mieć cię tam przy sobie!

Pierwsza sprzeczka narzeczonych wydarzyła się podczas wizyty Wynnów w Oxfordzie, w tym mieście, o którym Postak marzyła.

IV. PIERWSZA ZAZDROŚĆ

Oxford! Dla pewnego angielskiego poety była to „oaza życia”, dla realistów jest to miejscowość, w której można się napić dobrego prawdziwego piwa, dla idealistów Oxford pozostał na zawsze siedliskiem nauki, a dla Posy Wynn, jak zresztą dla wielu marzycielskich dziewcząt, było to miejsce, w którym królował jej rycerz.

Posy nie mogła się doczekać tego cudownego, zapowiedzianego od dawna wyjazdu. Miał on dla niej podwójny urok, gdyż ojciec miał w Oxfordzie starych przyjaciół, którzy prawdopodobnie nie zechcą go ani na chwilę puścić od siebie, a ona, Posy, będzie mogła zwiedzać miasto, oprowadzana przez George'a. Wyobrażała już sobie, jak będzie z nim wędrować po cudownych starych klasztorach, po czarodziejskich ogrodach. Zawsze z nim! George zapomni o nauce podczas jej pobytu, a ten jego Mr Smith, który mieszkał wraz z nim w jednym pokoju, na pewno taktownie się usunie, aby kolega mógł rozkoszować się cudownym sam na sam.

Boże! Jakież czekało ją rozczarowanie owej słonecznej majowej soboty, gdy przybyli do Oxfordu!

George, pełen dumy i przejęcia ważnością chwili, spotkał się z Wynnami na dworcu, lecz głównym tematem rozmowy był fakt, że George miał zabandażowaną rękę i nie mógł wiosłować. („Zwichnięta ręka? Bardzo niedobrze”). George jechał wraz z nimi starymi ulicami, wąskimi jak korytarze, po których przepływał tłum męskiej młodzieży. Ulice, przeznaczone dla pojazdów konnych, były teraz zablokowane autami i motocyklami. George raczył swych gości drugim śniadaniem w lokalu „Mitrę”, jak to zresztą było w programie. Tylko... tylko po pierwszym niemal wejrzeniu Posy zorientowała się, że George był inny.

George, który w domu, wśród walijskich gór, był wyśnionym królewiczem Posy, dla którego istniała tylko ona, stał się tutaj w Oxfordzie jednostką wielkiego tłumu, pociągającego go wszędzie za sobą. Nawet gorzej, George zdawał się należeć do tej bandy lekkomyślnych wesołych młodzieńców, jednakowo ubranych, jednakowo myślących i mówiących nawet o jednakowych rzeczach. Jeden z nich powiedział Posy:

— Tak, wyłuskaliśmy nareszcie George'a z tej jego łupinki. Stał się teraz naszym prawdziwym kolegą.

A Posy pomyślała: „Ja tak lubiłam tę łupinkę”...

Oxford wydał jej się rojnym ułem wypełnionym brzęczącymi przyjaciółmi. Byli to starzy przyjaciele ojca (pytali go, czy ma na uniwersytecie syna, a biedny tato musiał wyjaśniać, że jego córka zaręczyła się z jednym z tutejszych studentów) i młodzi, lekkomyślni, weseli przyjaciele George'a.

Ten tłum przyjaciół po prostu pochłaniał zaręczoną parę, i podczas śniadania, i po nim. Dla tych przyjaciół nic w danej chwili nie było tak ważne, jak wiosłowanie. Zresztą tym sportem zdawał się być przejęty cały Oxford. Oszołomiona Posy wsłuchiwała się w coraz to nowe wypowiedane nazwiska, ścisnęła jakieś wyciągające się do niej dłonie, uśmiechała się do pochylonych nad nią twarzy i przyjmowała wyrazy żalu, że biedny George z powodu swej zwicniętej ręki nie może wiosłować. W pewnej chwili oszołomiona uświadomiła sobie, że ten tłum przyjaciół niesie ją przez jakieś pola do studenckiej przystani, aby przyjrzała się trenującym wioślarzom. Tak, miss Wynn musi koniecznie zobaczyć łodzie! oświadczył tłum i zgrupował się dookoła dziewczyny, nie zwracając nawet uwagi na jej nowiutki, śliczny, nie pognieciony kapelusz.

—Nie martw się, przystąpisz do następnych zawodów...

—O wiele trudniej będzie wtedy wiosłować...

A potem nagle głośny okrzyk, jak strzał rewolweru:

— O, tam idą!

—Jaka jest twoja wada, George?

—Toggers? Co takiego? On?

— Naprawdę zabawne! Najzabawniejsza historia, jaką kiedykolwiek słyszałem...

Te urywane rozmowy, prowadzone przeważnie studencką gwarą i naszpikowane dwuznacznością, były całkiem niezrozumiałe dla dziewczyny, która po raz pierwszy w swym życiu opuściła domowe zacisze.

Zaręczone dziewczęta! Czy znacie uczucie zazdrości, i to zazdrości nie z przyczyny jednej osoby, lecz z przyczyny całego tłumu ludzi, z przyczyny dziwnie składających się okoliczności, z przyczyny samego miejsca, w którym rozgrywa się akcja? Jeżeli nie znacie tego uczucia, unikacie szczęśliwie wielu cierpień, które dręczyły Posy — tę młodziutką, subtelną, niedoświadczoną dziewczynę w owo majowe popołudnie na brzegu rzeki.

Wszyscy czekali chwili, kiedy będą się mogli oddać obserwacji zawodów. Posy wciąż spoglądała na małe zegarek na rękę, który dostała od George'a...

Wreszcie zaczęło się. George powiedział:

— Słuchaj, Posy, kochanie, pójdziemy wszyscy na herbatę do pewnego lokalu...

(Pewnego lokalu?) — A ja myślałam, że pójdziemy na herbatę do twojego mieszkania?

— Mowy nie ma! Na herbatę do mieszkania George'a? — usłyszała Posy odpowiedź, i to nie ze strony George'a, lecz ze strony roześmianego tłumu przyjaciół. — Jego mieszkanie jest zbyt małe, aby urządzać w nim przyjęcia. Nie można tam nawet potańczyć. Za dużo w nim książek i powiększeń zdjęć alpejskich, które George robił podczas wycieczek. Strasznie mizernie się ta klitka przedstawia. Pokażemy pani coś ciekawszego, miss Wynn — wołali przyjaciele George'a, otaczając zwartym kołem onieśmiałą walijską dziewczynę, którą George przedstawił jako swoją narzeczoną. Ta narzeczona George'a nigdy nic w swoim życiu nie widziała, nigdy nie brała udziału w żadnych zawodach sportowych, nigdy nie wypila nawet najmniejszego kieliszka mocnego trunku. Nie do pomyslenia. Trzeba koniecznie to wszystko zmienić. A poza tym była całkiem niczego, nawet powabna i dająca się lubić. Posy nie odwzajemniała się tym przyjaciołom żadnym podobnym uczuciem.

Później śmiała się ze swojej dziewczęcej naiwności owego popołudnia, ale w tamtej chwili to wszystko nie sprawiało jej zbyt przyjemności. Owładnęło ją uczucie, jakiego dotychczas nigdy nie знаła, uczucie zazdrości o zbiorowość.

(Najgorsze jednak miało nastąpić...)

Tłum przepłynął pod łukowymi bramami, poprzez wyraźne czworokątne szmaragdowozielone mchu, stanowiące kontrast z poszarzałymi murami kamienia, a później wpłynął w wąską szycę staroświeckich schodów, do sali z okratowanymi oknami. Posy znalazła się wśród obcych młodych twarzy, wśród młodych mężczyzn ubranych w szare pulowery, tweedowe marynarki i spodnie, i wzorzyste pasiaste krawaty. Ale to nie było jeszcze wszystko. Znajdowały się tam również dziewczęta, siostry przyjaciół George'a, siedzące dookoła w swych ślicznych letnich sukienkach, palące papierosy, gawędzące wesoło i śmiejące się głośniej od chłopców. Oczywiście sala rozbrzmiewała głosami studenterii, rykiem saksofonu i głośną melodią wygrywaną na gramofonie, którego nie przyciszano ani na chwilę. Pary podskakiwały i tańczyły na kwadratowym kawałku linoleum, pochylając się w tył i naprzód... Posy nagle zapragnęła, aby ta tak długo oczekiwana wycieczka do Oxfordu skończyła się jak najprędzej! Pragnęła, aby

znowu nastaly letnie wakacje! Pragnęła ewentualnie cofnąć się do minionego sierpnia, kiedy to jeszcze nie znała tych okropnych rozkrzyczanych ludzi, którzy zagarnęli jej George'a, którzy uczynili go całkiem innym, bo tutaj przecież George pisał z taką niechęcią o nowoczesnej młodzieży, a przyłączał się do ich wesołości, do ich frywolnych zabaw...

Ach, być znowu podczas dni minionego sierpnia i mieć George'a wyłącznie dla siebie! Siedzieć na zboczu góry z plecami opartymi o szarą ścianę skalną, pić herbatę z termosu i zajaść z apetytem drobne ciasteczka upieczone przez matkę! Nie mieć zupełnie towarzystwa, tylko słuchać brzęczenia pszczoł, zamiast krzyku i pisku tego ogłuszającego jazzu! (Lecz gorsze, o wiele gorsze miało jeszcze nastąpić).

Zamknijcie wszystkie okna!

Wyrzućcie tego wampa!

zawodził refren piosenki.

Posy omdlewała ze znużenia. Zwróciwszy się do ukochanego, zapytała:

— Czy Oxford jest zawsze taki hałaśliwy?

— Co takiego, skarbie? — zapytał George, nagle nie rozumiejąc. Patrzył w tej chwili na drzwi, patrzył na jeszcze jedną studentkę, która właśnie weszła, trochę niepozorna, w czarnej obcisłej sukni. Nie! Posy widziała przecież, że to właśnie na tę dziewczynę w czarnej sukni George patrzył z takim zainteresowaniem.

Zaręczone dziewczęta, czy wiecie, co znaczy uczucie, że „coś” pojawia się w powietrzu między wami i ukochanym człowiekiem i to coś ukazuje się w postaci obcej kobiety? To „coś” pojawia się bez żadnych rzeczywistych przyczyn. Ta obca kobieta może nawet nie powiedzieć do waszego ukochanego ani słowa, wasz ukochany może nawet w pierwszej chwili spojrzeć na nią całkiem obojętnie. Z początku tłumaczycie sobie: „Jak mogłam przypuszczać, że on jest nią zainteresowany? Przecież wiem, że tylko mnie kocha! Poniosła mnie po prostu fantazja. Trzeba mieć trochę więcej zdrowego rozsądku!”

Lecz jakiś głos górujący ponad zdrowym rozsądkiem ostrzega was: „To jednak prawda! Istnieje jakaś siła magnetyczna. Siły tej próbuje owa obca kobieta, gdy patrzy na mężczyznę. On, nie patrząc na nią, widzi ją dokładnie, potrafi wy-

łowić ją spośród tłumu ludzi. Bądź ostrożna, jeżeli idzie o tę dziewczynę. Jej obecność może zaważyć na twoim szczęściu!"

Jeżeli kiedykolwiek doznałyście takiego uczucia, orientujecie się chyba, jak bardzo musiała cierpieć Posy na owym podwieczorku w Oxfordzie, gdy popijała herbatę, zjadała z udanym apetytem kanapki i obserwowała obecnych.

Jakiś student, którego dotychczas nie widziała, o dziwnie cudzoziemskiej twarzy, lecz w wybitnie angielskim stroju,

TLR

zbliżył się i począł rozmawiać przyjaźnie z George'em, którego twarz nagle pojaśniała. Słyszała, jak mówił: „Ty zawsze masz pomysły, Pedro”. O czym właściwie mówili, Posy nie mogła usłyszeć. Pragnęła tylko dowiedzieć się, jak ma na imię dziewczyna w czarnej sukience. Drugą wchodzącą dziewczynę powitano głośnymi okrzykami „Maureen!” To dziwne, ale nikt w towarzystwie wtedy nie przypuszczał, że imię Maureen Acres kiedyś w przyszłości zostanie wypisane złotymi zgłoskami na afiszach londyńskich teatrów. Jednakże nawet wówczas zatrzymano gramofon, aby przybyła mogła śpiewać. Miała gitarę, na której sobie akompaniowała, śpiewając rzewną pieśń dramatycznym kontraltem.

*Kiedyś, gdy byłeś moim przyjacielem,
Mówiłeś: To nigdy się nie skończy!*

Wśród dźwięków muzyki Posy szepnęła do jednego ze studentów, siedzących tuż przy niej:

— Kim jest ta dziewczyna w czarnej sukience?

— Co takiego? Przepraszam, nie dosłyszałem!

Kiedyś te czarne bezlistne drzewa

Pokryte były świeżą zielenią...

— Tekst okropny! Powoli popadamy w depresję. Daj spokój! Zaśpiewaj coś weselszego...

Poprzez gwar wesołych rozmów Posy powtórzyła pytanie skierowane do sąsiada.

— Ach, ta w czarnej sukience? Oczywiście! To przecież Sybila, Sybila Armstrong. Jej brat jest... — dalszy ciąg zdania rozpląnął się w dźwiękach melodii.

— Mają cudowny własny dom nad brzegiem rzeki. Dzisiaj jest u nich wieczorek taneczny. Sybila wygląda jak koń wyścigowy, prawda?

— Co to ma znaczyć? — oburzyła się Posy. — Czy nie jest ładna?

Dziewczyna w czarnej sukience istotnie była jedyną spośród wszystkich obecnych dziewcząt, która nie mogła się pochwalić wyjątkowo ładną twarzą. Widocznie studenteria nie uznawała w dziewczętach zalet intelektualnych! Wszystkie obecne na sali pannice miały faliste włosy, duże oczy, regularne rysy i pięknie umalowane twarze. A tymczasem dziewczyna w czarnej sukience miała proste włosy koloru popielatego, co w ostatnim sezonie było zdecydowanie niemodne. Te proste włosy bardzo pasowały do brzydkiej twarzyczki Sybili i bezbarwnych, dziwnie wyblakłych oczu. W ogóle cała jej postać nie miała żadnej barwy. Czarna sukienka, którą miała na sobie, też była bardzo prosta, a jeszcze prostsza wydała się oczom Posy. Podczas tego drugiego lata narzeczeństwa Posy

Wynn nosiło się krótkie spódniczki, a suknia nieznanym dziewczyny była długa, choć widać było spod niej szczupłe, niezbyt kształtne nogi, a równie szczupłe blade ramiona miała zupełnie obnażone. Później, o wiele później, Posy dowiedziała się wielu rzeczy o ludziach i wielkich miastach, o kobietach i strojach, i dopiero wówczas doszła do wniosku, że dziewczyna w czarnej sukience miała coś bardziej frapującego niż urodę. Po prostu miała styl. Posy wyczuła, że miss Sybila Armstrong, jedyna nieładna dziewczyna na sali, była jednocześnie tą jedyną spośród wszystkich, która miała specyficzny urok.

Coraz bardziej zasmucona siedziała narzeczona George'a, tęskniąc za domem. Tęskniła za tym, aby móc znaleźć się na otwartej przestrzeni, aby wydostać się jak najspieszniej z tej dusznej sali...

Nagle odwróciwszy się w stronę otwartego okna, opatrzonego żelazną kratą, spoczęła wzrokiem na czyjejś twarzy jakby zawieszonyj w powietrzu. Ta twarz ukazała się jej oczom w obramowaniu powyginanego szarego kapelusza, opasanego czarną wstążką, spojrzały ku niej szare błyszczące oczy i spoza roześmianych ust dostrzegła dwa rzędy białych zębów.

— Litości! Skąd ten człowiek tu się znalazł?

Nikt nie zwrócił uwagi na okrzyk Posy z wyjątkiem owej zjawy, która ukazała się za okratowanym oknem.

— Halo! Kogo ja widzę! Przecież to ta mała walijska dziewczeczka, która tak często gubi lalki w górach! Miss... miss Posy! — zawołał nieoczekiwany przybysz. — Proszę mi wybaczyć, ale nie mam wolnej ręki, więc nie mogę zdjąć z głowy kapelusza. — Obie dłonie przywierały mocno do żelaznej kraty, głowa kiwała się śmiesznie w jedną i w drugą stronę. Wreszcie szary kapelusz upadł na wąską uliczkę i promienie popołudniowego słońca odbiły się jasnym refleksem w rudych włosach, w tych włosach, których barwy Posy jeszcze dotąd nie zapomniała. — Czy wykryłem jakieś potajemne zebranie? Jak się macie, drodzy braciszku? Zaraz przyjdę do was.

- Nie przedostaniesz się przez kraty — zaproponował właściciel lokalu. — I ja mam z tym zawsze mnóstwo kłopotu. Spójrz na moje spodnie. — Istotnie spodnie mówiącego były w stanie godnym pożałowania. — Wynoś się stąd! — sięgnął po ogromny nóż do papieru i począł nim trącać przybysza poprzez kraty. — Złaź!

— Ty podły łotrze — zaprotestował intruz, czepiając się krat, potem wspinając się na nie ze zrećnością małpy. Posy z otwartymi ustami obserwowała, jak usiłował przedostać się do wnętrza sali wąską szczeliną między prętami. W mi-

nutę potem był wewnątrz i gdy zeskoczył z parapetu okna, powitały go głośne okrzyki obecnych:

— Jeffrey! Wiwat! Jeffrey...

Dziewczęta trzymające filiżanki z herbatą poczęły biegać nieprzytomnie po sali.

(„Jeffrey, chodź tutaj! Chciałam usłyszeć o tym okropnym skandalu, którego podobno ty byłeś przyczyną”.)

Poczęły tłuc radośnie rękami w parapety okienne, w poduszki porozrzucane po podłodze, w poręcze skórzanych foteli.

(„Chodź i usiądź tutaj. Opowiesz nam, co się stało po...”)

Lecz Jeffrey, którego Posy od razu poznała, uśmiechnął się tylko wesoło i skinął wszystkim głową na powitanie, po czym skrzyżowawszy nogi, rozsiadł się na podłodze tuż u stóp miss Posy Wynn.

Wyjątkowo uradowała się na jego widok. Był przecież dla niej wspomnieniem tamtego popołudnia.

—Naprawdę doznałem miłego uczucia, spotykając panią tutaj. Co panią tu sprowadziło? — zapytał, patrząc na nią radośnie, i Posy po raz pierwszy tego dnia odczuła zadowolenie, gdy mogła mu odpowiedzieć:

—Przyszłam tutaj z George'em Stirlingiem. Pan wie, że jesteśmy zaręczeni? — wyciągnęła małą rączkę, na której widniał otrzymany od George'a skromny pierścionek z perłą i turkusem.

—Ach, więc tak! — zawołał rudowłosy student, patrząc na pierścionek. — Cudnie, cudnie! Bardzo często tacy spokojni chłopcy przeistaczają się w smakoszów.

—W co się przeistaczają?

— Właśnie mówię, że nasz drogi George potrafił zwęszyć smaczny kąsek — rzekł rudowłosy Jeffrey z uśmiechem. Zawsze uśmiechał się w taki sposób, jakby jednocześnie wręczał komuś miły upominek — wiązanek kwiatów czy dużą bombonierkę czekoladek. Posy nie mogła ukryć zadowolenia, słysząc ten drobny komplement, lecz była jeszcze tak młoda, że naiwnie powiedziała:

— Pan żartuje ze mnie.

— Daję pani słowo, że nie żartuję — odparł Jeffrey łagodnie, lecz stanowczo. — Proszę mi powiedzieć, kiedy to się stało?

— Prawie zaraz potem, jak pan wyjechał.

—Czyli mniej więcej rok temu? Miałem takie mnóstwo zajęć, że prawie nie widziałem George'a od owej sławetnej wycieczki. Więc jest pani zaręczona już przeszło rok! Niezwykłe! A kiedy ślub?

—Ach, jeszcze nieprędko — zawołała Posy. — Przecież narzeczeństwo nie może trwać tak krótko.

Jak dziwnie te błyszczące szare oczy rudowłosego Jeffreya patrzyły teraz na nią! Zupełnie tak, jakby dziwne mu się wydawało to, że od roku już była zaręczona.

— Zbyt krótkie narzeczeństwo? — powtórzył. — A jaki jest pani pogład na narzeczeństwo zbyt długie?

Lecz w tej samej chwili George, opuszczony przez swego przyjaciela imieniem Pedro, wrócił do narzeczonej i teraz już cała jej uwaga skupiona była na tym, co do niej mówił.

— Skarbie, napijesz się jeszcze herbaty? Może ciasteczko albo grzanekę? Nie? Przecież ty nie palisz. Może jeszcze kanapkę? Nic byś już nie zjadła?

— George, może byśmy już poszli?

—Chcesz pójść? — sympatyczna jasna twarz George'a nagle sposepniała. — Kochanie, czy źle się tu bawisz?

—Owszem, doskonale! Strasznie miło było obserwować trening i cieszę się, że poznałam tylu twoich przyjaciół. Tacy sympatyczni... tylko... — głos jej załamał się i przybrała błagalną minę. — Czy naprawdę nie będziemy mogli ze sobą pomówić?

—Oczywiście, skarbie! Właśnie przygotowałem coś, o czym chciałem ci powiedzieć. Coś całkiem nowego! — skinął głową, uśmiechając się tajemniczo. — Niespodzianka!

Posy, niewymownie uradowana, uśmiechnęła się również.

— Niespodzianka? Ach, George, najdroższy. Wiem, że ojciec nie opuści swych starych przyjaciół do północy, więc będziemy mieli cały wieczór dla siebie...

I tutaj nastąpiło coś, czego Posy lękała się już od pół godziny. Dziewczyna w czarnej sukience, owa Sybila, nagle znalazła się przy boku George'a. Poprzez gwar wesołych rozmów, poprzez ryk saksofonowej płyty, kręcącej się na gramofonie, Posy usłyszała, jak dziewczyna szepnęła:

— George...

Czemu nie? Oczywiście, że w ten sposób się do niego zwróciła! Przecież tutaj wszyscy mówili sobie po imieniu, usprawiedliwiała ją Posy, zaciskając mocno dłoń i połykając pigułkę zazdrości, która ją poczęła dławić w gardle.

— George, wybierasz się dzisiaj do nas na wieczorek?

George Stirling, stojąc teraz zwrócony plecami do zakratowanego okna, nagle się zawahał... Dlaczego od razu nie wyjaśnił, że wieczór już miał zajęty? Ku swojej wielkiej rozpaczy usłyszała, jak całkiem uprzejmie odpowiedział:

— Ach, więc jestem zaproszony? Chętnie. Czy mógłbym z sobą zabrać moją narzeczoną? Zdaje się, że się panie nie znacie — miss Sybila Armstrong, miss Wynn.

Więc dziewczyna w czarnej sukience należała do rodziny, o której George (podczas dawnych szczęśliwych dni) pisał, że jest strasznie dziwaczna. Ucisnęła mocno dłoń narzeczonej Stirlinga.

Posy czuła się jak nieśmiała kuzynka z prowincji obok tej eleganckiej z obnażonymi ramionami Sybili, która była na pewno o pięć lat starsza od niej, a o pięć wieków mądrzejsza i bardziej doświadczona. Sybila uśmiechnęła się do niej przyjaźnie i rzekła:

— Tak, niech pani przyjdzie, dobrze? Mama ogromnie się martwiła dzisiaj rano, że będziemy mieli za mało dziewcząt. Nasz dom zawsze jest przepełniony mężczyznami. Koniecznie George musi panią zabrać z sobą!

Posy usłyszała własny szepot, że bardzo chętnie przyjmie zaproszenie... Cóż mogła w tej chwili zrobić biedna dziewczyna? Zdawała sobie sprawę, że wieczór będzie zmarnowany... W chwilę potem pomyślała: „Czy musimy koniecznie iść na ten obrzydliwy wieczorek?... Wątpię, czy moja czerwona wieczorowa sukienka będzie na taki występ odpowiednia. Trzeba iść koniecznie?...”

A potem przyszło jej na myśl: „Nie, już wiem. Gdy George zaprowadzi mnie z powrotem do «Mitre», powiem mu, że jestem okropnie zmęczona, że jestem

zbyt zmęczona, aby myśleć o tańcu i że chce natychmiast położyć się do łóżka, a on niech sobie idzie na ten wieczorek do Armstrongów. Oczywiście za nic w świecie sam tam nie pójdzie. Po prostu oburzy się i powie: «Nie, skarbie! Pójdziemy dokądś spokojnie na obiad, tak we dwoje i powiem ci, co to była za niespodzianka...»"

Lecz później poprzez gwar panujący na sali nieśmiała narzeczona George'a Stirlinga usłyszała głos Sybili Armstrong:

— Dobrze, George, sprawdzę, czy mam jeszcze jakieś wolne tańce...

Ach! Więc George prosił ją o taniec — zorientowała się zazdrosna Posy. — Więc pójdzie do tych obrzydliwych Armstrongów, nawet jeżeli ja tam nie pójdę. Pójdzie na ten wieczorek... Ale nie beze mnie — postanowiła przejęta nagłą energią zupełnie dojrzałej kobiety, nagłym uczuciem, jakiego dotychczas nigdy jeszcze nie doznawała. Władczość, niezadowolenie, terror zazdrości! Z bolesną przenikliwością domyślała się: „Częściowo właśnie ta Sybilla «wyłuskała» George'a z jego dotychczasowej łupinki! Widocznie uważa on, że jest frapująca. Rozmawia z nią nie tylko z grzeczności, nie idzie na ten wieczorek po to, abym ja się bawiła! Jest wyraźnie nią zajęty, choć udaje obojętność! Jak ja to zniosę?" Obserwowała każdy ruch dziewczyny w czarnej sukience, która rozmawiała teraz z innym młodym człowiekiem.

— Zarezerwujecie pani dla mnie jeden taniec dziś wieczorem, miss Posy? — usłyszała głos rudowłosego Jeffrey, siedzącego wciąż u jej stóp.

— Ach, więc pan też idzie wieczorem na przyjęcie do Armstrongów?

— Oczywiście — skinął głową Jeffrey. — Czy nie idziemy wszyscy?

— Zna ich pan od dawna? Jeffrey! Niech mi pan opowie, jacy to są ludzie?

— Otóż ojciec i matka są tacy sami jak wszyscy ludzie w ich wieku; mają dorosłe dzieci i prowadzą otwarty dom. Gościnność przejawia się u nich w każdym szczególe. Jest tam dwóch synów, którzy najpierw byli w Oxfordzie, a potem wyjechali do Heidelbergu. Jest również córka, która wyszła za mąż za wojskowego, i... Sybilla.

Doznając w tej chwili takiego uczucia, jakby Jeffrey był starym zaufanym przyjacielem, Posy zwróciła się do niego:

— Czy pan też uważa, że Sybilla Armstrong sprawia wrażenie „wyścigowca”?

— Naturalnie — zawołał wesoło Jeffrey. — Chociaż w gruncie rzeczy jest uosobieniem seksapilu.

Po raz pierwszy w życiu Posy Wynn usłyszała owo, tak często dzisiaj używane określenie. Wzrok jej zbłądził w stronę wyrazistej twarzy Sybili, w stronę jej

postaci obciśniętej czarną suknią, w stronę jej smukłych, dziwnie bladych, wychudzonych ramion...

Posy czuła się teraz tak nieszczęśliwa, jakby przewidywała, co nastąpi, jakby wiedziała, że za sześć godzin zobaczy te smukłe, blade, wężowe ramiona Sybili opasujące najdroższą szyję jej George'a!

TLR

V. PIERWSZA SPRZECZKA

Zaręczone dziewczęta, czy kiedyś w czasie narzeczeństwa przeżyłyście taki wieczór, który wspominać teraz myśląc: „Jak cudownie mogłam spędzić ten wieczór! Mogłam się cudownie bawić, gdybym nie była wówczas zaręczona”.

Tak, tak, takie chwile zdarzają się nawet dość często. Lecz czymże one są w porównaniu z przeżyciami Posy Wynn na wieczorku u Armstrongów, gdzie nic nie widziała i nic nie słyszała, przejęta rozpamiętywaniem swego narzeczeństwa. Gdyby nie to... Pomyślcie, jak wesoło mogłaby Posy spędzać ten wieczór. Znalazła się po raz pierwszy poza domem, w tak idealnie sprzyjających okolicznościach. Oxford w maju! Ona sama w wieku lat dziewiętnastu i do tego śliczniutka. Była tutaj z powodu wyjątkowo małej liczby dziewcząt, była na wieczorku w cudownej willi nad brzegiem rzeki, w willi, która podczas lata jest w całej Anglii jedną z najbardziej wartych zobaczenia! Dzięki uprzejmości gospodarza i gospodyni nikt z gości nie mógł się tu nudzić... I Posy na pewno spędziłaby czas cudownie, gdyby nie rozpamiętywanie spraw osobistych. Biedne dziecko, wszystko układało się jej jak najgorzej. Od chwili przyjęcia zaproszenia na wieczorek do Armstrongów wszystko wyglądało coraz bardziej tragicznie.

Z ubieraniem też się jakoś nie wiodło. Posy zaczęła paznokciem o jedwabną pończochę z tej jedynej pary jedwabnych, jakie posiadała, oczywiście, poszło oczko. Nie było innej rady, musiała włożyć zwykłe grube pończochy.

Kosztowały najwyżej dwie gwinee, a wyglądały jeszcze bardziej tandetnie w połączeniu z czerwoną wieczorową sukienką, którą Posy zamówiła sobie pocztą w^t najelegantszym londyńskim magazynie. W domu, gdy ją przymierzała w sypialni matki, sukienka ta wyglądała cudownie i było jej w niej wyjątkowo do twarzy. Teraz, gdy przejrzała się w hotelowym lustrze, doznała całkiem innego wrażenia. Należała do tego typu dziewcząt, które pod wpływem złego humoru czy zmęczenia stawały się blade i bezbarwne. Żywe rumieńce nadawały jej zawsze wiele uroku, a jedynym sztucznym upiększeniem, jakiego używała, był puder, którym od czasu do czasu odświeżała swoją twarzyczkę. Zresztą i puder był dla niej czymś całkiem nowym, może wybrała zły kolor, a może nieodpowiedni gatunek! Jednym słowem, wszystko tego wieczora szło jak najgorzej.

Obiad także się nie udał. Zamiast obiadować, jak przypuszczała, sam na sam z George'em, musiała zasiąść do stołu razem z ojcem, który, jak się okazało, miał pójść z wizytą do swych starych przyjaciół dopiero po posiłku. Następnie jakiś inny student z matką przysiadł się do ich stolika. Niemożliwością było dowiedzieć się, o jakiej to niespodziance wspominał George. Zamówili przeważnie takie potrawy, które musiały się strasznie długo gotować, poza tym Posy nie znosiła sławnego oxfordzkiego piwa, a ojciec o winie nawet nie pomyślał.

Nastrój towarzystwa też był nie najlepszy! Czując, że George, chociaż świetnie się prezentował w nowym garniturze, jest jakiś „inny”, Posy też była inna — sztuczna i wymuszona. Reszta obiadujących wydała jej się wyjątkowo niesympatyczna. Ojciec znowu mówił o zaręczynach Posy z George'em, ją zaś słuchanie o tych zaręczynach strasznie nużyło, choć w domu ten temat był niejako ogniskiem jej wszystkich zainteresowań. George również był dziwnie zażenowany i niezadowolony z rozmowy. Drugi student irytował Posy opowiadaniem, że jednak koledzy zrobili z George'a człowieka, że wówczas, gdy po raz pierwszy przyjechał do Oxfordu, nie można go było ani na chwilę oderwać od książek, teraz jednak najwyraźniej nabrał trochę rozumu.

„Za dużo nawet — pomyślała biedna Posy — stanowczo za dużo. Był o wiele miłszy w owym pierwszym roku, kiedy myślał tylko o pracy i kiedy pisał do mnie te cudowne listy!”

Ale taka już jest zazwyczaj natura kobieca! Posy doszła nawet do wniosku, że George był o wiele bardziej interesujący od czasu, gdy przebywał częściej w towarzystwie młodych chłopców i dziewcząt, a szczególnie w towarzystwie „tej” dziewczyny.

Nie przestawała ani na chwilę myśleć z przerażeniem o Sybili Armstrong, do której wybierali się na wieczorek.

Jazda na przyjęcie też była okropna! Posy i George mieli jechać razem do domu Armstrongów samochodem, który zamówił George. W pewnej chwili obiadujący z nimi student zawołał:

— Ach, odwołaj tę taksówkę! Mnóstwo miejsca jest w moim czteroosobowym austinie, tylko po drodze zabierzemy jedną znajomą mieszkającą na Woodstock Road...

Posy doznała kompletnego wstrząsu. Po wypiciu kawy zwróciła się do George'a przyciszonym szeptem:

—George! Kiedy będziemy mogli chwileczkę z sobą pomówić? Masz mi przecież coś do powiedzenia, a tu ciągle dookoła tyle ludzi. Cały czas obserwowali nas na nabrzeżu, a później ten obiad...

—Przecież to wszystko z myślą o tobie, skarbie! Sądziłem, że będziesz zadowolona — wszyscy tak myśleliśmy — i chciałem, żebyś poznała moich przyjaciół.

—Wolałabym ich nie poznawać — mruknęła Posy. — Przecież już niedługo będę tutaj. Dziś wieczorem znowu to przyjęcie...

—Sądziłem, że każda dziewczyna cieszy się na myśl o tańcu. W gruncie rzeczy niejedna z młodych Angielek bezskutecznie oczekuje zaproszenia od państwa Armstrongów.

—Ach, istotnie? A ja nie wierzę, że ty chcesz tam pójść ze względu na mnie! — rzekła Posy i wyglądała w tej chwili jak jedenastoletnia dziewczynka przebrana w wieczorową suknię dorosłej osoby. Na pewno znalazłoby się wielu mężczyzn, którzy by jej o tym powiedzieli i tak długo docinali na ten temat, aż wprawiliby ją w dobry humor.

George Stirling jednak nie potrafił tego i na jego twarzy odzwierciedlały się wszystkie najskrytsze myśli. Przyczyną zniechęcenia było nie tylko rozkaprysznienie narzeczonej. Na samym dnie serca raz czy dwa razy przyłapał się na rozmyślanie o tej nadzwyczajnej umiejętności miss Armstrong,

Która potrafiła okazać mężczyźnie, że jest jej bliski, interesujący i odrobinę niebezpieczny. George najbardziej zaciekawiony był tym, co miss Armstrong w

rzeczywistości o nim myśli- Zasadniczo zaręczony mężczyzna nie powinien rozwiązywać takich zagadnień, chyba że miałyby one coś wspólnego z jego narzeczoną. Przynajmniej nie powinien był tego czynić George. Zauważywszy niechęć ze strony swej ukochanej, powiedział jej całkiem szczerze, że uważa jej postępowanie za wyjątkowo nierozsądne.

— Bardzo mi przykro — szepnęła Posy, połykając dławiającą ją gorycz. — Oczywiście uważam, że niezwykle miło było ze strony twych przyjaciół, że mnie zaprosili na wieczorek (choć wiem, że im tam jestem absolutnie niepotrzebna), ale sądziłam, że właśnie ten wieczór spędzimy razem i że mi powiesz coś na temat ważnej niespodzianki...

— Mamy przecież jeszcze cały jutrzejszy dzień, niedzielę. Posy pomyślała: „Jestem pewna, że jutro będzie to samo”.

— W każdym razie, na miłość boską, nie kłóćmy się na ten temat — zwrócił się do niej błagalnie George. — Mogę powiedzieć, że nie pojedziemy austinem, chociaż nie sądzę, żeby to wypadało. Pojedziemy jednak tą wynajętą taksówką...

Ale później tak się dziwnie złożyło, że wynajętą taksówkę trzeba było odstąpić trzem przyjaciołom, którzy również jechali na wieczorek do Armstrongów.

Taniec też szedł jak najgorzej.

Posy, która w przyszłości miała zdobyć nagrodę za najlepsze tango, okazała się tego wieczoru zupełnie niedoświadczoną i bardzo niezręczną w ruchach tancerką! George pod tym względem nie był znawcą, częściowo z powodu braku rutyny, a częściowo dlatego, że istnieją na świecie mężczyźni, którzy nigdy nie nauczą się prowadzić kobiety w tańcu. Prawdopodobnie to właśnie było powodem, że George tańcząc z Posy, wpadł na inną, tańczącą tuż obok parę. Tak więc pierwszy taniec Posy z George'em wyjątkowo się nie udał. Z całego tego długiego fascynującego programu Posy tańczyła tylko dwa fokstroty i jednego walca, z czego dwa tańce były okropne, a trzeci skończył się kompletnym fiaskiem. Ale o tym pomówimy jeszcze później. Grała wspaniała orkiestra. Co było właściwie modne w tym sezonie? Moda na melodie przemija tak szybko; gdyby wymienić tytuł jakiegoś fokstrota, to towarzystwo zebrane u państwa Armstrongów na pewno oświadczyłoby z ironicznym uśmiechem, że tego fokstrota tańczono jeszcze na dworskim balu, gdy Henryk VIII pocałował po raz pierwszy Annę Boleyn. Właśnie ten fokstrot, którego tańczyła Posy, nagrany był na wszystkich płytach gramofonowych i lansowany przez całą młodzież Oxfordu. Posy niewyraźnie słyszała, a także niezbyt dobrze widziała to wszystko, co ją otaczało we wspaniałym salonie Armstrongów. Wiele otwartych okien wychodziło na ogród tuż nad

brzegiem Tamizy, wiele było pięknych dziewcząt z wyjątkiem jednej... która jednak uważana była przez wszystkich za najbardziej interesującą, a którą Posy od pierwszego wejrzenia potraktowała jak znieawidzoną rywalkę. Posy tańczyła automatycznie, gubiąc kroki, nadeptując innym na palce, zapominając zupełnie o tym, że właśnie tego wieczoru miała poznać ową tajemniczą niespodziankę. Zapomniała nawet o tym, jak oboje z George'em śmiali się niegdyś serdecznie na samą myśl, że kiedykolwiek może między nimi dojść do jakiejś sprzeczki. Zapomniała o wszystkim z wyjątkiem tego, że George się zmienił, że ona, Posy, jest zrozpaczona, i że Sybila Armstrong znowu wieczorem wystąpiła w czarnej sukni. Suknia ta wydawała się Posy siatką czarnego pająka, z tymi powiewającymi falbankami, z głębokim dekoltem, spod którego ukazywał się miejscami kremowy szyfon, miejscami znów gołe plecy Sybili.

Teraz Sybila Armstrong tańczyła z mężczyzną o kilka lat starszym od wszystkich znajdujących się w salonie studentów. Był wysoki, pewny siebie, sprężysty, miał bystre oko i raczej cyniczny uśmiech, a z jego sposobu zachowania widać było, że grał rolę wujaszka każdej dziewczyny biorącej udział w wieczorku. Lecz co skłaniało córkę gospodarzy do tak troskliwego zajmowania się tym starym przyjacielem domu, majorem Guyem Turnerem?

—Kiedy wyczytam coś nowego o tobie w „Morning Post”? — zapytał. — Nie uważasz, Sybilo, że już najwyższy czas, żebyś się zaręczyła?

—Nie chcę cię obrażać, Guy, lecz właściwie powinnam cię zapytać, czy mam to uważać za oświadczyzny — uśmiechnęła się do niego Sybila.

—Jak ty świetnie mnie znasz — zażartował major Guy Turner. — Jednak obok wielu wad masz duże zalety, bo dysponujesz wrodzoną umiejętnością zawracania głowy starym kawalerom! — Tańczyli, a ich taniec był zupełnie nie dostosowany do rozmowy, płynny, spokojny i opanowany. — Czy porzucisz wreszcie swego ulubionego konika i przestaniesz naigrawać się z tych wszystkich chłopców?

—A twoim ulubionym konikiem jest mówienie zawsze tego, co myślisz, w obecności najbliższych przyjaciółek.

—Masz na myśli siebie?

—Oczywiście.

— Czy jeszcze ciągle sądzisz, że w każdej chwili z każdym mężczyzną możesz zrobić, co tylko zechcesz? Ciekawe, kto cię utwierdził w tym mniemaniu, Sybilo?

— Przypuszczam, że samo doświadczenie.

— Ach! A czy nie lękasz się, moja droga, że ta twoja siła może cię kiedyś zawieść? Nie zawsze będziesz miała lat dwadzieścia osiem (powiedział to ze znaczącym uśmiechem). Przyznaję, że jesteś *une belle laide*, jak mówią Francuzi. W życiu to bardzo popłaca, ale nie w stosunku do każdego.

Chłodna twarz Sybili zwróciła się teraz niechętnie w jego stronę. W jasnym świetle salonowych żyrandoli połyskiwały ogniecie jej brylantowe klamerki u pantofli. Zarzucali się wzajemnie coraz śmielszymi ripostami, aż wreszcie Sybila rzekła:

— Mój kochany, mogłabym nawet dzisiaj jeszcze uwieść każdego, gdybym tylko chciała.

— Czy to ma być zakład, kochanie?

— Owszem, może być zakład. Ja osobiście zakładów nigdy się nie boję.

— Całkiem słusznie. A propos, słyszałem, że w Oxfordzie mało jest interesującej młodzieży, wątpię więc, czy będziesz mogła znaleźć odpowiedni obiekt do flirtu...

— Tak myślisz — uśmiechnęła się z przekąsem Sybila Armstrong i na jej twarzy odbiło się nagle postanowienie, że pokaże Guyowi, że musi mu pokazać... — Doskonale!

Zabiorę się do najbardziej solidnego, najbardziej statecznego i zimnokrwistego studenta, którego niedawno poznałam i który nie zwracał na mnie dotychczas żadnej uwagi.

Jest nawet zaręczony, ale od niedawna ma już tę świadomość, że oboje pochodzimy z jednej i tej samej planety!

— Ach, istotnie! Któż to jest ta ofiara?

— Nazywa się George Stirling — odparła Sybila, gdy orkiestra nieco przycichła i tańczące pary poczęły opuszczać parkiet. — Jest zaręczony z...

— Zaręczony mężczyzna? Nie do pomyślenia!

— Całkiem naturalne — odcięła się Sybila. — Zaręczony mężczyzna przypomina mi zawsze stolik restauracyjny, na którym widnieje napis „zarezerwowany”. Zazwyczaj, gdy się patrzy na taki stolik, człowiek ma największą ochotę przy nim usiąść.

— Rozumiem. Ilekroć w życiu tańczyłem z zaręczoną dziewczyną, zawsze miałem takie uczucie, jakbym trzymał w ręku pożyczony parasol. Przychodziło mi nawet na myśl: „całkiem niczego, szkoda, że nie jest moja. Chciałbym spotkać w życiu chociaż podobną do niej”. Bardzo często ulega się takim dziwnym wrażeniom. A która z obecnych dziewcząt jest narzeczoną tego chłopca, Sybilo?

—To niepozorne stworzenie z Walii. O tam! Ta ciemna w czerwonej sukience. Ma bardzo duże i niebrzydkie oczy!

—Całkiem powabna — orzekł major Turner, wkładając w oko monokl i przyglądając się z zaciekawieniem właścicielce czerwonej sukienki. — Musi być strasznie młoda, prawda? Wygląda najwyżej na piętnaście lat.

—Tak. Właśnie jest w tym wieku, który tobie najbardziej odpowiada. Przedstawię cię.

I dzięki temu podczas drugiego tańca Posy była partnerką wysokiego starszego pana, jakiegoś tam majora, którym zachwycaly się wszystkie obecne dziewczęta, tylko nie Posy.

— Zapali pani papierosa? — zaproponował po chwili. (Biedna Posy zorientowała się, że uczynił to, bo nie była specjalnie uzdolnioną tancerką). Zaprowadził ją do niszy koło schodów, gdzie inny pan — najwidoczniej jego przyjaciel — wachlował damę w krwistej czerwieni, która również była dobrą znajomą majora. Wszystkim trojgu wydało się strasznie dziwne, że Posy nie pali. Major zadał jej kilka pytań podobnych do tych, które jej zadawano co chwilę od czasu, gdy przybyła do Oxfordu. Pytania te były na ogół w rodzaju: „Czy pani była...” albo „Czy pani widziała...”

— Nie, nie byłam na żadnej wystawie i na żadnym przedstawieniu, nie widziałam absolutnie nowoczesnych tancerek. Nigdy nie byłam na wyścigach. Proszę sobie wyobrazić, że w ogóle nigdzie nie byłam! — odpowiedziała Posy.

Mężczyzna poprawił zręcznym ruchem monokl i rzekł dobrodusznie:

— Moje drogie dziecko, jakże zazdroszczę, że ma pani jeszcze tyle ciekawych rzeczy przed sobą. Jak przyjemnie musi się czuć każdy w pani towarzystwie. Przecież to nadzwyczajny kontrast! Przeważnie każda panna wszędzie była i wszystko widziała, nim jeszcze skończyła dwadzieścia lat. Czy i pod tym względem jest pani wyjątkiem, że nie pracuje pani zawodowo?

— Tak. Jestem w domu, dopóki nie wyjdę za mąż.

— Nadzwyczajne. Czy pani się nie gniewa, że jej zadaję tyle pytań? Jestem przecież o wiele starszy od pani. Czy od dawna jest pani zaręczona?

— Nie. W kwietniu minął rok.

— Wobec tego przypuszczam, że wkrótce będzie ślub? — odezwała się dama w czerwieni, uśmiechając się życzliwie do tego czarującego, zawstydzonego stworzenia.

— Nie przypuszczam — odparła Posy kręcąc się niespokojnie na miejscu. W tej samej chwili pomyślała: „Z kim to George tańczy?” A na jej usta mimo woli wybiegły słowa: — Nasze narzeczeństwo będzie długie. — Jak przez mgłę słyszała rozmowę tamtych trojga, którzy palili papierosy i dyskutowali na temat krótkich narzeczeństw. Podświadomie chwyciła oddzielne strzępy wypowiedzianych zdań...

— ...ludzie zmuszeni do długich narzeczeństw przeważnie traktują się wzajemnie jak małżeństwo, a wkrótce miodowy miesiąc mija i zaczynają się sobą nudzić!

— Cóż za nonsens!

— A podczas krótkiego narzeczeństwa trudno jest zdobyć tę pewność.

— Moi drodzy, czy w stosunku do mężczyzny można kiedykolwiek mieć pewność?

— Cicho! Nie przerażajcie tej młodej, zaręczonej damy!

— ...Podczas długiego narzeczeństwa zachodzi tyle drobnych, nieprzyjemnych utarczek, tyle nerwów się traci, że rujnują one nawet urok tego pierwszego roku! Żadne z naręczonych nie zadaje sobie trudu załagodzenia tych drobnych nieporozumień, żadne już nie dąży do prawdziwego szczęścia, rozdrażnione ustawicznymi pretensjami, i oboje zdają się w końcu na łaskę losu.

— Trzeba na życie patrzeć z jaśniejszej strony, Guy!

Dla Posy wszystkie strony życia były teraz beznadziejnie ciemne.

*

— Pani zatańczy to ze mną, miss Posy — usłyszała miły, rozradowany głos. — Chodźmy! — Rudowłosy Jeffrey odciągnął ją na bok, właśnie w owej chwili, kiedy patrzyła na George'a, otaczającego ramieniem Sybilę Armstrong. Posy od razu przyszło na myśl, że z Jeffreyem potrafi lepiej zatańczyć walca.

Chociaż nie był wysoki, miał wyjątkowo harmonijną i proporcjonalną budowę. Był nie tylko uosobieniem rytmu w każdym ruchu swego świetnie uformowanego ciała, lecz potrafił prowadzić tancerkę, jakby nic innego nie robił od urodzenia. Mając go za partnera, każda najmniej nawet zdolna dziewczyna tańczyła by na pewno świetnie. Uśmiechając się do niej, mówił:

— Pani świetnie tańczy! — Miał ten miły sposób bycia, dzięki któremu każda dziewczyna podczas pierwszego spotkania czuła się przy nim jak pod opieką starszego brata, chociaż później na pewno irytowała ją myśl, że Jeffrey O'Brien patrzy na nią jak na młodszą siostrę. W każdym razie już po minucie Posy odczuła prawdziwą przyjemność tańcząc walca z Jeffreyem. Lecz dopiero później, o wiele później doszła do wniosku: „Taki wieczór to kompletna strata czasu”.

Również później czyniła sobie wyrzuty: „Powinnam była udawać, że flirtuję z Jeffreyem, aby tym samym wzbudzić zazdrość George'a”. Podczas tej nocy Posy była zbyt młoda, zbyt szczerą, zbyt niedoświadczoną i zbyt zakochaną w swoim narzeczonym, aby zdobyć się na odegranie takiej komedii.

Po skończonym tańcu Jeffrey zaproponował:

— Nie wyszłaby pani trochę na świeże powietrze? Ten ogród jest cudowny, pełen kolorowych lampionów, róż i ławeczek nad brzegiem rzeki. Tu w salonie jest strasznie gorąco. Wyjdźmy, usadowimy się gdzieś i przyniosę pani coś zimnego do picia.

Nie odczuwam pragnienia — rzekła niepocieszona Posy, która nade wszystko chciała się dowiedzieć, gdzie się podział George.

— Na pewno zje pani choć małą porcję słynnych poziomkowych lodów, które podają u Armstrongów. Posadzę panią w parku, w jakimś romantycznym zakątku, a później wrócę tu ze smakołykami.

Przyjemnie trzeszczał żwir pod ich stopami. Powietrze było świeże, lecz niezbyt chłodne, z pogodnego nieba mrugały ku nim gwiazdy. Drzewa szumiały ci-

cho pod wpływem lekkiego wietrzyka, a rozwieszona dookoła lampiony sprawiały wrażenie pięknych kolorowych księżyców...

—Ślicznie tutaj — westchnęła Posy. — Zawsze na dworze jest przyjemniej niż w mieszkaniu! Przypomina mi to dom...

—Niech pani nie chodzi po trawniku, miss Posy, trawa jest mokra — zawołał nagle Jeffrey. W oddali usłyszał niewyraźnie głos George'a. Intuicyjnie wyczuwał, że zbierało się na kłótnię zakochanych, a nie miał ochoty psuć sobie wieczoru nieprzyjemną sceną, gdyby Posy natknęła się na George'a, dotrzymującego towarzystwa Sybili Armstrong.

Lecz Posy również usłyszała głos George'a, który pytał:

— Tutaj?...

Przyśpieszyła kroku i po chwili już biegła przez wilgotny trawnik, ciągnący się tuż przed tarasem, obok którego kwitły krzaki róż, płynęła gładka wstęga rzeki, a w niej odbijały się gwiazdy niby mrugające figlarnie latarenki.

Oczom Posy ukazał się widok, który sprawił, że wydała pełen przerażenia okrzyk. Na ten dźwięk podbiegł do niej Jeffrey, aby się dowiedzieć, co zaszło.

*

Przyjrzyjmy się temu pięknemu obrazkowi, który mógł zachwycić oczy każdego obojętnego obserwatora! Ramę do obrazka tworzył łuk rozrośniętych gałęzi róż z gatunku Dorothy Perkins, jeden z tych łuków, których było mnóstwo na obszernym trawniku, zbiegającym aż do rzeki. Znaczył się ten łuk wyraźnym konturem na tle rzeki i nieba, które miały teraz odcień błękitu w świetle purpurowych lampionów. Wszędzie lampiony! Całe mnóstwo kolorów: czerwony, pomarańczowy, różowy odbijało się w gładkiej tafli wody i rozświetlało przestrzeń, na której stali mężczyzna i dziewczyna. Co mówili do siebie, tego Posy nie słyszała. Widziała tylko, jak dziewczyna uniosła obnażone ramiona i otoczyła nimi szyję mężczyzny. Nagły ruch mężczyzny sprawił, że jego twarz ukazała się w pełnym świetle jednego z lampionów. Jasna głowa, wspaniały profil, szerokie ciemne barki, a na nich plama tych węzowych ramion, wyłaniających się z czarnej sukni.

Posy nie mogła uwierzyć własnym oczom. Patrzyła. Po chwili począł w niej wzrastać nagły przypływ rozpacz, wezbrał w niej falą i uzewnętrznił się w przerażonym okrzyku: „George!”

Nie czekała. Nie widziała, jak węzowe ramiona opadły spiesznie z szyi George'a, nie widziała, jak w świetle lampionu jego twarz nagle się zmieniła. Poczęła uciekać na oślep, drąc czerwoną sukienkę o rozłożyste gałęzie krzaków róż. Zdy-

szana biegła w stronę domu. Przynajmniej tak się jej zdawało. Gdy dotarła do garażu znajdującego się tuż poza niskimi krzaczkami zarośli, dostrzegła biegnącego za nią mężczyznę. Ścigał ją Jeffrey.

— Miss Posy — zawołał z zaniem. — Dokąd pani tak ucieka?

— Ach, Jeffrey! — odpowiedziała Posy Wynn półprzytomnym głosem. — Jeffrey!... — w tej chwili nie pamiętała jego nazwiska, nie widziała nic oprócz tego obrazka w obramowaniu gałęzi kwitnących róż, w świetle purpurowego lampionu. Pamiętała tylko, że ukochany George, królewicz z jej marzeń, kiedyś powiedział: „Jesteś tą jedyną dziewczyną, którą pragnąłem w życiu spotkać”. A później: „Jesteś pierwszą dziewczyną, jaką pocałowałem, i na pewno będziesz ostatnią!” Nie dotrzymał słowa. Pozwolił się opętać tej przebiegłej Sybili, wyznawał jej swą miłość, czulił się z nią, on, człowiek zaręczony...

Zaręczone dziewczęta, jak wy byście się czuły w takiej sytuacji?

Posy Wynn, która skończyła wówczas dziewiętnaście lat, a pod względem patrzenia na życie pasowałaby raczej do dziewiętnastego stulecia, doznała uczucia, że tej nocy świat się dla niej skończył.

— Chcę wracać!

— Dlaczego? — zapytał łagodnie Jeffrey. — Żle się pani czuje? Pójdę poszukać George'a.

— Nie. — Posy mocno zacisnęła dłoń na jego ramieniu. Był przecież przyjacielem, to wszystko, z czego zdawała sobie sprawę. — Nie, nie chcę George'a. Nie chcę go więcej! Nigdy. Błagam pana. Pan jest jedyną osobą, jaką tutaj znam... Mógłby pan zdobyć jakieś auto i odwieźć mnie do hotelu?

W pobliżu stało mnóstwo aut. Szoferzy najprawdopodobniej jedli obfitą kolację w służbowych apartamentach gościnnego domu państwa Armstrongów. Bóg raczy wiedzieć, czyje było jasne sportowe auto, przy którego kierownicy usiadł Jeffrey, jak też do kogo należał futrzany płaszcz, którym Jeffrey troskliwie otulił drżącą ze zdenerwowania Posy.

— Odwiozę panią — szepnęła łagodnie. — Oczywiście! — I pojechali, choć Posy nie orientowała się, jakie mijali mosty i jakie ulice.

Dotarłszy do „Mitre”, Jeffrey wyskoczył i podał Posy rękę, która wydała się jej teraz dziwnie przyjazna i ciepła, po czym wprowadził ją do hotelowego westybulu.

— Czy pani ojciec już tu będzie? (Jest strasznie wcześnie. Boże, dopiero pięć po jedenastej).

— Czy jest dr Wynn?

—Dr Wynn jeszcze nie wrócił, proszę pani — oświadczył nocny portier.

—Bardzo się cieszę — szepnęła Posy. — Wszystko w jak najlepszym porządku. Dobranoc.

Wyciągnęła rękę do Jeffrey'a, nie widząc go zupełnie. Widziała tylko sklepienie gałęzi rozkwitłych róż, światło lampionów odbijających się w wodzie, brzeg rzeki i smukłe ramiona dziewczyny, opasujące szyję George'a.

— Bardzo panu dziękuję za opiekę.

Gdybym jeszcze cokolwiek mógł dla pani zrobić — szepnął Jeffrey z powątpiewaniem, stojąc na środku westybulu.

— Nic mi już nie potrzeba. Jestem tylko okropnie zmęczona i powinnam położyć się zaraz do łóżka. Nie będę pana zatrzymywać. Niech pan wraca i dobrze się bawi.

— Oczywiście, ma pani słuszość... ale... czy mam powie- dzieć George'owi, że pani...

— Proszę, niech mu pan o niczym nie wspomina!

Właśnie w tej samej chwili podniecony głos tuż za ich plecami zwrócił się do nocnego portiera:

— Czy jest miss Wynn?

— On przyszedł. Biegnę na górę. Nie chcę się teraz z nim widzieć. Już uciekam — szeptała Posy nagle zmieszana. Ruszyła przed siebie. Biegła niepewnie po stromych schodach, zniknęła za zakrętem wąskiego korytarza. Znalazła się w swoim pokoju i ostatnim wysiłkiem woli zdołała zatrzasnąć za sobą drzwi.

VI. PIERWSZE ZAŁAMANIE

Na dole w westybulu George, który przyjechał do śródmieścia w pośpiechu wynajętym autem, spotkał się oko w oko z przyjacielem.

Wielce podniecony zapytał:

— Co się stało z Posy?

Jeffrey O'Brien, którego poorana bruzdami twarz wyrażała teraz najwyższe zniecierpliwienie, zdziwienie, litość i jednocześnie oburzenie, powtórzył:

— Co się stało z Posy? Mam wrażenie, że zależało ci na tym, aby ją utracić.

— O czym ty właściwie mówisz?

— Tylko o tym, co widziałem od czasu, gdy dziewczyna przyjechała do Oxfordu — odparł z powagą młody człowiek. — Nie jesteś wart tego, aby ta mała urocza królewna kiedykolwiek do ciebie należała.

— Co ty pleciesz?

— To, co myślę! Czy nie wciągnąłeś jej do tej bandy? Czyż nie zraniłeś jej serca nader boleśnie? Zabrałeś ją na wieczorek, na który nie miała ochoty pójść, a potem zdobyłeś się na tyle nietaktu, że urządziłeś wszystko tak, aby cię zobaczyła w najbardziej nieodpowiedniej chwili...

Teraz na twarzy George'a odmalował się gniew.

— W najbardziej nieodpowiedniej chwili? Co chcesz przez to powiedzieć? Mówisz o mnie?

— Nie udawaj — oburzył się Jeffrey, spoglądając na niego groźnie. — A jaka to była chwila tam nad rzeką? Czy nie całowałaś tamtej dziewczyny?

George spojrzał na przyjaciela, nadal nic nie rozumiejąc

— Powiedz mi jasno, co masz na myśli!

Jeffrey wzruszył ramionami.

— Doskonale! Myślisz teraz, że wtrącam się do cudzych spraw. Umywam od tego ręce — odwrócił się i skierował ku drzwiom.

— Hej, stój! Słuchaj, Jeffrey... Ach, sytuacja jest nie do zniesienia — wymamrotał George. Zatroskany wzrok przeniósł teraz z twarzy przyjaciela na twarz nocnego portiera siedzącego przy biurku, a potem na twarz kelnera i dostrzegł, że obydwaj usiłują przybrać takie miny, jakby nie słyszeli rozmowy i nie rozumieli z niej ani słowa. — Jeffrey, tu zaszło jakieś nieporozumienie, jakaś omyłka!

— Mam wrażenie, że twoja narzeczona inaczej o tym sądzi.

—Boże święty! — George podniósł ręce w górę, chwytając się za włosy w bezdennej rozpacz. — Czy ona myśli o tym tak, jak ty powiedziałeś?

—Bo tak to wygląda, George. Nie zaprzeczysz chyba, że to wszystko jest kompromitujące!

—Kto mógłby temu zaprzeczyć? — jęknął nieszczęśliwy George. — Ale co mam teraz robić, człowieku?

—Jak to co? Musisz coś na ten temat powiedzieć miss Posy. Może powiesz prawdę? Jeżeli ma się już stać najgorsze, to wyjaw prawdę. Kobiety są dziwnymi stworzeniami. Czasami wolą prawdę niż wszystkie najpiękniejsze wykręty. Miss Posy miała się położyć do łóżka i oświadczyła, że nie chce cię więcej widzieć. — Z nagłym, nieco komicznym zażenowaniem rudowłosa austriacko-irlandzki Amerykanin zwrócił się do George'a. — I wcale jej się nie dziwię, jeżeli taka ma być perspektywa życia przy twoim boku. Czy nie masz ochoty napisać do niej karteczki, ty przebiegły łotrze?

—Tak. Owszem, ale... muszę... Oczywiście — jęknął coraz bardziej przygnębiony George. Z zafrasowaną miną usiadł przy najbliższym stoliku i zaczął pisać. Sam nie wiedział, od czego zacząć, jak wyrazić słowami myśli, które mu przebiegały teraz przez głowę.

Wreszcie zdecydował się i napisał:

Skarbie...

Dlaczego uciekłaś w taki dziwny sposób z wieczorku? Absolutnie nie jest tak, jak myślisz. Proszę Cię, narzuć coś na siebie i zjedź na dół..."

W tym miejscu przypomniał sobie, że ostatnie napisane zdanie jest zdaniem wyjętym z jakiejś sławnej anegdoty... Ze złością podarł kartkę i zaczął pisać ponownie:

Skarbie,

Zejdź na dół. Muszę się z Tobą chociaż na chwilę zobaczyć. Nie możesz mi odmówić. Będę zrozpaczony, jeśli tego nie zrobisz. Ewentualnie napisz mi kilka słów na dobranoc i powiedz, że jutro wszystko będzie jak najlepiej między Tobą i Twoim George'em.

— Proszę to zanieść miss Wynn.

Był to najkrótszy liścik, jaki kiedykolwiek do niej napisał. Czekał teraz, spacerując tam i z powrotem między stolikami i fotelami hotelowego westybulu, aż posłaniec, którego portier posłał na górę, wreszcie wrócił. Jeffrey pomyślał: „Ej!

Jakoś diabelnie prędko!" George jednak, coraz bardziej zdenerwowany i niecierpliwiwy, miał wrażenie, że jego oczekiwanie trwało już cały wiek.

Pośpiesznie otworzył kopertę. W kopercie znalazł arkusz papieru, na którym nie było ani słowa, oprócz adresu hotelu „Mitrę”, a wewnątrz złożonego arkusza dostrzegł swój skromny zaręczynowy pierścionek z perłą i turkusem.

Nawet Posy byłaby zadowolona, gdyby mogła teraz ukradkiem zajrzeć do hotelowego westybulu na dole i dostrzec George'a otwierającego kopertę i wyciągającego z niej pierścionek. Gdyby chociaż mogła usłyszeć pełen rozpaczyny okrzyk pobladłego młodzieńca: „Boże święty...”

— Co się stało? — zapytał Jeffrey niecierpliwie.

George Stirling podniósł rękę i pokazał przyjacielowi maleńki złoty przedmiot wyjęty z koperty.

— Ale co ci napisała, George?

Bezdźwięcznym głosem George odparł:

— Nic nie napisała.

— Źle — oświadczył Jeffrey ze smutkiem. — Gdy kobiety piszą, udają, że są obrażone, kiedy jednak nic nie piszą, należy sprawę brać poważnie.

— A zatem to jest koniec — szepnął George z rezygnacją: gdyby go Posy usłyszała, na pewno zabiłoby dla niego mocniej to zazdrosne małe serduszko, znajdujące się teraz o piętro wyżej. — Zerwała ze mną. Już koniec.

Towarzysz spojrział na niego niedowierzająco.

— Koniec? Człowieku, czy nie masz zamiaru walczyć o dziewczynę, którą kochasz? — oburzał się Jeffrey, a jego brzydka twarz spłonęła rumieńcem nagłej energii, którą odziedziczył po swych przodkach. — Przecież tego wszystkiego nie możesz tak zostawić! Jeżeli zrezygnujesz, będziesz tchórzem. Zastanów się, co powinieneś teraz zrobić. Przede wszystkim musimy wrócić do Armstrongów.

„U kobiety decydująca jest pierwsza myśl, u mężczyzny zaś druga”, mówi przysłowie.

Pierwszą myślą Posy Wynn było zerwać z palca pierścionek, włożyć go do koperty i wręczyć posłańcowi.

— Tak! To jest pierwsza rozsądna rzecz, na jaką się wreszcie zdobywam! W tej chwili, kiedy zerwałam zaręczyny, czuję się o wiele lepiej!

Istotnie, odczuła jakby ulgę i odprężenie nerwów, które miała niezwykle napięte przez całe popołudnie i cały wieczór.

Całkiem naturalne jednak, że to uczucie zadowolenia z odesłania George'owi pierścionka nie mogło trwać wiecznie (takie rzeczy nigdy nie trwają długo). W ciągu pierwszej półgodziny zaczął ją opanowywać gniew, później gniew ustąpił miejsca rozpamiętywaniu owej sceny między George'em i „tamtą”, sceny, której była mimowolnym świadkiem.

Przez całą majową noc wesoło tańczono w gościnnym salonie Armstrongów. Dlaczego by zresztą goście nie mieli się wesoło bawić? Posy Wynn, która wymknęła się tak wcześnie, była przecież jedyną osobą nie biorącą udziału w zabawie. Prawie przez całą noc dr Wynn siedział ze swym dawnym szpitalnym kolegą, pijąc słynne oxfordzkie piwo, paląc cygara i także bawiąc się doskonale. Przez całą prawie noc zrozpaczona Posy szlochała w hotelu „Mitrę” z twarzą ukrytą w poduszkach. Chyba już przez całe życie będzie miała przed oczami George'a stojącego nad brzegiem rzeki. Przez cały czas swego narzeczeństwa Posy nie ośmieliła się zarzucić ramion na szyję George'a, jak to uczyniła tamta. Ona, Posy, która była z nim zaręczona od roku nigdy nie zdobyła się na taką „demonstrację”.

Może to była właśnie metoda, która George'owi bardziej przypadła do gustu. Doskonale! Ach, świetnie! Niech zaznaje dalej rozkoszy.

Ale pomyśleć, że wszystko między nią i George'em (tym ukochanym George'em!) już się skończyło... Nastąpi w życiu pustka... Posy zostanie starą panną, będzie tak wyglądała jak siostra Davis. (Rozplakała się jak dziecko.) Jutro — co za straszna myśl! — zobaczy się z ojcem i będzie musiała wszystko szczerze powiedzieć: „Nie, George dzisiaj nie przyjdzie po mnie. George już nigdy po mnie nie przyjdzie. Nie odprowadzi nas na dworzec w poniedziałek rano. Już nigdy więcej, nigdy! Wszystko się skończyło”.

Płacząc coraz głośniej, Posy zasnęła. Zbudził ją dźwięk tych niezliczonych kościelnych dzwonów, którymi Oxford zawsze witał niedzielny ranek.

Usłyszała jeszcze jakiś szmer, pukanie do drzwi swojej sypialni.

— Proszę wejść! — zawołała zmęczonym głosem, kryjąc znowu bladą twarzą w poduszkę, aby pokojowa nie dostrzegła śladu łez, których Posy tyle wylała podczas nocy.

Pokojowa przyniosła list.

Co takiego? Po tym wszystkim? Tak, mimo wszystko ukochany George nie dawał jeszcze za wygraną. W tej samej chwili Posy zawstydzila się i cieplej pomyślała o George'u, który jednak okazuje skruchę i pragnie wrócić do niej, do swojej Posy. Wskoczyła z łóżka w białej długiej nocnej koszuli, z ciemnymi włosami rozsypanymi na ramiona. Wskoczyła z tych miękkich poduszek, młoda i świeża, z włosami wijącymi się naturalnie, czego by jej na pewno pozazdrościły inne dziewczęta, zmuszone co sześć miesięcy poddawać się zabiegowi trwałej ondulacji.

— Zaraz, zaraz — zawołała gorączkowo, otworzyła list i dopiero teraz dostrzegła, że nie był to list od George'a.

Ujrzała kobiecy charakter pisma, gorzej, bo charakter pisma tamtej dziewczyny, z beczelnym podpisem u dołu: „Sybila Armstrong”. Więc to ona pisała?

„To musi być — pomyślała Posy z drżeniem — zawiadomienie o ich zaręczynach. Chce mi donieść, że wychodzi za mąż za George'a...”

TLR

VII. WYJAŚNIENIE

Treść listu była następująca:

Droga Miss Wynn,

Proszę się nie gniewać i przyjąć moje zaproszenie na przejażdżkę dziś rano jak najwcześniej, gdy ulice Oxfordu nie są jeszcze zbyt zaludnione. Będę czekać tutaj na dole, jak długo Pani zechce, dopóki nie będzie Pani gotowa. Bardzo serdecznie Panią proszę!

Przesyłam pozdrowienia, życzliwa

Sybila Armstrong.

„Cóż za bezczelność” — pomyślała znowu zagniewana Posy. Nie zorientowała się, że wypowiedziała to głośno, pokojowa zaś zapytała uprzejmie:

— Czego pani sobie życzy, miss?

— Nie, nic — mruknęła Posy, spoglądając na list. — Zaprasza mnie na przejażdżkę!

— Czy będzie jakaś odpowiedź, miss?

„Nie! Nie mogę z nią pojechać — pomyślała Posy niechętnie. — Ta dziewczyna na pewno chce mi powiedzieć coś nieprzyjemnego... Albo chce skłamać o tym, co się stało wczoraj wieczorem. Chce nade mną zatriumfować...”

W tej chwili dostrzegła w lustrze swą twarzyczkę, która była zarumieniona, pałająca gniewem i wyglądała całkiem inaczej, niż powinna była wyglądać. Najwyraźniej twarz Posy była teraz wypoczęta i świadczyła o tym, że dziewczyna spała spokojnie, nie mając żadnych przykrych snów — od wpół do czwartej do kwadransa na jedenastą. Każda kobieta czuje się lepiej, gdy zauważy, że dobrze wygląda. Posy skonstatowała, że jest teraz zdolna pokonać swoją rywalkę. Godność... lodowaty spokój...

— Owszem, będzie odpowiedź — zwróciła się do pokojówki. — Proszę poprosić miss Armstrong, by zechciała na mnie zaczekać. Proszę jej powiedzieć, że zejdem za chwilę, kiedy się ubiorę. Postaram się, żeby zbyt długo mnie nie oczekiwała,

— Ach, jest pani! Strasznie to miło z pani strony — zawołała miss Sybila Armstrong. Miała dzisiaj na sobie czarny angielski żakiet i biały kapelusz, na szyi jedwabny szalik, czarny w białe wzory; całość niezwykle harmonizowała z jej spokojną, pewną siebie miną. Stała w westybulu przy tym samym stoliku, na którym George pisał wczoraj kartkę do Posy. — Pani ojciec powiedział mi, że pani zazwyczaj bardzo prędko się ubiera.

Dr Wynn stał tuż przy miss Armstrong. Na jego twarzy malował się wyraz zadowolenia, a oczy błyszczały mu młodzieńczo, najwidoczniej po wesołej rozmowie z czarującą istotą, która śmiało mogła być jego córką.

„Jacy ci wszyscy mężczyźni są dziwni! — pomyślała Posy. — Wystarczy, żeby się któryś tylko wydostał z domu. Chociażby ojciec, zatrzymał się w najelegantszym hotelu i już flirtuje sobie z młodymi pannami, i nawet na myśl mu nie przyjdzie, żeby mnie zapytać o najważniejsze rzeczy! Wszystkie jego rozmowy ze mną opierają się na zdawkowych powiedzeniach: «Więc czekam na ciebie z drugim śniadaniem, kochanie. Bądź punktualna! Do widzenia». Albo może: «Spotkamy się na podwieczorku, żebyś tylko nie zapomniała»”.

— Dobrze, tato — zawołała Posy, siłąc się na spokój, i z godnością usadowiła się przy boku Sybili Armstrong w małym dwuosobowym samochodzie. Pomknęły przed siebie — ona i ta dziewczyna, która była jej pierwszą znienawidzoną rywalką! Przejeżdżały pustymi staroświeckimi, wąskimi uliczkami, przy akompaniamencie ustawicznie bijących kościelnych dzwonów i dopiero po dłuższej chwili Sybila Armstrong, zwalniając nieco tempo jazdy, zapytała:

— Może byśmy się zatrzymały?

Znajdowały się na bocznej drodze za miastem, prowadziła do starej gospody „Pod Pstrągiem” na przedmieściu Godstowe.

— Będziemy tu mogli swobodnie porozmawiać.

Zatrzymała auto tuż przy żywopłocie z kwitnącego głogu.

— Zawsze rozmawia się lepiej, gdy człowiek może zapalić papierosa, nie uważa pani? — odezwała się Sybila.

Usiadły w ogródku...

(W parę lat potem Posy przypominała sobie „ten szalenie wesoły pierwszy ranek w towarzystwie Sybili!”) Posy odpowiedziała chłodno:

— Najgorsze jest to, że ja w ogóle nie palę. — I po raz pierwszy w życiu czuła się dziwnie zawstydzona, gdy ujrzała, jak Sybila ruchem pełnym gracji wyjmowała z kieszeni małą emaliowaną papierośnicę z dużą literą S, nałożoną ze srebra. Trzeba było widzieć, jak niedbałym ruchem zapalała zapałkę! Cały jej sposób palenia był wyjątkowo ponętny.

„W ogóle ta dziewczyna ma coś w sobie — myślała Posy. — Dlaczego ja nie potrafię palić i nie potrafię zwrócić niczyjej uwagi na swoje ręce (a przecież mam ręce o wiele ładniejsze od niej). Także ten jej sposób układania ust”...

Najwidoczniej ta młoda kobieta wzorowała się na sposobie bycia jakiegoś eleganckiego młodego człowieka, z którym musiała dość często przebywać. Przecież takich rzeczy nie można się nauczyć od „starszych”! Posy nauczyła się też wiele od swojej pierwszej rywalki, którą obserwowała właśnie od tego pierwszego poranka, kiedy jeszcze nie wiedziała, że Sybila tak bardzo zaważy na szali jej życia!

Panna Armstrong zwróciła się do Posy z na wpół ironicznym, na wpół przyjaznym uśmiechem:

— Mam wrażenie, że chciałaby się pani dowiedzieć, jakie mam zdanie o minionej nocy?

— Hm... ja...

Sybila pośpieszyła jej dopomóc:

— Pani narzeczonemu...

— Chciałam właśnie wyjaśnić, że on już teraz nie jest moim narzeczonemu — odparła spokojnie Posy.

— Ach, istotnie? Bardzo mi przykro, że bawi się pani w takie konwenanse — mruknęła Sybila — ale w danej chwili będę go jeszcze nazywała pani narzeczonym. Przyznaję się całkiem szczerze, że ogromnie wobec pani zawiniłam. Ale proszę mnie wysłuchać. Czy mogłaby pani wybaczyć komuś, to znaczy mnie, bo właściwie nie byłam wtedy sobą, ponieważ moje uczucie doprowadziło mnie do szaleństwa?

„Mogłaby mi tego zaoszczędzić, obrzydliwa dziewczyna!” — pomyślała Posy.

Obrzydliwa dziewczyna odezwała się po chwili:

— Na samym początku muszę panią zapytać, czy wie pani, ile mam lat?...
Trzydzieści dwa.

Posy odczuła zdziwienie. Była pewna, że miss Armstrong ma najwyżej dwadzieścia pięć lat. Trzydzieści dwa lata — to przecież można uważać za wiek średni.

— Właśnie ten fakt ma z całą sprawą bardzo wiele wspólnego — ciągnęła dalej Sybila. — A wie pani, co jest najokropniejsze? Wie pani, jacy są mężczyźni?

„Oczywiście, że wiem” — pomyślała Posy. Siedziała sztywno wyprostowana, jakby się lękała oprzeć o poręcz ławki, i w pewnej chwili zapytała lodowatym tonem:

—Więc jest pani aż tak strasznie zakochana w George'u Stirlingu?

—W George'u? — pytanie to było raczej okrzykiem zdziwienia, który się dożył z piersi miss Armstrong. — Ja w nim zakochana? Mogła mnie pani zupełnie śmiało o to posądzić, bo całe moje postępowanie na to wskazywało. Ale w gruncie rzeczy jest całkiem inaczej. Sądzę, że lepiej będzie opowiedzieć pani całą smutną historię mego życia, tylko muszę się streszczać. Otóż, gdy byłam jeszcze bardzo młoda (oczywiście przed wojną!), miałam wyjść za mąż za człowieka, który walczył na froncie. Gdy mój narzeczony został zabity, doznałam uczucia, jakby w moim sercu coś zamarło. Byłam tak zrozpaczona, że nie przypuszczałam, abym mogła kiedykolwiek w życiu pomyśleć jeszcze o miłości czy o małżeństwie. Czy pani to rozumie?

—Tak — wyszeptała Posy z goryczą.

—Byłam dziwnie odpychająca i zimna przez następne lata. Uprawiałam tylko niewinne flirty, aż wreszcie zorientowałam się, że znowu zajęłam się kimś goręcej. Okropne uczucie. Było to przed trzema czy czterema laty i miałam przekonanie, że on nigdy nie odwzajemni się żadnym uczuciem. Mężczyzną tym był Guy Turner, ten sam, którego widziała pani wczoraj na wieczorku. Tak, rozu-

miem, że to panią dziwi, ale mniejsza o to. Powiem pani tylko, że zaręczyliśmy się wczoraj w nocy, przed samym zakończeniem wieczorku i nasz ślub odbędzie się tego lata, przed wyjazdem Guya do pułku, który stacjonuje w Indiach.

„A zatem — pomyślała Posy, jeszcze ciągle trochę oszołomiona — a zatem ona wcale nie ma zamiaru zostać żoną mojego George'a. Więc co to wszystko miało znaczyć?”

Zaczęła słuchać jeszcze bardziej uważnie.

Panna Armstrong ciągnęła dalej:

— Muszę zaznaczyć, że obydwójce z Guyem chcieliśmy nasze zaręczyny zachować w tajemnicy. Guy przed oświadczynami chciał mi dać nauczkę, żebym nadal nie postępowała z mężczyznami tak bezwzględnie. Uważa, że jestem wyrafinowana i zepsuta. I pomyśleć tylko, że właściwie do tych wszystkich mężczyzn absolutnie nic nie czuję! Przypuszczam, że i pod tym względem pani mnie rozumie?

Spojrzała ukradkiem na Posy, która skinęła potakująco głową.

—Postępowałam tak dziwnie, że mogła sobie pani o mnie wyrobić jak najgorszą opinię! W każdym razie między mną i Guyem sytuacja zaostrzała się coraz bardziej. Osiągnęła nawet kulminacyjny punkt podczas jednego z wczorajszych tańców. Trudno, człowiek czasami potrafi wiele zaryzykować. W pewnej chwili, tańcząc ze mną, nagle mnie zapytał:

„Więc jeszcze ciągle sądzisz, że z każdym mężczyzną możesz zrobić, co tylko zechcesz? Ciekawe, kto cię utwierdził w tym mniemaniu?” A ja mu na to odpowiedziałam, że prawdopodobnie utwierdziło mnie w tym samo doświadczenie. Zaczął się ze mną przekomarzać, upierając się przy swoim, co mnie najbardziej zirytowało, aż wreszcie oświadczyłam mu, że potrafię uwieść nawet najstateczniejszego mężczyznę. Wskazałam mu wtedy George'a, o którym powiedziałam, że jest zimnokrwisty i najsolidniejszy ze wszystkich oxfordzkich studentów i że nawet ma narzeczoną.

—Ach — wyszeptała z przerażeniem narzeczoną George'a Stirlinga. — Pani nazywa George'a Stirlinga „zimnokrwistym”? Najlepszy dowód, że go pani wcale nie zna, chociaż przypuszczam, że już dzisiaj powinna go pani znać trochę lepiej.

Słyszając to, Sybila wybuchnęła głośnym śmiechem, po czym życzliwie zwróciła się do Posy:

—Proszę mi wybaczyć. Sama nie wiem, dlaczego się w tej chwili śmiałam. Uważam, że ta sprawa jest bardzo poważna.

—Proszę, niech pani mówi dalej — zachęciła ją chłodno Posy. — A może nie chce pani nic więcej powiedzieć? Właściwie już wszystko rozumiem. Wygrała pani zakład i gdy powiedziała pani o tym majorowi Turnerowi, uległ uczuciu tak wielkiej zazdrości, że się załamał, jak to się mówi, i oświadczył się pani. Rozumiem.

—W tym wypadku jest pani w błędzie — odparła Sybila i jej twarz nagle posmutniała. — Muszę powiedzieć, miss Wynn, że chociaż wyraźnie prowokowałam George'a, aby mnie pocałował, to pod tym względem sukcesu nie osiągnęłam.

— Nie pocałował pani? — wyszeptała ze zdziwieniem Posy.

Sybila znowu się uśmiechnęła.

—Widzę, że sprawiłam pani niespodziankę, a dla mnie jest to pierwsza porażka w życiu — rzekła. — Ale to niestety prawda. Nie tylko że pani narzeczony nie odwzajemnił mi się żadną pieszczotą, lecz muszę pani wyznać, że wyraźnie nie pochwała mojej metody i nawet nie darzy mnie zbytnią sympatią. Właśnie wczoraj w nocy doszedł do niemiłego dla mnie wniosku — skrzywiła się niechętnie — że jestem intrygantką...

—Ależ on jest panią zachwycony! — wybuchnęła Posy.

—Może pani być pewna, że już nigdy nie będzie się mną zachwycać. Pozostaną dla niego bezczelną wampirzycą, która korzysta z każdej nadarzającej się sposobności. Chcąc za wszelką cenę wygrać zakład, czule się do niego przytuliłam...

—Ach!... Właśnie widziałam...

—Tak. Trafiła pani na najbardziej dramatyczny moment. Lecz gdyby pani zbliżyła się jeszcze o kilka kroków, usłyszałyby pani na pewno, co George do mnie mówił. — Zmieniła teraz głos, naśladując oxfordzki akcent George'a: — „Miss Armstrong, powinienem panią teraz odprowadzić do salonu, jestem pewien, że pani tancerz jest ogromnie zaniepokojony pani nieobecnością, a ja też muszę wracać do mojej narzeczonej ”

— I pani mi to mówi? — zdziwiła się nieśmiało Posy.

— Moja kochana, przecież to prawda, pod słowem honoru.

—Uważam, że żadna inna dziewczyna nie zdobyłaby się na taką odwagę. Pani jest naprawdę niezwykle szczerą.

—Chociaż mam mnóstwo wad, to jednak nikt mnie jeszcze nie posądził o brak szczerości — uśmiechnęła się Sybila Armstrong, podnosząc w górę ręce, jakby wzywała cały świat na świadka. — Uważam, że będzie lepiej, gdy pani

wysłucha wszystkiego do końca. Otóż po tej mojej porażce znowu tańczyłam z Guyem. Oczywiście, gdy tylko zbliżył się do mnie, natychmiast niecierpliwie zapytał: „No i jakże ci się powiodło z tym zimnokrwistym studentem?” Byłam tak przygnębiona, że zupełnie bez namysłu odpowiedziałam:

„Guy, nie śmieć się ze mnie, bo po raz pierwszy w życiu zostałam zwyciężona. Czuję się teraz tak, jak Napoleon po przegranej bitwie pod Waterloó. Ten młody człowiek nie zwrócił uwagi na moje wysiłki, a w dodatku mam teraz zmartwienie, że z mego powodu poróżnił się ze swoją narzeczoną”. I wszystko szczegółowo opowiedziałam Guyowi. Przypuszczam, że nikt nie potrafiłby mnie bardziej subtelnie uspokajać, niż on to zrobił w owej chwili. Ale na tym jeszcze nie koniec. Po krótkiej chwili któryś z gości wbiegł do salonu wołając, że mu ukradziono samochód, ktoś inny oświadczył, że widział odjeżdżające auto, prowadzone przez rudowłosego Jeffreya, który jechał w towarzystwie narzeczonej George'a Stirlinga. Wówczas George Stirling już dłużej nie wytrzymał, w zderzeniu zawołał: „Co takiego?!”, zupełnie oszołomiony wsiadł do pierwszego wozu stojącego przed domem i natychmiast pomknął do hotelu „Mitre”. Zanim się jeszcze zdołano we wszystkim zorientować, Jeffrey znowu się znalazł w naszym salonie. George'a już więcej nie widziałam, podbiegłam więc do Jeffreya wielce poirytowana: „Pan przecież zna tę całą historię. Jestem po prostu nieprzytomna ze zmartwienia i przestachu i błagam pana, żeby mi pan opowiedział wszystkie szczegóły”. A on na to: „Miss Armstrong, faktem jest, że tamta młoda dama dała George'owi kosza. Odesłała mu pierścionek, byłem świadkiem tego zdarzenia. George doszedł do wniosku, że wszystko jest między nim a jego narzeczoną skończone”. Zrozumiałam, że moim obowiązkiem jest naprawić wyrządzone krzywdy. Powiedziałam Jeffreyowi, że postaram się zobaczyć z panią z samego rana i wszystko szczegółowo wyjaśnić. Przyznał, że to jedyny możliwy sposób... a propos, czy on się kiedyś w pani kochał, miss Wynn?

—Kto... Jeffrey? Boże święty, skądże! Ja w ogóle znam go bardzo mało — broniła się Posy. — Ale George... rzeczywiście odesłałam mu pierścionek zaręczynowy...

—Zdaje się, że uczyniłam wszystko, co było w mojej mocy, aby ten pierścionek znowu wrócił do pani?

Posy wyciągnęła swoją drobną dłoń, by gorąco uścisnąć rękę kobiety, której przed kilku godzinami jeszcze tak nie lubiła.

— Sama nie wiem, jak mam pani za to dziękować.

— Najlepszą nagrodą będzie, gdy zobaczę, że między wami znowu wszystko jest w porządku. Spotka się pani z George'em?

— Mam się spotkać... z nim?

—Zaaranżowanie tego spotkania biorę już na siebie — oświadczyła Sybila z westchnieniem ulgi i z życzliwym, przyjacielskim uśmiechem. — Jeżeli mam być szczerą, to dziś rano telefonowałam na uniwersytet do George'a i zostawiłam wiadomość, że czeka pani na niego w gospodzie „Pod Pstrągiem”. To bardzo miły zakątek, tuż nad rzeką, z ogródkiem pełnym fioletowych bratków, z dumnie spacerującymi pawiami i z całym mnóstwem innych atrakcji! Właśnie mam ochotę zawieźć tam panią.

—Pani jest naprawdę aniołem — wyszeptała nieśmiało Posy. Jej twarzyczka nagle się rozjaśniła i ukazało się na niej coś w rodzaju uśmiechu, który za wszelką cenę usiłowała ukryć, aby nie okazywać na zewnątrz zbyt wielkiej radości.

Świat znowu tonał w złocistych słonecznych promieniach. Życie uśmiechało się i było dla niej pełne obietnic przy boku George'a. Cudownie, wspaniale! W Oxfordzie panował maj, a teraz przeniósł się do małego serduszka Posy, bo przecież nadchodziła pora lunchu, pora, kiedy ujrzy George'a i kiedy wszystko się między nimi wyjaśni!

Gdy auto zatrzymało się po chwili w miejscu, gdzie stało już kilka dwuosobowych samochodów, Posy zwróciła się nieśmiało do swej rywalki, którą teraz uważała za przyjaciółkę:

— A pani tam nie wejdzie? Bardzo byłabym rada.

— Nie, kochanie, wolę nie wchodzić. Zresztą Guy już pół godziny czeka na mnie w domu. Pani to chyba rozumie! Proszę wejść i usiąść w tym czarownym ogródku. Podadzą pani koktajl... Ach, zapomniałam, przecież pani nie pije ani nie pali. Boję się, że przyjechałyśmy tu trochę za wcześnie, ale mam nadzieję, że George nie pozwoli pani zbyt długo na siebie czekać. Do widzenia, kochanie, możliwe, że nie zobaczymy się już przed pani wyjazdem z Oxfordu. Chciałabym mówić pani po imieniu. Musi pani koniecznie być na moim ślubie, a ja na pani ślub też postaram się przyjechać, dobrze? Mam nadzieję, że przyszły mąż pani nie będzie z mojej wizyty bardzo niezadowolony. Au revoir.

Pozostawiła Posy siedzącą na drewnianej ławce pod krzakiem kwitnącego jaśminu, czekającą na George'a i przejętą tym miłym uczuciem, że wszystko na świecie jest piękne. Po tej strasznej nocy była tutaj w słoneczny, pogodny dzień, otoczona rozkwitłymi drzewami, szczęśliwa, że żyje.

Ale...

*

I tutaj następuje nielogiczny zwrot w historii zaręczonej dziewczyny.

Czy któraś z zaręczonych dziewcząt doznała takiego uczucia jak Posy? Gdzieś głęboko pod owym uczuciem szczęścia, poza radością, głęboko na samym dnie duszy Posy uświadomiła sobie, że przejmuje ją zimny dreszcz na wspomnienie zachowania George'a.

Czy istnieje na świecie coś bardziej nierozsądnego?

Bo przypuśćmy, że George odwzajemnił się tamtej dziewczynie pieśczołą. Przypuśćmy, że wówczas, gdy przywarła do niego całym ciałem, przytulił ją do siebie i pocałował w czerwone rozchylone usta. Takie zachowanie byłoby stanowczo nieetyczne; ale George nagle zeszywniał, stał wyprostowany jak posąg i zaczął najspokojniej mówić o następnym tańcu. Na pewno Posy nie mogłaby więcej myśleć o ukochanym George'u, gdyby w owej chwili zachował się inaczej.

Tak, pozostaje jednak faktem, że po raz pierwszy od chwili, kiedy go poznała, doświadczyła tego dziwnego dreszczu rozczarowania.

Ale teraz nagle George wyłonił się z głębi cudownego krajobrazu i szedł spieszenie w jej stronę. Słoneczne promienie tego ranka były jeszcze bardziej złociste i zdawały się całować jego jasną czuprynę, opadającą na czoło. Posy westchnęła i powiedziała do siebie:

— Życie nie miałoby dla mnie żadnej wartości, gdybym doszła do wniosku, że już nigdy nie będę miała prawa odgarnąć mu tej czupryny z czoła.

VII. POJEDNANIE

Nieoczekiwanie uśmiechnęła się, obserwując jego wysoką postać w szarym flanelowym garniturze, zbliżającą się ku niej przez mały mostek, który łączył ogródek z dziedzińcem gospody. Był już tuż, tuż... Ach, i wyobrazić sobie, że mogła go właściwie nigdy więcej w życiu nie widzieć... Niemożliwe... Wspaniale rozkwitłe pęki białego bzu zwisały nad gankiem gospody, na którym spotkali się tego ranka. A ponad wszystkim ten szum wody... Szum wody, który zdawał się poruszać białym rozkwitłym bzem. Podczas długich następnych lat Posy zawsze poprzez szum wody słyszała miły, onieśmielony nieco głos witającego ją George'a:

—Posy! Słuchaj, Posy...

—Ach, George! — wyszeptała Posy z głębokim westchnieniem.

George wyjmował coś ze skórzanego portfela... mały pierścionek, ten, który Posy poprzedniej nocy zdjęła z palca. Nic nie mówił, tylko patrzył na nią.

— George, mnie jest strasznie przykro. Okropnie mi przykro, George najdroższy. Nie powinna byłam tak źle myśleć o tobie...

George ujął jej rękę, pocałował i dłuższą chwilę trzymał przy ustach.

—Słuchaj, nie będziemy o tym więcej mówić, dobrze?

—I ja bym nie chciała. To było takie straszne...

—Więc już nic lepiej na ten temat nie mów.

Dopiero o wiele później Posy głęboko się zastanawiała:

„Czy tak było dobrze? Czy słusznie postanowiliśmy? Przypuśćmy, że zdobyłabym się na odwagę i powiedziała: »George, znam całą historię. Czuję się teraz...« i tak dalej. »Gdy nie mogłam zasnąć ostatniej nocy, myślałam...« Przypuśćmy, że George także odpowiedziałby odważnie: »A ja myślałem...« Czy wówczas nie mielibyśmy do siebie więcej zaufania? Najważniejsze, gdybym mu mogła na ostatku powiedzieć: »George! Najbardziej przejmuję mnie fakt, że obca dziewczyna ośmieliła się zarzucić ci ramiona na szyję, czego ja bym nigdy nie śmiała zrobić!« Przypuśćmy, że tak bym mu powiedziała, czy to by sprawiło wielką różnicę?"

Ale musicie zrozumieć, że te refleksje przyszły już w kilka lat później. Podczas owej pamiętnej chwili Posy nie zdawała sobie jeszcze z tego sprawy. Tylko

te zaręczone dziewczęta, które zaznały przykrości i cierpień z przyczyny swych ukochanych, mogą dokładnie pojąć, jak spokojna, jak pogodna była Posy, gdy znalazła się znowu przy boku swego narzeczonego. Znajdowali się zresztą w idealnym miejscu do przeprosin. Staroświecka nadbrzeżna gospoda, rzeka, szmaragdowe bezkresne łąki, upajająca woń rozkwitłych kwiatów i pełen ukojenia szum płynącej wody...

— Żeby jeszcze nie było lunchu — zauważył w pewnej chwili George — bo mam ci teraz mnóstwo rzeczy do powiedzenia... Wróćmy do ogrodu, nad brzeg rzeki.

Były tam barwne gazony i szmaragdowe puszyste trawniki, wśród których spacerowali ręka w rękę. Był również paw, który przystanął arogancko na mchu i głośno krzyknął (jak francuska histeryczka robiąca mężowi scenę), bo pogoda była niepewna, chociaż słońce tak jasno świeciło (pogoda zawsze jest niepewna, jeżeli chodzi o humory dwojga zakochanych).

Idąc tuż przy Posy, George powiedział:

— Posłuchaj, nareszcie mam okazję zdradzić ci tajemnicę, którą przez cały czas zachowuję dla siebie. Posy, to zbyt cudowne, aby mogło być prawdziwe...

Spoza kwiatowego gazonu paw podniósł swą piękną głowę i głośno krzyknął, patrząc w niebo. Przepowiadając deszcz, zdawał się jakby szydzić z tego, co w tej chwili George mówił do swej ukochanej:

—W najbliższej przyszłości coś się stanie, a ty wcale się tego nie spodziewasz. Wyobraź sobie, że możemy od razu się pobrać!

—Od razu się pobrać? — powtórzyła oszołomiona Posy. I nawiedziła ją typowo kobieca myśl: „Ależ ja nie mam odpowiedniej sukienki?” A po chwili druga: „Czy będę mogła zatelegrafować do mamy w niedzielę?” Po chwili zapytała nieśmiało, z zapartym oddechem: — George, więc to się odbędzie w Oxfordzie?

(Znowu ten przeraźliwy krzyk pawia spoza gazonu aksamitnych, fioletowych bratków).

—Co ma się odbyć w Oxfordzie? Nasz ślub? — zapytał George nagle zdziwiony. — Dlaczego, skarbie? Czy nie wolałabyś, żeby to się odbyło w naszym „zielonym raju”, w twoim rodzinnym domu, gdzie spotkaliśmy się po raz pierwszy, w otoczeniu twoich starych przyjaciół i w tym cudownym małym walijskim kościółku, w którym byłaś chrzczona?

—Oczywiście, że tak byłoby lepiej. Naturalnie. Ale jak usłyszałam, że chcesz wziąć ślub „od razu”, myślałam, że to musi być już teraz...

—Tak zaraz po zjedzeniu lunchu? — George odrzucił w tył swoją jasną czuprynę i wybuchnął śmiechem.

Znowu krzyknął paw, rozścielając swój wspaniały ogon na aksamitnym mchu. — Powiedzenia „od razu” użyłem w przenośni, kochanie. Przecież rozumiesz, że nie mogę wyjechać z Oxfordu do końca następnego letniego semestru. Później, jak ci wiadomo, miałem praktykować u Harolda...

Miał w tej chwili na myśli przygotowawczą szkołę, założoną przez jego starszego brata, Harolda Stirlinga.

—Chociaż ostatnio zdarzyło się tyle nowego, że właściwie nie mam zamiaru już do niego jechać, o czym mu napisałem w ostatnim liście.

—Nie masz zamiaru?...

—Haroldowi tak bardzo na tym nie zależało. Może znaleźć mnóstwo młodych nauczycieli, którzy poza lekcjami potrafią doskonale grać w krykieta i świetnie wiosłować.

Otrzymałem ostatnio propozycję, która jest bardziej obiecująca niż praca pod kierunkiem mego brata.

— Powiedz mi, co to za propozycja?

Gdy skierowali się na zwirową ścieżkę, George wsunął ciepłą dłoń Posy pod swoje ramię i mocno trzymał jej serdeczny paluszek, miękki i pulchny, jakby w obawie, żeby zaręczynowy pierścionek po raz drugi się z niego nie zsunął.

— Otóż propozycję tę otrzymałem od pewnego człowieka, który także jest u nas na uniwersytecie... Był wczoraj z nami na podwieczorku. Nie przypominasz sobie? Ten mężczyzna,! który ze mną przez cały czas rozmawiał?

Posy pamiętała wczorajsze popołudnie, kiedy miała ustawicznie wrażenie, że George nie przestaje obserwować Sybili Armstrong.

—Nazywa się...

—Niestety — przerwała Posy z niewinną minką — nie zwracałam wczoraj najmniejszej uwagi na nazwiska twoich przyjaciół. Czułam się okropnie. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam taka znużona. George, czy zawsze będziemy musieli kochać wzajemnie swoich przyjaciół?

—Na Boga! Tego jednego i ty na pewno pokochasz — zawołał George. — Pochodzi z Argentyny... Musiałbym się długo uczyć, żeby wymawiać prawidłowo jego hiszpańskie nazwisko. Jeffrey za każdym razem go przedstawia „mój przyjaciel, Mr Stout-Cortez”, więc zawsze go w ten sposób nazywałem, dopóki nie zacząłem mu mówić po prostu Pedro...

—Już go sobie przypominam! Ma takie bardzo długie rzęsy, wyłupiaste oczy i cudzoziemski akcent...

—On sam nie zdaje sobie z tego sprawy, tak samo zresztą jak jego ojciec. Zazwyczaj obaj chwalą się swoim doskonałym akcentem i im więcej mówią, tym głębiej się utwierdzają w swoim mniemaniu. Niezwykle bogaty ojciec Pedra jest właścicielem ogromnych posiadłości i hodowli bydła w Ameryce Południowej. Ostatnio sprzedał to wszystko i przeniósł się tutaj, chcąc pójść w ślady swego angielskiego pradziadka. Jest to zresztą niezwykle zabawny jegomość, posługujący się całkiem nieprzeciętnym słownikiem. Sama się o tym przekonasz, skarbie! Zawsze tak bywa, że pieniądze znajdują się w nieodpowiednich rękach. Otóż ów jegomość kupił posiadłość w Sussex, jedną z tych historycznych angielskich posiadłości, pamiętających jeszcze dawne tradycje. Nazywa się Cloisters i znajduje się w odległości mniej więcej dwudziestu mil od szkoły prowadzonej przez Harolda. Pedro zabrał mnie tam autem w zeszłym tygodniu. Nie pisałem o tym, Posy, bo chciałem ci zrobić niespodziankę, jak przyjedziesz. Nowe wyrzuty sumienia ogarnęły biedną Posy.

—A ja cię podejrzewałam o brzydkie rzeczy. George, póki będę żyć, nigdy nie ulegnę uczuciu zazdrości.

—Nie będziesz miała do tego powodów, kochanie. Powodów zresztą nigdy nie miałaś! — George mówił teraz szczerze i sam święcie wierzył, że nigdy od chwili zaręczyn jego myśl nie odbiegła zbyt daleko od narzeczonej. Trudno, mężczyźni są wszyscy tacy. W otoczeniu tego pachnącego ogrodu, w blasku złocistych promieni słonecznych całkiem zapomniał, że była taka chwila, kiedy go coś dziwnie pociągało w stronę innej młodej kobiety. George teraz zapomniał już o tym zupełnie i nie miał ochoty wracać do niedawnej przeszłości.

—Otóż, wracając do tego bogatego Argentyńczyka, od pewnego czasu szuka kogoś, kto by mu uporządkował bibliotekę...

—Ty! — Posy radośnie klasnęła w dłonie. — Wiedział, że doskonale się znasz na książkach! Prosił, żebyś się koniecznie tym zajął, prawda?

—Czekaj, to jeszcze nie wszystko. Jego owdowiała córka, Juanita, ma dwóch chłopców, których przywozi tutaj, żeby się kształcili w Anglii. Dziadkowi bardzo zależy na tym, by chłopcy byli wychowani wzorowo, według starych pradziadkowskich tradycji, toteż chce, aby zamieszkali na stałe w Cloisters, dopóki nie zaczną uczęszczać do średniej szkoły, co nastąpi dopiero za jakieś sześć, siedem lat. Właśnie tu tkwi najważniejsza kwestia, bo dziadek chłopców pomyślał nagle o mnie. Twierdzi, że według niego jestem idealnym angielskim nauczycie-

lem dla jego wnuków. Zwrócił się więc do mnie, czy zechcę podjąć się wychowania chłopców za skromną pensję tysiąca funtów rocznie.

— Co takiego? Dwadzieścia funtów tygodniowo? — zapytała nieśmiało Posy. — A ja przecież jestem przyzwyczajona do tego, że prowadzę gospodarstwo, mając tylko czternaście szylingów na osobę.

— Wobec tego, skarbie, wychodzisz za mąż za dobrze sytuowanego człowieka! — uśmiechnął się George.

Później Posy niejednokrotnie przypominała sobie ten cudowny ranek, kiedy oboje spacerowali po ogrodzie starej gospody „Pod Pstrągiem”, układając plany przyszłego wspólnego życia i omawiając szczegóły ślubu, który miał się odbyć w jak najkrótszym czasie. Żeby tylko ten paw uciszył się na chwilę, zamiast wtrącać się do ich rozmowy ustawicznymi zawodzącymi krzykami. Cicho! Nawet paw wydał się Posy zabawny... George śmiał się słuchając jego krzyku.

— Gdy stary usłyszał, że jestem zaręczony, bardzo się ucieszył. „Nie mógł mi pan nic radośniejszego powiedzieć”. (Skarbie, pod tym względem zupełnie się z nim zgadzam). Jest typowym patriarchą, lubi przebywać wśród ludzi różnego wieku! Powiedział, że będziemy mogli tam mieszkać, w tym Cloisters. Daje mi trzy albo cztery pokoje do rozporządzenia, bezcenne antyczne dębowe meble i w ogóle wszystko. Ach, kelner nas przywołuje. Musimy już pójść na lunch.

Minęli wążutki mostek. W sali restauracyjnej zastali kilku kolegów George'a, którzy koniecznie chcieli się do nich przysiąść. George (jakże inny był niż wczoraj!) zbył ich lakonicznie:

— Zobaczymy się później. Nie bądźcie tacy nachalni, jak ta sławetna francuska rodzina — de Trop!

Lunch, który zamówił George, składał się z całego mnóstwa najbardziej wyszukanych potraw.

— Wracając jeszcze do Cloisters — zaczął mówić znowu George, zając z apetytem rostbef z kapustą. — Więc jesienią pojedę tam, aby uporządkować bibliotekę, co mi zajmie najwyżej dwa do trzech miesięcy. Obaj chłopcy mają przyjechać na Nowy Rok, a najpóźniej w połowie stycznia. Postanowiłem więc, zamiast czekać na nich... Ach! Ten obrzydliwy ptak — nie dokończył zdania, bo właśnie z ogrodu dobiegał znowu głośny krzyk pawia, zwiastujący rychły deszcz. George zaśmiał się i zaczął mówić głośnie, a nawet tak głośno, że goście przy sąsiednich stolikach podnieśli głowy i mimo woli uśmiechali się do sympatycznej młodej dziewczyny, do której teraz się zwracał:

—Postanowiłem więc, skarbie, że weźmiemy ślub jeszcze w tym roku, na Boże Narodzenie...

TLR

IX PLANY I PREZENTY ŚLUBNE

Teraz życie Posy zamieniło się w jedno długie, tęskne oczekiwanie świąt Bożego Narodzenia. Lecz tymczasem nie próżnowała.

Niegdyś kpiała z pracy w gospodarstwie, która jej zdaniem doprowadzała wszystkie kobiety do otyłości i zniechęcenia. Teraz jednak była zadowolona, że znała się na sztuce kulinarnej, bo przecież to wszystko wkrótce miała robić dla George'a. Cieszyła się, że umiała szyć i cerować, że potrafiła „trzymać w ręku igłę”, że znała się na kupowaniu, umiała hodować kaczki i przyrządzać smaczną, kruchą pieczeń. Myśl o George'u z każdego najbliższego zajęcia czyniła przedsięwzięcie pełne romantyzmu. Romantyczna nawet wydawała jej się praca przy cerowaniu wielkich dziur w kolorowych, wełnianych trykotach. Błogosławiła niebiosa za to, że już we wczesnej młodości nauczyła się gotować. Biedne są te narzeczone, które nie mają żadnego innego celu w życiu poza przeglądaniem się w lustrze i pielęgnacją własnych, paznokci.

Ustawicznie pochylona nad jakąś robótką w rozmarzeniu nuciała:

*Czyż miłość, która jest taką osłodą,
Potrafi w kuchni rozpalić ognisko?
Czyż mały bożek, który ją przynosi,
Będzie się zawsze znajdował tak blisko?*

Nie ulegało wątpliwości, że w Cloisters Posy nie będzie musiała rozpalać ognia, ale przecież równie trudno uwierzyć, że spędzi tam całe życie. Chociaż w zasadzie nie ma nic przeciwko temu, byleby tylko przez wszystkie te chwile pozostać przy boku George'a.

Dla niego nauczyła się piec ciasto, pozbierała stare przepisy na przyrządzanie wina owocowego, zaczęła marynować pikle i piec lekkie walijskie ciasteczka, które tak często przygotowywały wszystkie starsze sąsiadki.

Potem oczywiście należało się zająć wyprawą.

Nawet w tym okresie, kiedy narzeczone niekoniecznie musiała mieć tuziny bielizny, aby ta starczyła aż do srebrnego wesela, było jeszcze wystarczająco dużo okazji, by zaopatrzyć szafy w garderobę. Najciekawsze było to, czym na ogół poszczycić się mogło mało dziewcząt, że Posy nade wszystko lubiła robótki ręczne. Z jaką radością kroila cienkie płótno, robiła mereżki, haftowała i

obrębiała maleńkie chusteczki! Sybila Armstrong, która miała wziąć ślub w lipcu tego samego roku (Posy otrzymała wykwintne zaproszenie na ślub, ale brakowało pieniędzy, aby po raz drugi tego lata wybierać się w daleką podróż do Londynu), przysłała jej kilka najnowszych francuskich modeli bielizny w prezencie ślubnym przed swym wyjazdem do Indii. Posy będzie mogła je skopiować, szyjąc sobie wyprawę.

Przez całą jesień deszcz padał bez ustanku. Piękna malownicza dolina po prostu tonęła w błocie, ale Posy była szczęśliwa. Rozpalała ogień na kominku w małym pokoiku na parterze, który niegdyś był sypialnią George'a podczas jego pamiętnego pobytu u Wynnów. Obecnie zamienił się on w salonik szczęśliwej narzeczonej, gdzie gromadziła powoli wszystkie swoje skarby. Szyła wytrwale, śpiewając najrozmaitsze piosenki. Pewnego razu pani Wynn, wszedłszy cichaczem do pokoju, ujrzała ciemną główkę córki pochyloną nad kawałkiem płótna. Pani Wynn słuchała przez chwilę jakiejś rzewnej pieśni śpiewanej miękkim głosem, który brzmiał tak miło, jak brzęczenie pracowitej pszczołki podczas upalnego lata.

I wówczas to właśnie przyszło na myśl matce Posy:

„Zawsze lubiła szyć sukienki dla lalek, zawsze sprawiała wrażenie małej gosposi. Jaka będzie szczęśliwa, gdy zajmie się szyciem ubranek dla własnych dzieci!”

Mimo panującego na świecie kryzysu rodzina Wynnów uważała przychodzące na świat potomstwo za błogosławieństwo Boże.

Pani Wynn dorzuciła głośno ze wzruszeniem:

— Mam nadzieję, że wkrótce będę już robiła na drutach maleńkie kaftaniczki dla twego pierwszego synka!

Posy nic nie odpowiedziała. Ale to jej milczenie właśnie w takiej chwili najlepiej świadczyło o tym, że w głębi duszy piastowała ukryte marzenia na ten temat... Przecież każda zameżna kobieta ma prawo marzyć o dzieciach i nawet żona rektora, pani Jones, nie mogłaby w takim wypadku oburzyć się i wypowiedzieć swego ulubionego zdania: „Boże święty, jakie to zgorszenie!”

George należał do tego typu młodych mężczyzn, którzy na temat dzieci zawsze wypowiadali się z pewną rezerwą. Posy postanowiła zachować swoje pragnienia w tajemnicy, a marzyła o tym, aby mieć synka i córeczkę.

Tygodnie mijały wyjątkowo szybko.

Posy szyla, śpiewała, marzyła, układała plany na przyszłość i odpowiadała z większą cierpliwością niż dotychczas na częste pytania pań z parafii. Oczywiście wszyscy chcieli wiedzieć wszystko. Szczególnie w pierwszych dniach zadawano wiele pytań na temat młodego Stirlinga i córki miejscowego doktora.

Siostra Davis rozgłaszała dookoła najdrobniejsze szczegóły, aż wreszcie sąsiadki doszły do wniosku, że o planach na przyszłość wiedziała więcej niż sama Posy. Tak, na pięć pierwszych lat byt mieli zapewniony, a później mają przecież podporę w osobie Harolda Stirlinga. Zresztą George jest pewien, że ów Argentyńczyk zawsze znajdzie dla niego jakąś pracę.

*

— Posy! Czy sądzisz, że przyjemnie ci będzie mieszkać w obcym domu zaraz po ślubie? — pytała siostra Posy, Kit.

Kit, która na początku opisywanej historii miała lat szesnaście i interesowała się wówczas jedynie wypracowaniami szkolnymi, teraz mając siedemnaście i pół roku poczęła interesować się bardziej zaręczynami, mając już własne ukryte marzenia na ten temat, I ona wraz z całą parafią była przejęta dociekaniem na temat tego, co się wydarzy w tym roku, na przyszły rok, kiedyś, a może nigdy. Taka właśnie była Kit.

—Moja kochana, George powiada, że pokoje są wyjątkowo obszerne i że znajdują się na samym końcu domu, w dość dużym oddaleniu od apartamentów zajmowanych przez tę hiszpańską rodzinę. Nawet oddzielne schody prowadzą do różanego ogródka... — tłumaczyła Posy siostrze.

—Ale mimo wszystko będziesz musiała mieszkać w tym samym domu, w którym mieszkają Stout-Cortezowie.

—George powiada, że mogą ich nawet nie widywać, jeśli nie będę miała ochoty, chyba że mnie do siebie zaproszą. Nie byłoby wcale lepiej, gdybyśmy mieszkali w szkole przygotowawczej, u brata George'a. Tam byłoby o tyle gorzej, że nie moglibyśmy się tak zaraz pobrać, a poza tym szkoła ma o wiele mniej przyjemne otoczenie. Pan Stout-Cortez prosił nawet George'a, żebym przyjechała jeszcze przed ślubem i obejrzała mieszkanie. George jednak woli, żeby wszystko, co tam znajdę, było dla mnie niespodzianką. George zresztą myśli...

—Czekaj, powiem ci teraz, co ja myślę — przerwała jej Kit. Była bardzo podobna do siostry: te same miękkie, gęste, ciemne włosy, te same aksamitne piwne oczy, może tylko odrobinę mniej rozmarzenia na twarzy. — Gdybym to ja

wychodziła za mąż, wolałabym raczej zamieszkać w maleńkiej chatce, ale własnej, zamiast objadać się najbardziej wyszukаныmi potrawami w tym Cloisters, chociaż podobno ta posiadłość zachowała dotychczas anglosaskie średniowieczne tradycje! Wolałabym raczej mieć skromne mebelki, które sama malowałabym na dowolne kolory, zamiast tych staroświeckich, ciężkich, dębowych mebli, które w obszernym pokoju ustawiła czyjaś obca ręka. Zawsze przychodziłoby mi na myśl: „Jak opuszczę mój dom, będzie mi strasznie przykro, bo wszystko, co się w nim znajduje, jest przecież moje własne”.

—Ach, najważniejsze jest to, że będę razem z George'em.

—Widzisz, tej radości dziewczyna nie zaręczona nie może z tobą dzielić — uśmiechnęła się ironicznie Kit.

— Kiedyś przyznasz mi słusność — urwała Posy i pomknęła do wejściowych drzwi, bo właśnie dostrzegła wspinającego się na pagórek pocztyliona, który mokry od deszczu biegł szybko w stronę ich domu.

*

Listy George'a były dłuższe niż dotychczas. Nie wspominał już nic o wydawnictwach angielskich klasyków, które segregował w bibliotece argentyńskiego dżentelmena. Były za to pełne szczegółów o urządzaniu nowego wspólnego gniazdka. (Urządzenie mieszkania stanowiło dla George'a podstawową kwestię życia). Pisał obszernie o tym, jak w przyszłości będą razem spędzać wieczory, zaznaczał, że rodzina Argentyńczyków odgradzona jest od nich długim korytarzem i że w największym pokoju własnoręcznie codziennie rozpala na kominku ogień, aby mieć wrażenie, że Posy jest już przy nim.

Najulubiejszym listem Posy był ten, w którym George cytował wiersz Longfellowa o świeżo zaślubionej parze:

*Nic im do szczęścia nie potrzeba,
Bo sami sobie wystarczają.*

List ten nosiła wciąż pod swetrem, dopóki atrament zupełnie nie spłówdział, a papier nie pomarszczył się w niezliczone fałdy.

W jej sypialni, tuż nad wąskim panięńskim łóżkiem, przykrytym białą kapą z wyhaftowanym napisem „Dobranoc”, wisiał miniaturowy kalendarz. Ilekroć Posy zdierała kartkę, zawsze mówiła do siebie: „Już!”, jak mała dziewczynka wyczekująca pierwszego dnia wakacji. „Od dziś za trzy tygodnie, gdzie będę? Chyba nie tutaj!” Rozpierała ją jakby radość swawolnej pensjonarki, lecz uczucie to było całkiem inne, nowe i zupełnie nie znane.

A matka Posy mówiła:

— Od ostatniego lata zrobiła się z niej taka kobietka!

Przypuszczam, że to wszystko z tego powodu, że już ślub jest nareszcie wyznaczony i że codziennie nadchodzą ślubne prezenty...

Jeden z kątów saloniku Posy nazwany był „komnatą strachu”. Tutaj Posy składała upominki od wdzięcznych pacjentów ojca i starych przyjaciół; wełniane, ręcznie robione poduszki, rzeźbione noże do masła, wachlarze z maleńkich muszelek, komplety serwetek... Każda zaręczona dziewczyna zna dokładnie tę listę. Pierwszy prezent ślubny nadszedł wczesną jesienią, podczas początkowych przygotowań, podczas spełniania rozmaitych miłych drobnych obowiązków. Z dużego pudła Posy wypakowała najpierw bardzo piękną lalkę ubraną w kostium walijski niezwykle starannie, od szkarłatnego kaftanika począwszy aż do czarnych malowanych drewnianych chodaczków. Spódniczka lalki tworzyła woreczek do robót, igły, nici i maleńkie nożyczki były ukryte za paskiem, wysoki kapelusz krył w sobie napastek, a kieszonkę w fartuszkowi zasłaniała skórzaną portmonetkę. Otworzywszy portmonetkę, Posy znalazła piękną staroświecką broszkę w kształcie pary rozpostartych skrzydeł. Broszka owinięta była ćwiartką papieru.

Posy rozwinęła papier i poczęła czytać wyrazy napisane zupełnie nieznanym pismem:

Moja najdroższa Posy,

Wybacz, że zwracam się do Ciebie w tej formie, bo przecież w gruncie rzeczy powinnaś być dla mnie „Miss Posy”, gdyż jesteś zaręczoną młodą damą, którą widziałem zaledwie trzy razy w życiu. Poza tym będziesz tą „Miss” już tak krótko, że należałoby o tym pamiętać, prawda? Ale mimo wszystko przecież ja w gruncie rzeczy rozmawiałem z Tobą nawet wcześniej, niż poznałaś George'a, więc...

— Jeffrey! — zawołała Posy, uśmiechając się, jakby nagle ujrzała przed sobą rudowłosego przyjaciela. Zazwyczaj doznawała uczucia dziwnego ciepła, gdy wypowiadała lub słyszała wypowiedziane imię „Jeffrey”. Jeffrey przecież pomógł w pierwszym pogodzeniu poróżnionych narzeczonych, a możliwe, że gdyby nie on, ślub Posy nie zostałby wyznaczony na piętnastego.

Dalsza treść listu była następująca:

...czuję, że mam pewne prawo przesłać Ci upominek na pamiątkę tej wielkiej uroczystości. Staralem się, aby był on zarówno praktyczny, jak i na swój sposób

posiadający wartość historyczną. Ta walijska dziewczeczka będzie Ci pomocna- podczas przyszywania guzików George'a (i może przypomni Ci o tym, że nie należy zostawiać pewnych przedmiotów w górach). Ostatnio moją wielką miłością jest lotnictwo, szybowanie w błękitnych przestworzach. Gdybym miał jakąś ukochaną dziewczynę (na co się w danej chwili nie zanosi), ofiarowałbym jej bezwarunkowo jakiś skrzydlaty przedmiot.

Z przyjemnością myślę o tym, że od czasu do czasu będziesz nosić tę broszkę. Przy końcu semestru wyruszam stąd (z Oxfordu) ijadę prosto do domu. Gdyby nie to, byłbym bezwarunkowo na ślubie, choćby nawet George się temu sprzeciwiał. Korzystam więc jedynie z tej sposobności, aby Ci napisać kilka stów, lecz niestety każdy list musi się kiedyś skończyć.

*Całuję Twoje opalone łapki, zawsze oddany
Jeffrey.*

Posy była uradowana z prezentu, ale równie wielką przyjemność sprawił jej ów list.

Odpowiedziała nań bezzwłocznie, rozpoczynając od słowa „Dziękuję”, nie wymieniając imienia, bo nie chciała zwracać się do Jeffrey’a per pan, a coś dziwnego powstrzymało ją od używania jego imienia. Gdy zakleiła już kopertę, przypomniała sobie coś, na co wcześniej nie zwróciła wcale uwagi, i zagłębiła się w rozmyślaniach nad tą kwestią. Przypomniała sobie mianowicie pytanie, które jej w aucie zadała Sybila Armstrong: „Czy Jeffrey kiedyś kochał się w pani?”

— Przecież to nonsens! — zachnęła się Posy, owinęła z powrotem lalkę i schowała broszkę, którą zamierzała włożyć dopiero jako mężatka, po czym wróciła do swego szycia, pisania listów do George’a i do swoich marzeń... Czy wszystkie zaręczone dziewczęta potrafią marzyć?

Wreszcie minął deszczowy październik.

„Już!” rzekła Posy, spoglądając na kalendarz, gdy nadszedł listopad. Deszcz padał bezustannie. Pierwszą pocztą, w pierwszym dniu listopada, nadeszły nowe wiadomości od George’a.

Posy rozpromieniona radością przyniosła te wiadomości podczas śniadania.

— Mamo, ojczce, wyobraźcie sobie! Argentyńczyk dał George’owi pierwszą pensję za pracę w bibliotece i George pisze że będziemy mogli spędzić nasz miodowy miesiąc w Szwajcarii, uprawiając sporty zimowe!

Rozbrzmiał chór rodzinnych powinszowań i przyjaznej radości, w której było słycać maleńką nutkę zazdrości ze strony mężczyzn znajdujących się przy stole.

—Na miłość boską — zawołał ojciec Posy — masz szczęście, moja dzierlatko! Szwajcaria i sporty zimowe, co? Po sześciu tygodniach będziesz opalona jak Murzynka. Przyjemną otrzymałaś wiadomość! — Pokiwał głową nad filiżanką kawy, którą właśnie kończył. Potem spojrział w okno. Nad wierzchołkami pobliskich gór unosiła się delikatna mgła...

—I zawsze mnóstwo ludzi przyjeżdża w tamte strony — dorzucił brat Posy, który opuścił właśnie kolegium Aberystwith i zamierzał osiedlić się jako obrońca sądowy w sąsiednim mieście.

—Cudowny pomysł na miodowy miesiąc. Nie będziecie mieli czasu na to, żeby się wzajemnie sobą nudzić.

—Mervyni — obruszyła się siostra Posy, Kit, wielce zgorzona. — Ktoś obcy mógłby pomyśleć, że George jest taki nudny!

—Ach, widzisz, przypomniałem sobie tylko ten dowcip z jakiegoś starego „Puncha”. Pan młody po dwóch tygodniach miodowego miesiąca mówi do żony: „Jak by to było miło, gdybyśmy tu spotkali jakiegoś przyjaciela”. A żona na to: „Tak, ewentualnie nawet wroga!” Lecz tamto musiało się wydarzyć w którymś z zapadłych miasteczek angielskich. W szwajcarskich hotelach jest mnóstwo wesołych ludzi, ustawicznie urządza się jakieś konkursy, dansingi i zabawy. Posy nareszcie po raz pierwszy wejdzie w świat.

—Istotnie doskonały pomysł — szeptała mała Posy, przyrzekając sobie w duchu, że już teraz będzie zachowywała się całkiem inaczej niż na owym pierwszym wieczorku w salonie Armstrongów. Dostała wtedy nauczkę. Muszą uczyć się oboje z George'em, aż wreszcie będą tańczyć zupełnie poprawnie. Będą ćwiczyć tak długo, dopóki George całkiem szczerze nie będzie mógł powtórzyć słów Jeffrey'a: „Jesteś doskonałą tancerką”.

—A te wszystkie rozrywki na lodzie — zachwycił się brat, Mervyn. — Jednak niektóre dziewczęta naprawdę mają szczęście!

Sam uczył kiedyś Posy ślizgać się na miejscowym stawie, ale co to za przyjemność ślizgać się w Anglii, gdzie przeważnie zima bywa wilgotna?

Niech żyje ślizgawka, niech żyją eskapady saniami przy dźwiękach orkiestry cygańskiej, która tak dziwnie nastraja ludzi! A te góry pokryte śniegiem, sterczące wierzchołkami aż ku błękitnemu niebu! W porównaniu z tamtymi górami pagórki w wiosce rodzinnej Posy tracą absolutnie wiele uroku...

—Tak, widzę, że orientujecie się dokładnie, co tam jest ciekawego do zobaczenia — zauważył dr Wynn. Dla dzisiejszej młodzieży nie ma nic nowego na świecie. Dlatego też nie istnieją dla was w życiu niespodzianki.

—Ach, tato! Jesteś strasznym pesymistą. Jednak dla mnie rzeczywiste cuda nie tracą absolutnie wartości, chociaż widziałam ich już tyle w kinie i czytałam o nich w książkach — zaprotestowała wesoło Posy, po czym dodała już spokojniej: — Im więcej przywiązuję się do George'a, tym częściej przypominam sobie przysłowie, że wszystko dobre, co się dobrze kończy. Przecież w gruncie rzeczy to wszystko, o czym się czyta, jest tylko nieudolną ilustracją realnych faktów i rzeczywistych wrażeń.

*

„W tym roku”, biło głośno serce dziewczyny, „w tym roku!”

Ślub był wyznaczony na piętnastego grudnia. Jeszcze tylko niewiele kartek pozostało w kalendarzu do zdarcia. Wszystko było przygotowane. Mieli wziąć ślub w tym walijskim kościółku z XII wieku, z kamienną rzeźbioną kropielnicą, przy-strojoną plecionym celtyckim napisem, z kropielnicą, z której brano wodę, gdy chrzczono Mervyna, Posy i Kit Wynn.

„Wątpię, czy w samym kościele znajdzie się dosyć miejsca dla wszystkich gości, którzy się wybierają”, pisała Posy do George'a. „Nie tylko cała parafia, ale wszyscy ci pacjenci, których ojciec leczył podczas ostatnich trzech lat i którzy mieszkają w okolicznych parafiach, wybierają się na naszą uroczystość!”

Miała mieć dwie druhny. Oczywiście Kit i przyjaciółka Posy z lat dziecińczych, Gladys Jones, która miała przyjechać z Anglii specjalnie na tę uroczystość. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy Gladys przebywała z dala od rodzinnej doliny. Zniecierpliwiona monotonnym życiem w domowym zaciszu, rozwinęła skrzydła, wyfrunęła z ojcowskiego gniazda i kształciła się teraz w Londynie w kolegium handlowym. („Ma ciągle nadzieję, że pozna tam odpowiedniego kandydata na męża”, rozgłaszała po parafii miejscowa akuszerka).

— Już! — codziennie mówiła Posy do kalendarza, w miarę upływu listopadowych dni. Deszcz padał bezustannie. Wszystkie nabrzmiące strumienie płynęły wezbranymi rzekami przez dolinę. „Już!” Wkrótce będzie grudzień. Oboje z Ge-

orge'em przyjadą z kościoła, aby spróbować kawałka weselnego tortu na przyjęciu w sali parafialnej (w siedzibie miejscowej sekcji haftu). Później, przejechawszy trzy mile drogi, zdążą jeszcze na pociąg odchodzący do Londynu. Na noc zatrzymają się w Londynie, gdzie pójną do teatru.

„Mniejsza o to, co będą wystawiać”, pisał George. „Ja będę widział tylko moją piękną zoneczkę, ale byłoby najlepiej, gdybyśmy zamówili bilety w...” Tutaj następowała nazwa znanego przybytku sztuki, który niegdyś gremialnie odwiedzała najlepsza publiczność. A następnego dnia młodzi Stirlingowie wsiądą do pociągu odchodzącego z dworca Victoria, który przez cały okrągły rok przepelniony jest swawolną młodzieżą obładowaną mnóstwem walizek różnej wielkości, i gdzie teraz na każdym kroku widać łyżwy i narty, laski górskie i kije do hokeja. Cudownie, cudownie! Posy wyjedzie do Szwajcarii ze swym George'em, aby pędzić tam życie takie, jakie wiodą wszyscy niezależni, bogaci ludzie!

„Już!” — powiało w przestrzeń podczas zdzierania następnej kartki z kalendarza.

Ponieważ ślub miał się odbyć zimą, Posy zamierzała wziąć go w stroju podróżnym.

Panowała jeszcze moda noszenia ciepłej bielizny, więc matka własnoręcznie zrobiła Posy wełnianą haleczkę i pragnęła, aby córka brała w niej ślub. Poza tym miała mieć czerwony wełniany płaszcz z białym futrzanym kołnierzem i białą futrzaną czapkę z czerwonymi jagodami. Cała parafia orzekła, że taki strój jest bardzo gustowny i bardzo modny. Posy cieszyła się najbardziej tym, że oprócz tego stroju miała kompletny strój narciarski z długimi granatowymi spodniami! Ponadto trzy wieczorowe suknie na ewentualne przyjęcia w zagranicznych hotelach. Dr Wynn pokaźnie nadszarpnął swe oszczędności, aby córka podczas pobytu w Szwajcarii była ubrana jak należy. Ale czy człowiek jest kiedykolwiek zadowolony z tego, co posiada? Nawet ta szczęśliwa przyszła panna młoda, Posy Wynn, po cichutku głęboko wzdychała:

— Wolałabym raczej mieć prawdziwą ślubną suknię z białej szarmezy, prawdziwy welon cieniutki jak mgiełka i chociaż najmniejszy wianuszek z kwiatem pomarańczy! Z drugiej jednak strony te wszystkie panny młode, które mają ten strój, na pewno nie są szczęśliwsze ode mnie. Już! — Zerwała następną kartkę z kalendarza i pomyślała: „Jeszcze tylko jeden tydzień listopada i tylko dwa tygodnie grudnia”.

Ponieważ ślub miał się odbyć piętnastego grudnia, George Stirling postanowił przyjechać do Walii czternastego. Przez jedną noc miał mieszkać u Jonesów, gdyż Mr Jones zaofiarował się dać ślub młodej parze. Pani Jones uważała, że w żadnym wypadku George nie może przed ślubem złożyć wizyty w domu Wynnowów.

—Właściwie dlaczego nie? — dziwili się Wynnowie, co zdaniem całej parafii mogło świadczyć o tym, że pod pewnymi względami wyznawali „cygańskie poglądy”.

—Taka jest narzeczeńska etykieta! — uśmiechnęła się żona pastora. — Taki jest tradycyjny, stary walijski zwyczaj. Przypuszczam, że chcielibyście państwo mieć tego młodego człowieka na obiedzie w dniu poprzedzającym ślub, ale toby było stanowczo gorszące! Bezwarunkowo zobaczysz George’a dopiero w południe piętnastego grudnia, Posy.

Lecz wieczorem jedenastego grudnia nagle, jak grom z jasnego nieba, zjawił się George. Posy siedziała w saloniku na parterze, raz jeszcze oglądając swój nowy koszyk do sukien, opatrzony literami G.W.S. W pokoju było mroczno. W tej skromnej walijskiej osadzie zawsze się tak zdarzało, że gdy padał deszcz, światło elektryczne także się psuło, toteż i teraz Posy zapaliła świecę wetkniętą w staroświecki lichtarz. Usłyszała pukanie do drzwi. Po chwili wszedł Geo^rge, otulony jeszcze nieprzemakalnym płaszczem.

—Posy...

—George!

Z małego stolika z trzaskiem spadł lichtarz.

—Jestem cały mokry...

—Głupstwo! —już była w jego objęciach, opasując ramionami jego szyję. Podniosła ku niemu twarzyczkę rozpromienioną od szczęścia.

—Ach, więc już przyjechałeś! Mamy przed sobą jeszcze całe cztery dni. Liczyłam każdą godzinę, a ty już jesteś! Ach, jak się cieszę!

George tulił ją mocno, w milczeniu, ucałował podniesioną ku sobie buzię, której nigdy dotychczas nie całował, ona zaś, zawsze tak wstydliva, także odwzajemniła się pocałunkami. Uwolniwszy ją wreszcie z objęć, wyszeptał przyciszonym głosem:

—Ach, Posy, najdroższa! Dotychczas nie zdawałem sobie sprawy, że naprawdę należysz do mnie...

—Należę do ciebie niepodzielnie, George! Wiedziałeś przecież o tym!

—Dopiero ta chwila mnie przekonała — odparł, całując ją znowu i szepcząc:
— Powinniśmy natychmiast wziąć ślub. Powinienem już teraz cię stąd zabrać!
Powinniśmy wziąć ślub...

—Ależ bierzemy — zaśmiała się radośnie, pozostając wciąż w jego objęciach. — George, ślub nasz odbędzie się w przyszły wtorek!

I wówczas bomba pękła.

George złamanym głosem wyszeptał:

— Mimo wszystko nie będziemy mogli wziąć ślubu.

TLR

X. GROM Z JASNEGO NIEBA

Z tego powodu George przyjechał tak nieoczekiwanie do swej narzeczonej, która w najbliższych dniach miała zostać jego żoną!

„Gra kontrastów” — mówią aktorzy filmowi, gdy jedna część sceny tonie w jasnym świetle reflektorów, rzucanym na młodą parę, wyznającą sobie miłość. Po chwili reflektor gaśnie i wszystko pokrywają ciemności, na których tle widać tylko niewyraźne poruszające się postacie...

Tak samo było z Posy Wynn. Na chwilę przedtem promieniała szczęściem i radością na widok ukochanego, który przybył przed umówionym czasem, na widok tego, za którym tęskniła od tylu miesięcy, spędzanych na przygotowaniach i marzeniach o rozpoczęciu nowego życia. A w następnej chwili... stoczyła się na dno rozpacz!

—Nie możemy się pobrać...

—George! Ach, George, co się stało?

—Przyjechałem tu właśnie w tym celu, żeby ci wszystko opowiedzieć, bo sądziłem, że list byłby dla ciebie jeszcze większym wstrząsem — szeptał George z dziwnie pobladłą twarzą, przyciszonym, drżącym głosem. — Otworzyła mi drzwi pokojówka. Nie zameldowałem się, tylko przyszedłem prosto tutaj, gdzie spodziewałem się ciebie zastać. Byłem tak nieuważny, że zabłociłem całą podłogę... — Zdjął ociekający wodą płaszcz i począł rozglądać się dookoła, pragnąc go gdzieś powiesić.

—Ach, George, mniejsza o to! — Posy chwyciła płaszcz i rzuciła go na podłogę. — Powiedz mi, co się stało? Usiądź tutaj...

W saloniku Posy stała staroświecka kanapa, która wyglądała zbyt skromnie i niepozornie, aby ją umieścić w którymkolwiek innym pokoju w domu Wynnów. Sprężyny były poniszczone, a ze wszystkich stron sterczały z niej kosmyki końskiego włosia. Na tej kanapie w ciągu ostatniego tygodnia gromadzono wszystkie części garderoby Posy przygotowane do wyprawy, na honorowym zaś miejscu stało okrągłe pudło do kapeluszy, które Posy teraz odstawiła na bok.

— Usiądź przy mnie, skarbie, to ci wszystko opowiem.

Usadowiła się tuż przy nim, maleńka, przykurczona i biedna, w swoim najstarszym codziennym sweterku i zniszczonej spódnicy, bo chciała zaoszczędzić

dział nowe sukienki na przyszłe wspólne z nim życie. W blasku wątej świeczki jej twarzyczka była zasepiona, pełna niepokoju i zaciekawienia. (Czy to możliwe, żeby jej ukochany George chciał się wycofać? Nie!) Jej ciemne, falujące włosy rozsypały się na ramiona pod wpływem uścisku George'a, który teraz nie był już taki nieśmiały. A może chwyci ją znowu w objęcia i powie, że wszystko nadal jest w porządku?

Ująwszy obie dłonie narzeczonej, zaczął mówić z przygnębieniem:

—W Cloisters wydarzyła się katastrofa. Juanita, ukochana córka starego — ta młoda wdowa, której spodziewaliśmy się na Nowy Rok z chłopcami — nigdy tam nie przyjedzie, Posy.

—Nie przyjedzie? Ale dlaczego? Zresztą przez to i tak się nic nie zmieni. Przecież jesteśmy tutaj... jesteśmy razem... — To była najważniejsza rzecz, mająca dla Posy zasadnicze znaczenie, gdy tak siedziała wśród rozrzuconych na kanapie sukienek, z rękami spoczywającymi w dłoniach ukochanego, ze swymi pięknymi oczami, błędzącymi po jego znużonej twarzy.

—Ale widzisz, skarbie, ci chłopcy także do Anglii nie przyjadą! Juanita wychodzi za mąż za jakiegoś argentyńskiego milionera i wszyscy mają już tam pozostać. Stary Stout-Cortez, jej ojciec — jest po prostu wściekły. Nie masz pojęcia, jakie depesze do niej wysyłał! Całkiem postradał rozum. Ciska się niczym król Lear. Juanita była jego ukochanym dzieckiem, a teraz zawiodła jego zaufanie i rozczarowała go, wychodząc za mąż za człowieka, którego on wyraźnie nie lubi. Wiadomość o tym była tak strasznym ciosem dla starego, że postanowił nawet sprzedać Cloisters. Wszystkie jego dotychczasowe marzenia o zamieszkaaniu tam na stałe, o urządzeniu biblioteki przestały istnieć z chwilą, gdy się dowiedział, że wnukowie nie przyjadą. Nie będą się już kształcić w Eton ani w Harrow! Niepotrzebny jest im angielski nauczyciel. Czyli moja praca też spaliła na panewce. Jednym słowem...

W tej samej chwili rozbłysło światło elektryczne, małeńki pokoik pojaśniał i obydwójce usłyszeli roześmiany głos dr. Wynna:

— Halo! Czy to prawda, że George przyjechał? Tak ci spieszno do ślubu, mój chłopcze? Widzę, że jesteś jednak lekkomyślny.

Lecz gdy George opowiedział wszystko obojgu rodzicom, ich dobre humory jakoś przygasły.

—Psiakość! Paskudnie się składa! Że też akurat musiał się pojawić ten milioner. Powinni wziąć pod uwagę także fakt, że tobie marnują życie. Przecież nie wolno tak z ludźmi postępować. Naprawdę bardzo mi przykro — mówił życzli-

wie dr Wynn, kładąc dłoń na ramieniu George'a, podczas gdy jego żona tuliła do piersi córkę. Posy zacięła wargi i otworzyła szerzej oczy, aby tylko zapobiec ci-
snącym się do powiek łzom. Jednak każdy nerw w jej twarzy dziwnie drżał i cią-
gle w duchu tłumaczyła sobie: „Nie, to niemożliwe. Czy naprawdę ma się
wszystko tak skończyć?”

—Tak, a najgorsze jest to, jak już powiedziałem Posy, że będziemy musieli
nasz ślub bezwarunkowo odłożyć.

Ulubiony pies Posy, Taffy, czując, że coś dziwnego dzieje się w pokoju, zbli-
żył się do swej pani i żałośnie zawył. Przestała go nawet głaskać, przestała ukry-
wać przed obecnymi swój głęboki smutek.

Pominąwszy już sam ślub... A ten zimowy miesiąc miodowy spędzony w sło-
necznym blasku! Te wesołe gry i zabawy na świeżym powietrzu! Dźwięczące
wesoło sanki, zgrzyt łyżew po lodzie! Upojna taneczna muzyka, bale kostiumo-
we i te wszystkie rozrywki, na które Posy czekała z takim utęsknieniem, jak
dziecko czeka na rozpoczęcie wakacji! Więc nawet to wszystko mogłoby się zre-
alizować tylko wówczas, gdyby Posy została żoną George'a. Czy i to trzeba
będzie odłożyć?

Usłyszała przyciszony, smutny głos ojca:

—Rozumiem. A co będzie potem, George?

—Wezmę się do tego, co miałem zamiar robić, zanim jeszcze otrzymałem
propozycję z Cloisters — odparł George. Nie usiadł już na kanapie, lecz stał od-
wrócony do stołu, na którym piętrzył się stos paczek. — Pojadę tam, dokąd mia-
łem zamiar jechać. Pojadę najpierw do Oxfordu i te pieniądze, które mam,
umieszczę w szkole mego brata. Brat nie będzie mi mógł zbyt dużo płacić, dopó-
ki szkoła się nie rozwinie, ale na pewien czas funduszków mi wystarczy. Zresz-
tą Harold wierzy w to, że szkoła wkrótce będzie mu dawać pokaźne zyski. —
Tak mówił George Stirling z wyrazem głębokiego przekonania, a dr Wynn tylko
kiwał potakująco głową. Jednak ten młodzieniec jest już zupełnie dojrzałym,
statecznym mężczyzną, a to przecież w życiu jest najważniejsze. — Wiem, że
szkoła Harold-Hurst prowadzona jest wyjątkowo dobrze. W przyszłym roku bę-
dzie tam o wiele więcej uczniów. Przystępuję do pracy z wielką wiarą i z zupeł-
nym zaufaniem oddam bratu te pięćset funtów, które stary Argentyńczyk obiecał
mi wypłacić jako odszkodowanie.

—Pięćset funtów? — powtórzyli chórem wszyscy Wynnowie.

; W następnej chwili dwie osoby z trojga Wynnów pomyślały:

„Więc właściwie po co odkładać ten ślub?”

Dr Wynn przemówił pierwszy:

— Uważam, że to bardzo szlachetnie ze strony tego starego dziwaka.

Na bladej twarzyczce Posy odmalowała się myśl:

„Pięćset funtów? Taka suma wystarczyłaby chyba zupełnie na nasz wspólny pobyt w Szwajcarii?”

Jednocześnie matka Posy pomyślała:

„To dlaczego ten ślub mają odkładać?”, a głośno zapytała swego przyszłego zięcia:

— Wobec tego, George, dlaczego nie macie wziąć ślubu, skoro już został wyznaczony?

— Chyba mnie pani nie podejrzewa, że nie pragnę tego, Mrs Wynn — wyszeptał z powagą George. — W grę wchodzi tutaj tylko kwestia materialna.

TLR

—A czy sądzisz, że ludzie nie pobierają się nie mając nawet pięciuset funtów? — uśmiechnęła się matka Posy. — Są tacy, którzy mają o wiele mniej... — Zwróciła się teraz do swego męża. — Gdyby moi rodzice wiedzieli, że nie masz ani grosza w banku, kiedy się ze mną żeniłeś, na pewno by nam nie dali swego zezwolenia! Pięćset funtów? I zapewniona praca? I jak najlepsze widoki na przyszłość? Mój kochany, dla wielu ludzi byłoby to bogactwo!

—Ale nie w obecnych czasach, Mrs Wynn — mruknął ponuro George. — Czy pan mnie rozumie, doktorze Wynn?

Dr Wynn rozumiał. Zresztą po chwili i matka Posy oświadczyła, że rozumie przyszłego zięcia. Oczywiście było to wielkie rozczarowanie, bardzo przykre, ale z drugiej strony rodzice byli zadowoleni, że córka jeszcze przez pewien czas będzie z nimi, że będzie nadal ich osłoda na stare lata. Przecież młodzi mieli jeszcze przed sobą całe życie! Po wypowiedzeniu kilku słów rodzicielskiej pociechy pozostawili młodą parę samą.

*

— Ty także mnie rozumiesz, prawda, skarbie? — zapytał George.

Chodził po pokoju zmęczonym krokiem, gdy tymczasem ona siedziała jeszcze ciągle na staroświeckiej kanapce, zarzuconej „wyprawnymi” sukienkami. Bezwiednie strącił ze stołu kwadratową skórzaną teczkę, prezent ślubny, w której były noże i widelce. Podniósłszy ją z ziemi, położył z powrotem na stole i mówił dalej:

—Byłoby nierozsądnie brać teraz ślub. Szkoła mojego brata dopiero właściwie zaczęła istnieć, muszę więc pomóc mu w pracy. Później, gdy zamieszkaż ze mną w nowym skrzydle Harold-Hurst, trzeba będzie mieszkanie jakoś umeblować. Ach, wydatków będzie mnóstwo, więc najpierw trzeba zarobić sporo pieniędzy. Nie mielibyśmy tych wszystkich zmartwień, gdyby zamiary naszego Argentyńczyka nie spaliły na panewce! Gdyby ta hiszpańska wariatka nie nabrała nagle ochoty do małżeństwa! Uśmiechnij się do mnie, skarbie, dobrze?

—Przecież się uśmiecham — szepnęła Posy, czyniąc ostatni wysiłek. Podniosła się, wzięła ze stołu mały kieszonkowy grzebyk w złożonym futeraliku, wysadzonym rubinami i szmaragdami, i spokojnie przyczesła potargane włosy. — Oczywiście, George, doskonale cię rozumiem — szepnęła po chwili, chrząkając, jakby pragnęła nadać swemu głosowi brzmienie spokojne i radosne. Przecież odwiecznym posłannictwem kobiety było usuwanie z życia mężczyzny wszel-

kich zmartwień, więc posłannictwem Posy było teraz rozweselenie George'a. A ponadto odzywała się też w głębi jej duszy wrodzona kobieca duma: „Nie okazuj mi, że ci tak bardzo zależy na ślubie! Jeżeli George nie może się otrząsnąć ze zmartwienia i jeżeli nie może ci powiedzieć: «Niech wszystko diabli porwą, niech licho porwie Argentyńczyków, pobieramy się we czwartek, choćby się nie wiem co działo!», to i ty udawaj spokój!"

Może to tylko podczas tej jednej gorzkiej chwili Posy uświadomiła sobie, jak całym sercem mocno była przywiązana do George'a, do tego obecnego George'a, który obejmował ją i nawet całował, gdy wszedł do pokoju. Teraz już był znowu sztywny i nieśmiały.

„Dziś wieczorem — pomyślała Posy — spalę na kominku ten kalendarz, żeby nie widzieć, kiedy nadejdzie piętnasty”.

Jednocześnie powiedziała głośno:

— Mogłabym sprzedać ten strój narciarski.

— Ach, najdroższa, tak długo marzyłaś o tych sportach! A ja tak marzyłem o tym, żeby cię nauczyć jazdy na nartach!

— Mniejsza o to. Gorzej byłoby, gdybym utraciła ciebie!

— Ty moja jedyna, ukochana! — zawołał czule George, siadając przy niej i obejmując ją ramieniem, lecz tak ostrożnie, jakby Posy była piękną porcelanową filiżaneczką i jakby się bał, żeby się przypadkiem nie stłukła. Pocałował ją delikatnie w policzek i szepnął, pragnąc dodać jej otuchy: — Trzeba mieć tylko trochę cierpliwości. Jestem pewien, że szkoła pójdzie dobrze. Niech nam się zdaje, że nie mieliśmy się wcale w tym roku pobrać i że nie w tym roku mieliśmy spędzić miodowy miesiąc w Szwajcarii. Na przyszły rok nasz ślub odbędzie się na pewno. Trzeba go tylko trochę odłożyć.

CZĘŚĆ DRUGA

I. ZNOWU LISTY

„Tylko" odłożyć...

Każda kobieta, która szczęśliwie wyszła za mąż, może śmiało zapytać samą siebie, jak by się czuła, gdyby na cztery dni przed wyznaczonym ślubem znalazła się w położeniu Posy Wynn. Wszystko w życiu Posy było okryte cieniem słów najbardziej niemiłych dla ucha, przyzwyczajonego jedynie do szeptu czułości.

„Odłożyć..."

— Ach! Słyszeliście? Ślub Posy Wynn został odłożony!

Welon trzeba schować i trzeba uparcie milczeć, słuchając komentarzy i pytań całej parafii. Zachowanie pani Wynn pozostało niezmiennie:

— Nic strasznego się nie stało! Prawdopodobnie w przyszłym roku. Mają jeszcze dość czasu. Posy skończyła dopiero dwadzieścia lat. Przecież jest nie do pomyślenia, aby przy tak małych funduszach młoda para mogła rozpocząć prowadzenie własnego gospodarstwa.

W głębi duszy jednak panią Wynn dręczył niepokój. Była zapaloną ogrodniczką i wiedziała dobrze, jakie są następstwa, gdy nieoczekiwany mróz zwarzy rozwijające się pąki kwiatów. Czy to raptowne „odłożenie" będzie miało takie same następstwa?

— Ach, nonsens — perswadował dr Wynn. — Zawsze uważałem, że oboje są za młodzi, by myśleć o małżeństwie. Nic im się nie stanie, jak trochę zaczekają. Jestem zupełnie spokojny, bo wiem, że George ma charakter. Przecież nazywa się Stirling i odziedziczył po ojcu usposobienie. Powiedział mi od razu, że gdyby był nawet zaręczony przez jedenaście lat, zawsze żywiłby dla Posy to samo uczucie. Wierzę mu bez zastrzeżeń.

Na samym dniu swego pełnego temperamentu walijskiego serca matka Posy niepokoiła się coraz bardziej.

— Ale czy Posy też zawsze będzie go darzyć takim uczuciem?

Każda zaręczona dziewczyna na pewno doskonale wie, że następne miesiące były dla Posy najsmutniejsze i najbardziej monotonne w jej życiu. Były bardziej przygnębiające niż wszystkie jej dziewczęce lata, zanim jeszcze poznała George'a. Bardziej ponure niż pierwszy rok zaręczyn z ukochanym. Straciły świeżość rozwijające się pąki kwiatów, straciły urok pasące się owce w górach i wiosnki wychylające główki spod śniegu. Wiosna ustępowała miejsca gorącemu czerwcowi miłości. Nie! „Bezterminowo odłożone!” George pracował na Południowym Wybrzeżu w szkole Harold-Hurst. Dwa razy w tygodniu przychodziły długie listy, pełne wieści o nowych zainteresowaniach, pełne uwag o nowych ludziach, o nowym otoczeniu. Tylko zajęcia Posy pozostały w zasadzie takie same, jakie były podczas lata przed zjawieniem się George'a. Pomagała matce robić zakupy, zajmowała się ogrodem, czytała. Nie miała już więcej szycia dla siebie. Wyprawa została zapakowana razem z pachnącymi saszetkami, woreczkami z lawendą, gałązkami suszonego mirtu. Obszerny kredens był wypełniony ślubnymi prezentami, które miały czekać do przyszłego roku. Być może...

Co tydzień, w czwartek, Posy zasiadała w sali Domu Ludowego, zajęta jak zwykle haftowaniem wielkiej kapy. Połowa czerwonego smoka, dwie jego olbrzymie łapy i trzy pierwsze słowa walijskiego motto — były już ukończone.

Stara panna, siostra jednego z sąsiadów, mówiła:

— Miss Posy, jak ta kapa będzie gotowa i otrzymamy za nią nagrodę, musi ją pani kupić na swoje przyszłe gospodarstwo.

Posy uśmiechnęła się łagodnie. Pomyślała sobie jednak:

„Wątpię, czy ta kapa kiedyś będzie skończona, a jeżeli ją nawet skończymy, to wolałabym nigdy w życiu więcej jej nie oglądać!” „Boże święty, jakież to zgorzienie”, powiedziałyby na pewno pani Jones, gdyby odgadła myśli Posy.

Prawdopodobnie nikt oprócz matki Posy nie zauważył, że dziewczyna od pewnego czasu straciła zupełnie humor. Pani Wynn cieszyła się najbardziej myślą, że na lato Posy była zaproszona do Harold-Hurst. Taka zmiana na pewno dobrze jej zrobi. Na nieszczęście nadszedł okres, kiedy któryś z chłopców przyniósł do szkoły zarazki odry i epidemia rozprzestrzeniła się po całej okolicy. Oczywiście wyjazd Posy został odwołany, ale za to George na letnie wakacje przyjechał do Wynnów.

„Nie ten sam — szeptało serduszko Posy. — Nie ten sam, co zeszłego lata”. Z odrobiną zmieszania oświadczyła:

—George, jesteś jakby bardziej dorosły, niż byłeś wówczas, gdy cię poznałam.

—Wiem o tym, kochanie. Wówczas był okres, kiedy lubiłem dyskutować na temat celtyckich mitów i geniuszów wiktoriańskich. Znajdowałem się wtedy w okresie przejściowym, musisz o tym pamiętać, skarbie. Byłem idealistą, chociaż i dzisiaj mam jeszcze te same ideały, Posy!

—Ale gdy cię widziałam w Oxfordzie, już byłeś inny. Potrafiłeś się jakoś przystosować do nowoczesnego życia i nie byłeś taki, jak wtedy w maju.

—Przypuszczam, że nie. — Zmarszczył brwi, pykając z małej fajeczki, która zastępowała mu teraz dawne, nieodłączne papierosy. — Może na zawsze zerwałem z tym wesołym, beztroskim życiem. Tamten okres był okresem studenckim. Minał! W miarę jak człowiek pracuje, rozwija się w nim poczucie odpowiedzialności za to, co robi. Wtedy odczuwa całkiem inne zadowolenie. To uczucie jest bardzo ważne, skarbie. Nie podejrzewasz mnie chyba, że rzucam słowa na wiatr?

—Ach, najdroższy, jakżebyś mogła? Cieszę się, że potrafię zrozumieć to, co cię teraz najbardziej interesuje.

Spojrzenie jego szarych oczu spoczęło w tej chwili na spowitej w zieleni dolince. Siedzieli oboje tuż przy ruinach druidycznych, które oznaczały dla nich tyle wspomnień. George oparł się plecami o występ skalny. („Twarde są kamienie!”, powiedział w pewnej chwili z uśmiechem). Pochylił się nieco, szukając wygodniejszego oparcia, i wreszcie złożył swą jasną głowę na kolanach Posy. Wyciągnęła rękę, aby pogłodzić tę wijącą się czuprynę, ten kosmyk włosów, który mu opadał na czoło. Nie zauważył tego ruchu. W miarę, jak w jego duszy rozwijało się poczucie odpowiedzialności, stawał się jednocześnie mniej czuły na wszelkie objawy tkliwości. Jedna, dawno miniona chwila podczas zimy, kiedy to w momencie zupełnego zapomnienia objął i pocałował Posy, dotychczas więcej się nie powtórzyła. Załamał się wówczas w swojej wrodzonej rezerwie, postąpił wbrew tradycjom prawdziwego dżentelmena. Usprawiedliwiał się jednak przed samym sobą, ze względu na niezwykle okoliczności, jakie go wówczas sprowadziły do narzeczonej... W każdym razie przez dłuższy czas usiłował odegnąć od siebie wspomnienie tego zdarzenia. Teraz był wielce zadowolony, że jego „skarb” interesował się tym, co go w danej chwili zajmowało.

—Widzisz, każdy człowiek wyrasta z dziecięcego wieku. Nawet ci wszyscy malcy, którzy są w naszej szkole, staną się kiedyś dorosłymi ludźmi i będą odpowiedzialni za to, co robią. Gdy człowiek dorośnie, mimo woli nabiera powagi, Posy!

—Oczywiście. Ale najgorsze jest to, że im bardziej staje się poważny, tym większy ogarnia go smutek.

Jednocześnie w duchu pomyślała: „Dawniej śmiał się częściej i serdeczniej. Byłoby na pewno strasznie wesoło, gdybyśmy zeszłej zimy pojechali na narty do Szwajcarii!”

*

Na wakacje Bożego Narodzenia George pojechał do Szwajcarii na narty — ale bez Posy.

Skarbie — pisał — nie uważaj mnie za zadufanego w sobie zarozumialca i nie miej do mnie żalu, że przyjąłem zaproszenie na czterotygodniowy pobyt w St. Moritz. Przede wszystkim trzeba mieć na względzie interes. Lord Castletoye (który traktuje mnie jak rodzzonego syna) zwrócił się do mnie, abym pojechał z nimi i opiekował się małym Vivianem, który po ostatnim semestrze był w Harold-Hurst. Dostaję dwadzieścia gwinei i chlebodawcy pokrywają wszystkie moje wydatki! Będę mógł coś niecoś zaoszczędzić, a przebywanie w towarzystwie państwa Castletoye też mi może wyjść tylko na dobre. Poważny nauczyciel powinien podchodzić do wszystkiego z należytą rozwagą!

Posy przyznawała mu słuszość. Tylko gdy George, przejęty nowym towarzystwem, napisał do niej ze Szwajcarii:

Skarbie, nie możesz sobie wyobrazić, jak bardzo tęsknię za tym, żebyś Ty była ze mną w tym kraju, gdzie wszystko połyskuje od bieli i błękitu...

Posy nie byłaby przeciętną zaręczoną dziewczyną, gdyby w głębi duszy nie zaczęła się buntować:

— Jeżeli George tak bardzo chciał mnie tam mieć przy sobie, to dlaczego mnie nie zabrał w zeszłym roku? Przecież pragnął, żebym tu została, w tym kraju, gdzie zima jest słotna, gdzie nic innego się nie widzi, tylko nieustannie padający deszcz. Czy nic ciekawego już nigdy się nie zdarzy?

I rzeczywiście nie działo się nic interesującego aż do następnego lata, kiedy Posy opuściła swą rodzinną dolinę (po raz pierwszy od wizyty w Oxfordzie), aby udać się w odwiedziny do szkoły Harolda Stirlinga.

II. PRZYSZŁY DOM I DAWNA RYWALKA

— W przyszłym roku, miejmy nadzieję — mówił George Stirling z uśmiechem do Posy, gdy z auta ujrzeli już w oddali budynek Harold-Hurst — będziesz mogła to miejsce nazwać swoim domem.

Szkoła mieściła się w świeżo zbudowanym gmachu, o białe otynkowane ścianach z czerwonymi gzymsami i otoczona była trawnikami, z jednej zaś strony znajdował się obszerny ogród, z drugiej — kort tenisowy. Na tyłach budynku ciągnęły się obszerne pastwiska, za nimi zaś połyskiwały wody kanału La Manche. Wszystko tu było piękne, przestrzenne i dodające zdrowia, tylko dla dziewczyny przywykłej do urozmaiconego krajobrazu walijskiego tutejsze widoki były dziwnie obce i monotonne. Deszcz nie padał, lecz i słońce nie świeciło, a silny wschodni wiatr czynił ten zakątek dziwnie nieprzytulnym...

„Trudno sądzić o miejscowości, gdy się przebywa w niej zaledwie tydzień” — myślała Posy.

Usiłowała uporządkować w pamięci wszystkie wrażenia z całego tygodnia.

Przyjazd George'a na dworzec: jego opalona, zdrowa twarz, jego muskularna postać w białym flanelowym garniturze, z przepisowym, szkolnym krawatem, i ten całkiem nowy „oficjalny” wyraz powagi na jego twarzy. Cały batalion małych chłopców nazywa go „sir” i każdy z nich wita go pełnym szacunku ukłonem, i każdy nosi taki sam krawat. Wspominała moment zawarcia znajomości z Haroldem Stirlingiem („zupełnie podobny do George'a, o piętnaście lat od niego starszy, lecz o wiele mniej interesujący i nie taki przystojny”) i z panią Haroldową Stirling, która miała wyjątkowo sterczące obojczyki, okulary w rogowej oprawie i dziwną surowość w twarzy. Wspominała chwilę, kiedy ją oprowadzano po szkolnych salach, chwilę, kiedy zasiadano do uroczystego obiadu, wspominała korytarz obity zieloną boazerią, nad którą wisiały na ścianach ręczne roboty chłopców („drogi Mr Stirling, sądziłem, że sprawi to panu przyjemność...” —

mówił ktoś dziwnie monotonnym głosem). Pani Haroldową uważała, że Posy wygląda szalenie młodo! Posy pamiętała dokładnie powłóczyście spojrzenie młodszego nauczyciela, nazwiskiem Mason, pamiętała nie kończące się rozmowy na temat szkoły, śmiech pani Haroldowej i jej obojętną uwagę: „Ach, miss Wynn! I pani jest narzeczoną nauczyciela!”

Zauważyła, że pani Haroldowa od pierwszej chwili nie żywiła dla niej sympatii...

Pamiętała dokładnie, że George miał dla niej zawsze zbyt mało czasu. (Jakże mogła mieć do niego o to żal? Przecież podczas roku szkolnego miał roboty po uszy!) Uświadomiła sobie, że największym błędem było przyjechać w roli narzeczonej do domu, w którym kiedyś ma zostać gospodynią.

Wspominała tę chwilę, kiedy zdała sobie dokładnie sprawę, że szkoła ma swoje obozy polityczne, swoją tajemną dyplomację, swoje wojny domowe — zupełnie tak, jak każdy naród, albo jak każda parafia.

Wspominała momenty, kiedy w Harold-Hurst prowadzono długie rozmowy na temat zjazdu rodzicielskiego, który miał się odbyć w przyszłą sobotę. Pamiętała ową sobotę, kiedy rozpoczął się ów zjazd i trwał przez cały tydzień. W jej uszach brzmiały jeszcze powtarzane przez wszystkich słowa:

„Jak to dobrze, że mamy taką ładną pogodę!”

Pamiętała, jak George usadowił ją przy stole i pozostawił wśród tłumu obcych ludzi, aby mogła się przyjrzeć wszystkiemu dokładnie. Pamiętała, że czuła się strasznie opuszczona, słuchając nieciekawych rozmów, słuchając rozmaitych toastów, oklasków i okrzyków na cześć jakichś nieznanym osobom.

Pamiętała, że w pewnym momencie przyszło jej nagle na myśl: „Gdybym miała syna, nie chciałabym, aby był podobny do któregoś z tych chłopców”.

Nagle tuż za swymi plecami usłyszała wesoły kobiecy głos:

— Rodzice na ogół kierują się dziwną metodą pokazywania obcym ludziom, że ich dzieci mają jakieś wrodzone talenty. Ale, Guy, który z tych chłopców jest Vivianem? Dla mnie wszystkie te dzieciaki w słomkowych kapeluszach wyglądają zupełnie jednakowo. Jestem pewna, że nawet własnego dziecka nie potrafiłabym tutaj rozpoznać!

Obejrawszy się za mówiącą kobietą, Posy dostrzegła elegancki duży kapelusz i delikatny klasyczny profil niewieściej twarzy. Nieznajoma także spojrzała na Posy, uśmiechnęła się i zawołała:

—Jak to, przecież to Posy! Pamiętam Oxford i tę niezapomnianą niedzielę! Pamiętam przejażdżkę do gospody „Pod Pstrągiem”. Więc pani tutaj? Więc pani sobie mnie nie przypomina?

—Oczywiście, że sobie przypominam! — Posy serdecznie uścisnęła wyciągniętą dłoń kobiety, o którą niegdyś była tak bardzo zazdrosna i z powodu której zerwała swe zaręczyny.

Sybila Armstrong! Poznała od razu tę zręczną postać w eleganckiej sukni, te smukłe białe ramiona, wychylające się z szerokich jedwabnych rękawów.

—Pani się teraz nazywa Sybila Turner? Sądziłam, że pani jest w Indiach.

—Przyjechaliśmy właśnie do kraju na stałe. Proszę tu usiąść przy mnie, bo chciałabym z panią porozmawiać. Widzi pani, mam synka imieniem Jim, a Indie są krajem ustawicznych niebezpieczeństw. Czy któraś matka zdobyłaby się na to, żeby pozostawić swe dziecko w Anglii i utracić je na zawsze? A czy któraś żona zdecydowałaby się na pozostawienie męża w Indiach? Guy doszedł do wniosku, że należy na zawsze skończyć z dotychczasową karierą i wszyscy troje wróciliśmy do kraju. Guy oczywiście zaraz znalazł zajęcie na giełdzie (przychodzi tam raczej po to, aby wysłuchać ostatnich ploteczek, jak ja powiadam). Mały siostrzeniec Guya, Vivian Castletoye, został oddany do tej szkoły. Właśnie dlatego przyjechaliśmy tutaj, bo jego rodzice przebywają jeszcze w Indiach. Mamy już własny dom na Brompton Square.

—Strasznie się cieszę, że panią widzę. Pani oczywiście jest tu stale, prawda, Posy?

— Przyjechałam tylko na tydzień. Mieszkam stale w Walii.

— Tak, ale czy kierownik tej szkoły, Mr Stirling, nie jest bratem pani męża?

— Jest bratem mego narzeczonego.

— Więc wyście się jeszcze nie pobrali?

Posy z uśmiechem potrząsnęła głową.

—Myślałam, że już dawno po ślubie — rzekła Sybila. — Niech mi pani powie, dlaczego dotychczas...

—Po prostu ślubu jeszcze nie było! Zawsze jednakowo się kochamy! Jeszcze ciągle jestem z nim zaręczona.

—Ach, oczywiście. Ale proszę, nadchodzi Guy. Pani pamięta Guya z tamtego wieczorku...

Zbliżył się do nich major Turner, o jeszcze bardziej siwych włosach, nieco tęższy, lecz tak samo wesoły i dowcipny.

— Latem trochę utylęm! — zawołał jowialnie, ściskając rękę Posy. — Ale świetny był tamten wieczorek, co? Dobrze, a gdzie jest ten sławetny Geogr?

—Roztrząsa tam jakiś spór, niech pan spojrzy... — Posy z dumą wskazała stojącą opodal wysoką postać w długim płaszczu. — To jest George!

—Ach, tak... doskonale, dobrze, że jest w tej chwili zajęty — podchwyciła z figlarną minką Sybila. — Będziemy mogły spokojnie pomówić. Niech mi pani powie, kiedy się pobierzecie?

—To zależy. Możliwe, że w przyszłym roku. Czekamy tylko, aby w szkole trochę się poprawiło...

—Co znaczy „poprawiło”? Miałam wrażenie, że w szkole wszystko doskonale. Położona jest świetnie, ma wyśmienity system nauczania i w ogóle — szczeniotała Sybila. — Pani uważa, że jeszcze powinno być lepiej? Ależ to okropne! I do chwili ślubu pozostanie pani w domu? Co pani będzie robić?

—Jak to, to samo, co robiłam dotychczas. Pomagam w gospodarstwie, zajmuję się ogrodem, pomagam ojcu. Od czasu do czasu robimy jakieś przyjęcie. Niekiedy biorę udział w jakimś garden party, pracuję w Instytucie Kobiet...

—To wszystko brzmi dla mnie strasznie dziwnie — zawołała Sybila Turner z ironią, którą Posy tak dobrze pamiętała. — Dlaczego musi pani to wszystko robić? Dziewczyna przed ślubem powinna mieć więcej rozrywek, po co prowadzić żywot tak monotony? Zaśniedzieje pani, droga Posy, Jest pani stanowczo za ładna, zbyt interesująca, aby prowadzić taki tryb życia. Ludzie wiele rozpowiada-

ją o tym, że każda kobieta powinna wyjść za mąż i ustabilizować się. Dla mnie to zawsze było niedorzecznością. A jeszcze gorzej bywa, gdy kobieta ustabilizuje się przed zamążpójściem. Niekorzystnie to wpływa na jej zamiary matrymonialne i nie daje żadnego osobistego zadowolenia.

—Nie miałem pojęcia — wtrącił mąż Sybili, patrząc na nią łobuzersko — że ty taką wagę przykładasz do zamiarów matrymonialnych.

—Ależ oczywiście! Przecież każda kobieta chce kiedyś wyjść za mąż i dlatego starsze panie obrażają się, gdy przez pomyłkę konduktor autobusowy powie którejś „miss”.

Turnerowie przez cały czas dotrzymywali Posy towarzystwa, aż wreszcie podszedł do nich George. Nastąpiły powitania i rozmowa potoczyła się na temat dawnych wspomnień z Oxfordu. „Czy widział ktoś Pedra, czy słyszał ktoś ostatnio o Jeffreyu O'Brien...” A potem jeden z małych uczniów, ulubieniec Posy, przybiegł nagle i zbliżywszy się do George'a, rzekł:

— Sir! Mr George Stirling, podano już do stołu.

Zastawiono zresztą kilka dużych stołów w gimnazjum. Stół nakryty dla sześciu osób uginał się pod olbrzymim wazonem z różami, pod jeszcze większym półmiskiem poziomek i dzbankiem kremu, pod paterami małych ciasteczek, które właśnie wyniesiono na werandę.

—Dla kogo przygotowano ten specjalny stół? — zapytał major Guy Turner, wkładając monokl, Sybila zaś cichutko zwróciła się do George'a:

—Najwidoczniej dla wybranych rodziców, którzy mają jakiś tytuł?

—Ach, nie — odparł George z uśmiechem, po czym zwrócił się do jednego z małych uczniów: — Holmes-Holand, bądź łaskaw wyjaśnić pani Turner, dla kogo ten stół jest przygotowany.

Holmes-Holand podniósł w górę swą małą, dziecięcą twarzyczkę i wyjaśnił:

—To dla Czerwonych Oczu! Sześciu chłopców, widzi pani, ma czerwone oczy i odbywają kwarantannę, toteż muszą być izolowani od innych. Dla nich właśnie Mr George Stirling kazał przygotować specjalny stół, aby mogli choć z daleka wziąć udział w uroczystości...

—Rozumiem — uśmiechnęła się Sybila. Jednocześnie dostrzegła wyraz czułości na drobnej twarzyczce Posy, gdy ta usłyszała o subtelności George'a.

Zanim odjechali na dworzec, pani Turner dała jej swój adres, numer telefonu i powiedziała na pożegnanie kilka słów, które dopiero później miały się zrealizować:

— Naprawdę, Posy, nim pani wyjdzie za mąż, musi się pani koniecznie wy dostać ze swego domowego zacisza i poświęcić trochę czasu na zobaczenie kawałka świata.

(Mąż Sybili przyszedł jej z pomocą: „Sybila pragnie, aby pani poznała nowych młodych ludzi“.)

— Trzeba koniecznie wziąć się do rzeczy — dorzuciła Sybila.

Posy zaśmiała się głośno, potrząsając swą ciemną główką.

—To byłoby nie dla mnie — zaprotestowała. — Stanowczo wolę zostać w domu i czekać.

—Ale jak długo? Lepiej przyjechać i zamieszkać u nas w Londynie. Musi pani koniecznie zobaczyć Jima, chociaż poza tym trzeba także odwiedzić teatry, wspaniałe magazyny i postarać się o jakąś interesującą pracę. Niech się pani nad tym zastanowi, kochanie. Proszę napisać do mnie, jak zmieni pani pogląd na te sprawy.

—Napiszę — obiecała, aby sprawić przyjemność swej eks-rywalce. W gruncie rzeczy nie wyobrażała sobie, aby kiedykolwiek zapragnęła pracować. Marzyła tylko o własnym domu, o wspólnym życiu z George'em. To było jej jedyną utajoną tęsknotą.

*

Fala namiętnej tęsknoty owładnęła nią przy końcu pobytu.

Oczywiście George odprowadził ją na dworzec, lecz prawdziwe pożegnanie odbyło się w jego gabinecie. Obejrzała wszystkie kąty tego pokoju, nawet półki z zeszytami i ustawione szeregiem podręczniki, wśród których znalazła mnóstwo swoich zdjęć.

—Ach, George! Wstawiłeś w ramkę to stare zdjęcie z dawnych czasów, kiedy sfotografowałeś mnie w tym zniszczonym płaszczu deszczowym razem z Taffym?

—To zdjęcie najbardziej lubię — uśmiechnął się George. — Zapomniałem zupełnie zapytać, jak się miewa Taffy?

—Niestety postarzał się! A tutaj znowu ja wśród pierwiosnków. Ach, George, pamiętasz, że to było tam, gdzie powiedziałeś...

Umilkła. George z pełną prostoty powagą powtórzył słowa, które wyrzekł wówczas: — „Cokolwiek się ze mną stanie, dokądkolwiek pojedę, nigdy nie przeżyję piękniejszej wiosny, niż ta, podczas której ciebie poznałem”. Jeszcze teraz tak myślę, Posy. Choćbym się nie wiem jak zmienił, moje uczucia dla ciebie, skarbie, pozostaną zawsze takie same.

Patrząc w te stanowcze szare oczy, Posy szepnęła:

— Wierzę, że to jest prawda, George. Tak, wierzę ci bezgranicznie.

Czy taka wiara nie dodałaby świeżej otuchy każdej zaręczonej dziewczynie?

Posy pojechała do domu, czyniąc sobie wyrzuty:

— Jestem straszną egoistką! Zawsze patrzę na wszystko z własnego punktu widzenia! George jest nadzwyczajny. Pracuje i myśli tylko o naszej wspólnej przyszłości! Taki jest łagodny w stosunku do tych wszystkich chłopców! Taki był czuły dla mnie! Taki uprzejmy! Pamięta dokładnie każde słowo, jakie wypowiedział tak dawno! Taki przywiązany! Jeżeli on może tak długo, to czy i ja nie powinnam?

Przyjechała do domu z postanowieniem zdobycia się na cierpliwość. Nigdy już więcej nie przyjdzie jej na myśl, że długotrwałe zaręczyny są wyczerpujące i nużące. W domu jednak miało nastąpić coś, co nagle załamało to pełne poświęcenia postanowienie.

III. ZIELONE POŃCZOCHY

Czy zauważyliście kiedyś, co się dzieje w rodzinie, gdy dziewczęta dorastają i dochodzą do wieku, kiedy zaczynają już żyć swoim, tak zwanym „życiem pełnym miłości”?

W niektórych rodzinach córki rozpoczynają ten okres jeszcze przed dwudziestym rokiem życia, w innych znów nawet po dwudziestce nie potrafią zainteresować sobą żadnego mężczyzny. A lata szybko płyną. Dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem i trzydzieści... Ludzie mówią wówczas: „Ach, najstarsza córka tego i tego jest kandydatką na starą pannę. Przecież inaczej dawno wyszłaby za mąż”. A jednak! Nadchodzi taka chwila, kiedy nastaje ogólna konsternacja i dziewczyna, którą sąsiedzi znają od niemowlęcia, raptownie zaręcza się, a potem szczęśliwie wychodzi za mąż. Siostry takiej dziewczyny później jakimś dziwnym trafem idą w jej ślady, chociaż mają dawno po trzydzieście. I ze starych zaszuszonych panien przeistaczają się w kwitnące narzeczone, a później w zadowolone z życia mężatki.

Istnieją i takie rodziny, w których dziewczęta zaraz po skończeniu szkoły przeznaczone są do zamążpójścia.

Weźmy choćby rodzinę Wynnów. Posy, która nie miała jeszcze osiemnastu lat, wyglądała o wiele młodziej owego popołudnia, kiedy poznała George'a Stirlinga, a zaręczyła się z nim w dwa tygodnie później. Za jej przykładem poszła młodsza siostra, Kit — mając lat osiemnaście nagle się zaręczyła.

— Gdzie go właściwie znalazła? — pytano w parafii, gdy wiadomość o zaręczynach rozeszła się po okolicy.

Oto mamy odpowiedź: Kit „znalazła go” podczas wizyty u swej dawnej szkolnej koleżanki, która mieszkała w maleńkiej osadzie Carnarvonshire — w ustroniu, gdzie właściwie trudno znaleźć jakiegokolwiek młodzieńca. Ale brat dawnej szkolnej koleżanki (urzędnik bankowy, Frank Lloyd) przybył właśnie z pierwszą wizytą do domu po pięcioletnim pobycie w Australii i nagle zakochał się w ciemnookiej Kit Wynn, postanawiając, że przy końcu lata dziewczyna musi razem z nim wrócić do Sydney.

Na razie razem z Kit odwiedził jej rodziców.

Dr Wynn zdążył się już przyzwyczaić do nieoczekiwanych pomysłów swych córek (które jeszcze tak niedawno bawiły się lalkami!) i pomysły te przyjmował

całkiem spokojnie. Nie było już zamieszania na temat zaręczyn Kit z młodym Lloydem, jakie nastąpiło niegdyś, kiedy Posy zaręczyła się z młodym Stirlingiem. Pani Wynn trochę popłakała, że młodsza córka przeniesie się na drugi koniec świata, potem jednak zaczęła się śmiać, gdy Mervyn Wynn przypomniał jej, że każdy teraz może się porozumieć z Sydney dzięki komunikacji radiowej i że do Australii można się dostać w ciągu jednego tygodnia.

(Dotychczas nikt z rodziny Wynnów nie podróżował jeszcze samolotem.)

I odtąd życie stało się jednym, nie kończącym się przygotowaniem związanym z wyjazdem Kit do Australii, stało się ustawicznym otrzymywaniem i wysyłaniem listów do rozmaitych znajomych, którzy może zechcą młodej mężatce przysłać jakieś upominki, więc lepiej będzie, gdy je skierują od razu do Australii. Nieoczekiwanie jednak nadeszła pocieszająca wiadomość! Młody Lloyd otrzymał depezę zawiadamiającą go o awansie i przeniesieniu do londyńskiej filii banku, którego centrala mieściła się w Sydney. Wywołało to niebywałą radość w rodzinie, że mała Kit pozostanie jednak po tej stronie Oceanu.

—Więc nie odjedzie tak daleko? — cieszą się chóralnie w parafii. — Skoro nie pojedzie na drugi koniec świata, nie trzeba robić takiego ambarasu ze ślubem.

—Ach, oczywiście! — uśmiechał się młody Mr Lloyd i młodsza miss Wynn. Oboje zdecydowali, że zaręczyny będą trwały krótko. — Teraz jest najodpowiedniejsza pora na urządzenie ślubu — oświadczył młody Lloyd.

Kit oczywiście uważała go za ósmy cud świata.

Istotnie miał mnóstwo zalet. Był smukły, czarnowłosy, o jasnej cerze i kształtnej głowie typowego Celta. Nie był jednak zbyt wysoki, miał piękne, błyszczące oczy i pogodną, roześmianą twarz. Może zbyt łatwo ulegał podnieceniu. Potrafił kochać, gniewać się, potrafił być zazdrosny. Miał jednak dobre serce i wkrótce o gniewie zapominał. Jego inteligencją szczyliła się cała rodzina, a nawet najbliżsi sąsiedzi. Sądząc z pozorów, był bardzo niestały.

—Gdybyś mi teraz powiedziała, że mnie nie kochasz — zwrócił się Frank Lloyd z półuśmiechem do swej narzeczonej — nie okazałbym ci, że mi łamiesz serce. Pamiętaj, że niektórzy mężczyźni potrafią szybko się pocieszać! Właśnie ja mam takie usposobienie. Gdybyś mnie zawiodła, w ciągu roku musiałbym się oświadczyć innej dziewczynie, bo „inaczej jutro bym umarł”, jak powiadają w Carnarvonshire.

—Ludzie mówią, że w Carnarvonshire „jest duży wybór kandydatów do małżeństwa” — zauważył dr Wynn, śmiejąc się i wyjmując fajkę z ust. Lubił młodego Lloydę, który w zasadzie pochodził z chłopskiej rodziny, lecz ojciec Franka

zdobył już o własnych siłach wykształcenie i umiał wychowywać dzieci. Dr Wynn w chwilach szczerości zwierzał się swojej żonie: „Nie wiem, jak to się dzieje, ale chwilami dochodzę do wniosku, że wolę tego łajdaka Franka od naszego drugiego przyszłego zięcia”.

—Ale on nie ma takiego szlachetnego charakteru jak George — protestowała gorąco pani Wynn. — Nie jest taki oczytany i taki mądry jak George. Nie wart mu nawet bucika zasnurować...

—A przecież i ty sama wolisz Franka — uśmiechnął się ojciec Posy.

—Lubię ich całkiem inaczej — tłumaczyła pani Wynn. — Przecież trudno dwóch ludzi darzyć jednakowym uczuciem.

—Kobiety zawsze lubią mężczyzn, którzy mają coś ze złego ducha — mruknął mąż.

Kit przyjęła poważnie ostrzeżenie, że Frank nie rozpaczałby zbyt długo, gdyby ślub z jakichkolwiek względów został odłożony. Życie w domu Wynnów nadal płynęło gorączkowo na przedślubnych przygotowaniach... „Jak za czasów Posy”, mówiła Kit.

„Za czasów Posy!” Aluzja na ten temat, wypowiedziana lekko i żartobliwie, wbijała się jak nóż w serce narzeczonej George'a Stirlinga.

Po raz drugi Posy doznała tego samego uczucia, gdy Frank swoim małym autem zawiózł obie dziewczyny do swej babki mieszkającej w sąsiednim hrabstwie (Posy myślała: „Zabierają mnie, bo wiedzą, że ja już mam doświadczenie”).

Babka Franka była typem sympatycznej wiekowej matrony, jakich mnóstwo żyje w starych angielskich posiadłościach, nosiła mały czepek na falistych siwych włosach, mówiła ze śpiewnym walijskim akcentem i od czasu do czasu kiwała głową. Frank był do niej bardzo przywiązany, bo chociaż na ogół mówi się, że Walijszczyki są ludźmi zimnymi i łatwo przystosowują się do nowych warunków, to jednak trudno ich posądzić o brak uczuć rodzinnych.

Frank podczas rozmowy tłumaczył to wszystko, co mówiła stara kobieta, gdy siedzieli w obszernej kuchni, pijąc aromatyczną herbatę i jedząc tradycyjny chleb z masłem, kruche domowe ciasteczka i świeże jajka prosto od kury.

—Która z tych młodych dziewcząt jest starsza, Frank?

—Siostra mojej narzeczonej.

—Właściwie wyglądają, jakby obie były w jednym wieku! A czy ta starsza też wychodzi za mąż?

—Tak, babciu. Jest zaręczona z bardzo wykształconym człowiekiem, nauczycielem w Anglii.

—Czy jej ślub odbędzie się tego samego dnia, co ślub jej młodszej siostry?

—Nie, babciu. Posy jeszcze nie wie, kiedy wyjdzie za mąż, powiada, że chyba nieprędko.

—Szkoda, szkoda — pokiwała głową babka i utkwiała pytające spojrzenie w rumianej, drobnej twarzyczce Posy Wynn. — Ślicznie by wyglądały te dwie dziewczynki, gdyby jednocześnie wychodziły za mąż. Więc ta młodsza ma wcześniej zostać żoną? Bardzo dziwne, naprawdę. Jak powiada przysłowie, „dała ona siostrze parę zielonych pończoch”.

—Co to ma znaczyć? — zapytała Posy. — Rozumiem znaczenie tych słów, lecz nie rozumiem sensu przysłowia.

—„Zielone pończochy” to jest takie powiedzenie, którego się używa, gdy młodsza siostra wychodzi za mąż, wyprzedzając starszą; wówczas się mówi, że dała jej parę zielonych pończoch.

—Więc czy ja te pończochy daję Kit, czy Kit mnie je daje? — zapytała Posy z uśmiechem.

—Na szczęście już teraz nie nosi się kolorowych pończoch — zawołała Kit, patrząc z czułością na swą piękną siostrę. — Muszę przyznać, że jeżeli idzie o pończochy, to raczej ja niejednokrotnie dostawałam je od Posy!

Bo gdy zaczęto mówić o wyprawie, Posy rzekła: „Nie należy się o to martwić! Przecież jest cała szafa rozmaitych rzeczy, które i tak tymczasem leżą bez użytku”. I oddała siostrze całą najpiękniejszą bieliznę, którą przygotowała na własny, odłożony, niestety, ślub.

—Posy, ja tego nie mogę wziąć. Przecież to wszystko sama haftowałaś!

—Będiesz mi mogła odkupić materiał, jeśli zechcesz, a ja sobie uszyję inne. Strasznie nie lubię, gdy bielizna leży bezużytecznie. Zresztą nim będzie mój ślub, na pewno to wszystko wyjdzie z mody, Kit.

—Posy, daj spokój! — Kit była bliska płaczu na samą myśl o tym.

—Moja kochana, chciałam tylko powiedzieć, że w obecnych czasach wszystko bardzo szybko przestaje być modne! Dawniej wyprawę szyło się z praktycznych materiałów, żeby starczyła na wiele lat. Kto dzisiaj lubi rzeczy „nie do zdarcia”? Dzisiaj wszystko musi być cieniutkie, delikatne i subtelnie haftowane. Weź to, kochanie, dopóki jeszcze nie wyszło z mody — i przerzuciła siostrze przez ramię stos delikatnych koszulek, które tak długo szyła i przy których tak ustawicznie marzyła. — Coś nowego będzie modne, nim ja wyjdę za mąż. —

Dorzuciła jeszcze cały stos nocnych koszul z jedwabiu w kolorze jasnocytrynowym. — Już teraz wchodzi w modę piżamy, a nim ja wyjdę za mąż, wszystkie kobiety będą spały w piżamach! — prorokowała Posy Wynn.

W trzy tygodnie później Posy była druhną na uroczystości ślubnej w małym wiejskim kościółku, gdzie wszystkie dzieci były chrzczone i który teraz został pięknie udekorowany, nie tylko z okazji ślubu miss Wynn z Mr Lloydem, lecz również z okazji dożynek. Ten ciepły, słoneczny dzień jesienny złocił się od barwnych dali, złotych chryzantem i chińskich astrów. Były też kosze przepelnione owocami, girlandy świerkowe i wieńce ze świeżych kłosów. Istotnie ślub był wspaniały. Ławki kościelne się zapełniły. Walijski chór, który przygotowywał się już od tygodnia, rozbrzmiał radosnym hymnem weselnym. Kit jako panna młoda wyglądała uroczo w długim białym welonie, przybranym kwiatami pomarańczy, na które Posy miała taką ochotę już dawno, tak bardzo dawno, że wydawało się, jakby miało to być kiedyś w minionym życiu. Kit miała także ogromny bukiet białych lilii, który jej ofiarował Frank.

Posy jako druhna musiała trzymać ten bukiet, gdy pastor wsuwał obrączkę na palec Kit. Ostrzegła samą siebie: „Nie wolno nawet za osłoną kwiatów ronić łez. Przecież to śmieszne doznawać takiego uczucia, jakby już wszystko w życiu się skończyło. Nie powinnam w ogóle myśleć o sobie. Nie będzie z tego żadnego pożytku. A jednak myślę ustawicznie: «Dlaczego to nie George i ja?» albo «Dlaczego George i ja nie wzięliśmy ślubu przed trzema laty?»”

Tak samo jak miało to być owej pamiętnej zimy, kiedy odłożono ślub Posy, przygotowano tort weselny w sali parafialnej, w owej sali, w której odbywały się wszystkie zebrania Instytutu Kobiet. Tutaj właśnie towarzystwo weselne zastało tak wielki półmisek ryżu, że można nimi byłoby karmić całą rodzinę Chińczyków w ciągu trzydziestu lat. Jedna z pacjentek dr. Wynna przyniosła pod fartuchem dwie żywe kury, które puściła na swobodę, gdy towarzystwo weselne wychodziło na ganek. Istotnie całej sąsiedztwo przeobraziło się w jedną wielką rodzinę, która dzisiejszą pannę młodą kołysała jeszcze na rękach jako niemowlę. Sąsiedzi nie mogliby okazać większej życzliwości, nawet gdyby to był pogrzeb Kit, a nie uroczystości zaślubin.

— Wierzę święcie, że wszyscy są szalenie uradowani — mówił dr Wynn.

Siostra Davis, wyczerpawszy już cały swój zasób plotek na temat każdego ślubnego prezentu, podeszła do Posy, której twarzyczka płonęła teraz rumieńcem z wielkiego podniecenia.

—Ale pani jest śliczną druhną, miss Posy. Bardzo pani dobrze w tej czerwonej sukience przybranej różyczkami! Mam nadzieję, że następny ślub to już będzie pani własny?

—O nie, bardzo wątpię — odparła Posy. — Tej zimy jeszcze raz będę druhną. Pani zna Gladys, moją najserdeczniejszą przyjaciółkę, która wyjechała do Londynu? Właśnie ona wychodzi za mąż za swego kuzyna, jak się dzisiaj rano dowiedziałam, i chce, żebym była jej druhną.

—Istotnie! Ach, mój Boże! Jakież to dziwne historie ostatnio się dzieją, prawda? — mówiła parafialna plotkarka, która już zaczęła węszyć nową sensację. — Ale musi pani być ostrożna, żeby po raz trzeci nie być niczyją druhną, proszę uważać.

—Muszę być ostrożna? — zapytała wesoło Posy. — A to dlaczego?

—Czy nie zna pani starego przysłowia? „Trzy razy druhną — nigdy panną młodą!”

Tort został napoczęty, szampan perlil się w kieliszkach.

Posypały się toasty w języku walijskim i angielskim i w wielu z nich były aluzje dotyczące siostry panny młodej, wielu wyrażało nadzieję (szczególnie miejscowcy kowal i szewc), że wkrótce spełnią swój obowiązek jako świadkowie na drugim ślubie i że pożegnają opuszczającą rodzinne strony miss Posy.

Posy przypominała sobie ustawicznie: „Uśmiechnij się, idiotko! Przecież wszystko to żart i zresztą całkiem dobry. Trzeba będzie napisać wesoły list do George'a. Albo nie, może nie do niego. Może opis takiej uroczystości wcale go nie zainteresuje. Napiszę do Sybili Turner. Jestem pewna, że Sybilę to ubawi. Ma duże poczucie humoru”.

Młodziutka panna młoda wróciła do domu, aby się przebrać przy pomocy Posy, która ustawicznie mówiła do siebie: „Nowoczesne zaręczone dziewczęta nie zazdroszczą, gdy ich siostry czy przyjaciółki pierwsze wychodzą za mąż, a one zostają w domu, aby czekać. Nie należy się martwić takimi drobnostkami. Takie zmartwienia już dawno są przestarzałe”.

Lecz czy miłość może być przestarzała? Przecież ciągle modna jest ta triumfalna duma, to radosne zadośćuczynienie, które rozbrzmiewa w pierwszej zwrotce *Marsza weselnego*. Przestarzałe, ale zawsze modne! Zawsze jest w modzie

przesyłanie telegramów z życzeniami świeżo zaślubionej parze, która ma rozpocząć nowe życie...

Przybywały istotnie telegramy z życzeniami od tych wszystkich, którzy kiedykolwiek widzieli Kit i Franka lub cokolwiek o nich słyszeli. Przybyła również depesza z Harold-Hurst od „przyszłego szwagra, George'a Stirlinga...”

Potem nadeszło pożegnanie, jeszcze więcej serdecznych życzeń, ostatnia uroczysta chwila: „Niech Bóg nad tobą czuwa, kochanie!” ze strony matki panny młodej i zapewnienie ze strony pana młodego „Będę się nią opiekował! Już wszystko będzie w porządku”. A później okrzyki: „Chodźmy już, pani Lloyd!”, „Do widzenia, Posy, kochanie” i zdawkowy pocałunek szwagra, jedyny pocałunek, jakim ją obdarzył mężczyzna z wyjątkiem George'a. „Do widzenia!”

Wyjechali. Auto zniknęło za zakrętem, ciągnąc za sobą tradycyjny trzewik, który brat panny młodej przywiązał na szczęście do wystającego zderzaka.

*

Gdy pani Wynn, zdjawszy z siebie strój weselny, weszła do małego pokoiku, w którym jej córka spędziła ostatnią noc przed swym ślubem, dopiero wtedy poczuła głębokie wzruszenie. W małym pokoiku, gdzie Kit porzuciła najrozmaitsze drobiazgi, jej matka dostrzegła coś, na co absolutnie nie była przygotowana. Pod wpływem tego widoku zapomniała zupełnie o własnym smutku.

Z twarzą ukrytą w poduszkach na łóżku Kit leżała Posy z włosami w szalonym nieładzie, głucho szlochając.

— Posy! Dziecko kochane, cóż to takiego? — Pani Wynn usiadła na krawędzi łóżka tuż przy córce. — Kochanie, moje biedne dziecko! — uniosła ku górze ciemną główkę córki.

Zalana łzami twarz spoczęła na matczynej piersi...

I nagle...

—Bardzo mi przykro, mamo. Wybacz mi. W każdym razie podczas ślubu dobrze się trzymałam.

—Kochanie moje, byłaś nadzwyczajna. Czy sądzisz, że ja nie rozumiem? — szeptała pani Wynn. — Rozumiem doskonale, wiem wszystko. I ja o tym myślałam. Gdyby George...

—To nie jego wina. To nie jego wina, że okoliczności tak się złożyły — zaprotestowała Posy, ściskając mocno w palcach czystą, suchą chusteczkę, którą jej podała matka. Wytarła nos i zaczęła mówić drżącym głosem, siląc się na spokój: — To wszystko nie ma nic wspólnego z George'em. Już teraz czuję się zupełnie

dobrze. Nic mi nie jest, tylko... — usiadła na łóżku. Spoza łez jej duże oczy spoj-rzały prosto w twarz matki. — Tylko jest jedno. Nie mogę zostać w domu po tym wszystkim... żeby wszyscy do mnie mówili, żeby mi zadawali pytania na temat mego ślubu, żeby się dziwili, że to trwa tak długo... Wiem, że to śmieszne, ale...

—Dla każdej dziewczyny — mruknęła pani Wynn, jakby do siebie — byłoby to straszne!

—Nie wiem, jak to wszystko przetrzymam. Mamo, strasznie mi będzie cię opuszczać, ale muszę wyjechać!

—Kochanie, dlaczego nie miałabyś wyjechać na kilka dni?

—Nie na kilka dni — podchwyciła Posy stanowczo. — Chcę wyjechać na zawsze. Sybila Turner radziła mi, żebym się postarała o pracę.

—O pracę? — powtórzyła matka ze zgorzaniem. Widziała już teraz te wszystkie trudności, z których córka nie zdawała sobie sprawy. Orientowała się, jak to bywa, gdy zaczyna się biegać po różnych agencjach. Będą tam zadawać biednemu dziecku jeszcze więcej pytań, niż zadawała siostra Davis na temat za-ręczyn i planów na przyszłość! Najwyżej dostanie posadę gospodyni i za ciężką pracę otrzyma nie więcej niż funta tygodniowo. A praca urzędniczki? Przecież pisanie na maszynie i stenografia były Posy zupełnie nie znane. Nie władała tak-że językami, z wyjątkiem odrobiny francuskiego i niemieckiego, których uczono w średniej szkole. Była wprawdzie muzykalna, miała doskonały słuch i miły gło-sik, lecz o występach publicznych też nie mogło być mowy. Chociaż matka zdo-byla nagrodę w konkursie śpiewaczym i rokowano jej świetną przyszłość, to ani Posy, ani też Kit nie odziedziczyły po niej tego talentu. Jednym słowem sytuacja przedstawiała się niezbyt pocieszająco. I co teraz będzie?

— Posy, kochanie, przecież nie chcesz chyba wstąpić na scenę?

Posy zaśmiała się głośno.

—Mamo, nie mam nawet do tego warunków!

—Warunków! — pani Wynn wydeła pogardliwie usta, spoglądając na córkę, która według niej była skończoną pięknnością. — Przecież figurę masz wyjątko-wą.

—Jestem całkiem przystojna w domu, bez wątplenia, mameczko, ale w teatrze takich nie potrzebują. Stanowczo brak mi urody! Jednak muszę coś zrobić. Bardzo lubię dzieci...

Nagle umilkła, bo właśnie w tej samej chwili obie pomyślały o jednym i tym samym. Posy stworzona była do tego, aby opiekować się własnymi dziećmi.

— Mniejsza o to. Pozwól mi pojechać do Londynu. W domu nie mogę zostać
— nie chcę. Sybilla Turner na pewno weźmie mnie do siebie. Miała słusność.
Dopomoże mi w rozejrzeniu się za pracą. Muszę znaleźć coś do roboty, zamiast
tutaj beznadziejnie czekać na ślub!

TLR

IV. PIERWSZA PRACA

Ślub młodszej siostry zapoczątkował nową erę w życiu Posy.

Po owym dniu, w ciągu którego musiała taić miotające nią uczucia, po późniejszym wybuchu, dziewczyna była już nie tą dawną Posy, wesołą i beztroską, nie tą dawną prostoduszną Posy Wynn, która zakochała się od pierwszego wejścia w zaledwie ujrzanym mężczyźnie.

Lecz szybciej jeszcze niż usposobienie zmienił się jej dotychczasowy tryb życia.

W dwa tygodnie po owym dniu Posy była już w Londynie.

Zajechała od razu do ślicznego domku Turnerów na Brompton Square.-W takiej nowoczesnej rezydencji jeszcze nigdy w życiu nie mieszkała. Po raz pierwszy spała w pokoju, którego ściany miały kolor świeżej mimozy, w którym meble wyglądały jak zrobione ze szkła i stali — po raz pierwszy widziała ściany korytarzowe z luster i drzwi rozsuwające się w obie strony. Wszystko dookoła Sybili było nowe, z wyjątkiem męża, jak sama mówiła. Najbardziej przypadł Posy do gustu mały Jim, który miał wyjątkowy dziecięcy wdzięk, przystrzyżone kręące się włosy, szerokie brwi i rozbrajające oczy. Posy mogłaby całymi dniami przebywać z dzieckiem, wiedziała jednak, że wiele czasu należy poświęcić na poszukiwanie pracy.

To zadanie z początku okazało się jeszcze trudniejsze, niż przypuszczała pani Wynn.

Namówiona przez młodą panią Turner, Posy najpierw zgłosiła się do pewnej angielskiej wytwórni filmowej. Sybila uprzedziła ją, że zawsze trzeba zaczynać od scen zbiorowych, później przebrnąć przez najmniejsze rólki, a dopiero wówczas można zostać gwiazdą.

— Posy zawsze mi przypomina Colleen Moore — mówiła pani Turner. — Gdy tylko reżyser spojrzy na jej twarzyczkę, z pewnością natychmiast nabierze ochoty, by zaangażować ją do filmu.

Twarzyczka Posy nie wywarła jednak tak piorunującego wrażenia na tych, którzy ją obejrzeliby w studio. Rano Posy wyszła uśmiechnięta, wesoła i rumiana

— wieczorem wróciła zmęczona, zniechęcona i zakomunikowała swym przyjaciołom, że już nic z jej „kariery filmowej” nie będzie. Atmosfera tego dnia uświadomiła Posy Wynn, że do Hollywood nigdy w życiu nie będzie mogła pojechać, że nie powinna żywić ani cienia nadziei, że kiedyś w przyszłości zostanie gwiazdą srebrnego ekranu. Trudno. Przecież nie ona jedna. Może wobec tego poszukać posady „towarzyszki”. Posy zdawała sobie dokładnie sprawę z tego, że stworzona była na „towarzystkę”, ale nie towarzyszkę głuchej starej damy, którą trzeba zabawiać, której trzeba kapać kudłatego pekińczyka i do której należy przywoływać co chwilę służbę hotelową — stworzona była na towarzyszkę ukochanego mężczyzny.

Major Turner oświadczył:

— Nasza przyjaciółka jest zbyt piękna, aby gdziekolwiek przyjęto ją do pracy. Właśnie ta uroda będzie jej zawsze stała na przeszkodzie.

— A ja myślałam, że ładna dziewczyna łatwiej może znaleźć pracę.

— Nie taka jednak jak Posy.

Okazało się to prawdą. Posy strawiła cztery dni na bezowocnych poszukiwaniach. Odwiedziła aż trzy sympatyczne „pośredniczące” instytucje, które zajmowały się dostarczaniem „sił domowych” — pań, które potrafią uczyć języków, które odprowadzają wnuków do dentysty, które zabierają ze szkół małe dziewczynki i wychodzą z nimi na spacer. Żadna z tych instytucji nie chciała nawet zanotować nazwiska Posy.

W dwóch instytucjach wytłumaczono się nadmiarem kandydatek, w trzeciej powiedziano Posy szczerze: „Lękam się, że pani jest za przystojna. Do przystojnych kobiet ludzie nie mają zaufania. Przeważnie są w domu dorośli synowie...”

— Ale — szepnęła Posy, ściągając z lewej ręki rękawiczkę, aby pokazać pierścionek od George'a z perłą i turkusem — przecież ja jestem zaręczona!

— Lękam się, że to nie sprawi żadnej różnicy — rzekła kierowniczka biura łagodnie, lecz stanowczo. — Zdarzało się niejednokrotnie, że i zaręczone dziewczęta, znalazłszy się w obcym domu, potrafiły zawrócić w głowach młodym ludziom. Bardzo mi przykro. Żegnam panią.

— Nie przejmuj się, moje dziecko — perswadowała nie pokonana jeszcze Sybilla. — Dzisiaj znalazłam dla ciebie świetną pracę. Poszłam na zabieg do Eve Evershalt...

Każdy znał przecież Eve Evershalt, właścicielkę salonów piękności w Londynie, Paryżu, Nowym Jorku, Buenos Aires i wszystkich innych stolicach, w których kobiety pragną (a gdzie kobiety nie pragną?) stać się piękniejsze, niż chciała tego natura, i zachować młodość do późnego wieku.

— ... i panienka, która stale robi mi masaż twarzy i nakłada maseczkę piękności — ciągnęła dalej Sybila — powiedziała mi, że w tym roku jakoś w salonie nie można skompletować personelu! Oczywiście angażują tylko osoby przystojne, które by były jednocześnie żywą reklamą metody pielęgnowania cery sławnej Eve Evershalt! Podobno szalenie trudno o ładną dziewczynę, bo co ładniejsza przenosi się do salonu „Afrodyta”, a stamtąd zabierają ją do „Feminy”, gdzie oczywiście otrzymuje większą pensję. Okazuje się, że dotychczasowa pracownica Eve Evershalt, niejaka miss Brown, wychodzi za mąż i wyjeżdża do Pekinu, dyrekcja więc poszukuje kogoś na jej miejsce. W salonie pokazowym jest wprawdzie jedna panienka, ale postanowiono przenieść ją do zabiegów, a do salonu pokazowego przyjąć inną. Właśnie w tym salonie pokazowym, droga Posy, sprzedają najrozmaitsze cudowne rzeczy. Powiedziałam więc mojej panience od razu:

„Mam dla was świetną kandydatkę! Jak skończy pani ten zabieg, zaraz zejść na dół, żeby pomówić z waszą panią Ellis”. Pani Ellis to ich kierowniczka. Od razu na wstępie zapytała mnie: „A czy pani protegowana ma jakąś praktykę?” „Absolutnie żadnej” odpowiedziałam szczerze. „Jest tylko bardzo ładna, ma dobre maniere i umie cudownie nosić najpiękniejsze toalety”. „Prawdopodobnie będzie dla nas

odpowiednia, Mrs Turner”, zawołała kierowniczka. „Zechce ją pani skierować jutro na Bond Street?”

*

Nazajutrz Posy Wynn zgłosiła się do salonu Eve Evershalt w takim stroju, że nawet rodzona matka na pewno by jej nie poznała, nie mówiąc już o narzeczonym. Miała na sobie białe lamparcie futro Sybili Turner i na głowie mały kapelusik spięty brylantową szpilką. Sybila Turner własnoręcznie wyprawiła ją z domu, skropiwszy uprzednio własnymi perfumami i przypiąwszy jej do boku świeżą, wspaniałą gardenię. Odbyła z nią również próbę uprzejmości i uśmiechu „na zawołanie”, który nie powinien nigdy zniknąć z twarzy pracownicy firmy Evershalt, choćby ją męczyło nawet kilkaset klientek dziennie. „Ależ jest mnóstwo miejsca, madame. Czy pani sobie jeszcze czegoś życzy? Tusz do rzęs?”

Szminkę? Puder? A może lakier do paznokci?" (Właśnie rozpoczynała się moda lakierowania paznokci na czerwono).

Kierowniczka powitała Posy zawodowym, uprzejmym spojrzeniem, po czym rzekła z macierzyńską łagodnością:

—Mam wrażenie, że wszystko będzie jak najlepiej. Miss Grey zaznajomi panią ze wszystkim i pomyśli o białym uniformie dla pani. Bylibyśmy bardzo radzi, gdyby pani rozpoczęła pracę od poniedziałku, czy to możliwe, miss Wynn?

—Naturalnie! — odpowiedziała Posy, radośnie się rumieniąc pod baczny spojrzeniem kierowniczki.

Poniedziałek wyjątkowo jej odpowiadał, bo na niedzielę chciała pojechać do Harold-Hurst.

Życie znowu się uśmiechało do Posy, gdy wyjeżdżała sobotnim południowym pociągiem. Poczowała się nawet szczęśliwa, gdy wyrzawszy przez okno, dostrzegła na dalekim peronie znajomą wysoką postać w szarych flanelowych spodniach i jasnym burberry. Fala ciepła i radości zalała jej serce i nie zwracając uwagi na obecność pasażerów, zawołała:

— George! George!

TLR

V. DRUGA SPRZECZKA

„George jest kochany!”, myślała Posy i serce jej topniało jak wosk, gdy z okna przedziału machała ręką, pragnąc zwrócić na siebie uwagę wysokiego blondyna, którego twarz rozjaśniał pełen wyczekiwania uśmiech. „Właściwie zupełnie zapomniałam, że George jest taki kochany! (Powiadają ludzie: »nieobecność czyni serce bardziej czułym« i to prawda, tylko że ja jakoś zupełnie o czułości zapomniałam). I jaki zadowolony, że mnie zobaczył! Zawsze, gdy go widzę, mam takie uczucie, jakbym była bohaterką książki, a nie zwykłą dziewczyną, niewychowaną egoistką w rzeczywistym życiu. Najgorsze to, że jestem za mało dobra dla George'a! Teraz postaram się być bardzo miła, aby z tej mojej wizyty wyniósł jak najlepsze wrażenie”.

Pociąg zatrzymał się na peronie, George zawołał: „Numerowy!” i wskoczył do przedziału, aby na powitanie ucałować Posy w oba policzki.

To przecież nie była jego wina, że pocałunek okazał się taki bolesny. Była to po prostu wina pociągu, który nieoczekiwanie szarpnął, wskutek czego George uderzył czołem w nosek swojej narzeczonej.

—Wybacz, kochanie. Czy wyrządziłem ci wielką krzywdę? Dobrze! Ja już to zabiorę... — chwycił brązowe pudło do kapeluszy z wyższej półki.

—Proszę to zostawić! — zaprotestowała starsza dama, siedząca w kącie po przeciwległej stronie. — To moje pudło!

—Przepraszam, bardzo przepraszam! — usprawiedliwiał się z zawstydzaniem George. — A które jest twoje, Posy?

Pudło Posy było okrągłe, szmaragdowozielone, kupione niegdyś na ową podróż poślubną do Szwajcarii.

„Właściwie George powinien był z tamtych czasów pamiętać to pudło”, pomyślała Posy gniewnie. Prawdopodobnie złość ogarnęła ją dlatego, że od zderzenia ciągle jeszcze trochę ją bolał nos i przypomniało jej się nagle pewne powiedzenie Sybili Turner: „Niektórzy mężczyźni rozdają swe pocałunki w bardzo brzydki sposób”. Niestety był to jeden z tych przykrych drobnych szczegółów, które wprowadzają pewien zgrzyt do atmosfery szczęścia. Ale czy taki jeden niezręczny pocałunek mógł popsuć radość spotkania zakochanych? Wizyta Posy dziwnie się nie udała, bo coraz to jakiś nowy szczegół wywoływał świeżą przykrość. George (zabrawszy już z przedziału walizkę z literami G.W.S., czyli Gwyneth Winifred Stirling) przeprowadził swą narzeczoną do samochodu brata,

opowiadając zaraz na wstępie, że Posy będzie się jutro doskonale bawić, bo właśnie trafiła na szkolny koncert!

—Cudownie! — mruknęła Posy, a w duchu pomyślała:

„Zawsze ta szkoła! Nawet w pierwszej chwili naszego spotkania!” Gdy ruszyli z miejsca, powiedziała głośno: — Turnerowie przysyłają ci serdeczne pozdrowienia, zarówno Guy, jak i Sybila.

—Ach, bo ty właśnie mieszkasz u nich, prawda? — zawołał George tym swoim dziwnym głosem, który Posy zawsze nazywała „dorosłym”. Przeważnie mężczyźni nie lubią później wspominać tych kobiet, z którymi niegdyś zawzięcie flirtowali. George prawdopodobnie właśnie z tej przyczyny zawsze niechętnie mówił o pani Turner.

Jakże nierozsądnie postąpiła Posy, odpowiadając mu natychmiast:

—Sybila była dla mnie prawdziwym aniołem. Znalazła mi nawet pracę. Nigdy bym tej pracy nie dostała, gdybym nie była protegowaną pani Turner, która jest stałą klientką firmy.

—Klientką? Czyją klientką? Znalazłaś pracę? — George spojrział na nią z ukosa. — O czym ty mówisz, skarbie? Tak, wprowadź mi coś pisałaś, ale chyba nie myślałaś serio, mówiąc o tej pracy?

—George najdroższy, w poniedziałek zaczynam pracować w salonie Eve Evershalt, jeżeli się w ogóle orientujesz, co to za firma?

— Orientuję się nawet dobrze — mruknął George z zachmurzoną miną. — To przecież kobiecy salon piękności. Niejednokrotnie widziałem szumne ogłoszenia w rozmaitych pismach. Ale ty nie możesz tam pracować, Posy! Co by powiedzieli na to twoi rodzice? Co? Nie dbasz o ich opinię? Jak to... — W blasku połyskującej wody kanału widziała jego profil, który wyrażał teraz najgłębsze zgorzienie.

Po chwili odważyła się odezwać:

—Nawet ojciec mówi, że „lepiej, gdy kobieta w podeszłym wieku maluje sobie usta, niż gdy postanawia wypić pewną dozę witriolu!”

—Ale niektóre skłonne są do jednego i do drugiego — rzekł George jeszcze bardziej zgorzony — a ja absolutnie nie rozumiem, dlaczego chcesz porzucić swój cichy staroświecki dom, aby w Londynie być ekspedientką, wyzywająco się ubierać i miło uśmiechać do każdej idiotki, która chce, za szylinga kupić trochę rózu!

—Mój drogi, czy ty sobie wyobrażasz, że u Eve Evershalt każdy może sobie kupić różu za szylinga? Najtańszy preparat kosztuje tam pół korony i dostaje się tego tak mało, że łatwością można schować do najmniejszej wieczorowej torebki.

Tymczasem skierowali się w aleję prowadzącą do bramy szkolnej i nagle Posy znalazła się w tym dziwnym świecie, rojącym się od uczniów, personelu nauczycielskiego i rodziny Stirlingów, i teraz już nie mogło być mowy o jakiegokolwiek intymniejszej rozmowie. Zresztą może w zasadzie tak było lepiej.

*

Szkolnego koncertu nie należy zbyt obszernie opisywać, bo wszystkie szkolne koncerty są mniej więcej jednakowe. Głośne przysuwanie i odsuwanie krzeseł, rozgorączkowane twarze chłopców, kierownik, który gra na skrzypcach *Simple Aveu* (pełne uprzejmości oklaski), zaproszony komik, demonstrujący swój nieśmiertelny skecz *Na fotelu dentystycznym* (śmiechy nie ustające i bardzo głośne) oraz różne inne sztuki.

— Zadziwiające, jak on wyciąga te przedmioty spod kapelusza — mówił George. — Jednak każdego to musi zainteresować, chociaż w głębi duszy wiemy, że to wszystko polega tylko na zręczności.

George uzewnętrzniał z całą swobodą swój dobry humor, a Posy myślała: „Bardziej interesuje się tym, co się dzieje w szkole, niż tym, o czym ja myślę...” A po chwili znowu: „Jestem niemożliwa. Powinnam pamiętać o tym, co Guy zawsze mówi...”, bo major Turner niejednokrotnie wyrażał się jak najlepiej o George'u: „Stirling ma wyjątkowy wpływ na tych chłopaków. Nie wiadomo właściwie dlaczego i trudno zgłębić przyczynę tej jego mocy. Sztuką jest nauczać dzieci, sztuką jest żyć z nimi w przyjaźni. Stirling zaskarbił sobie ich zaufanie. Oczywiście dopomaga mu w tym jego wyjątkowo dobra prezencja. Wzrost. Zna dokładnie każdego ze swych uczniów, ale poza tym wszystkim kryje się to tajemnicze »coś«, które sprawia, że ten człowiek jest stworzony na nauczyciela, przewodnika i doradcę tych wszystkich młodych dusz. W swoim życiu znałem tylko trzech takich ludzi. Jeden z nich zawsze grywał w golfa i posiadał własny majątek ziemski, drugi był pilotem, a trzeci dziennikarzem. Młody Stirling, jako nauczyciel, należy do tych ludzi, którzy wybrali sobie zawód ze szczerego powołania”.

Posy miała ochotę powtórzyć to wszystko George'owi.

Szkoda, że jednak nie zrobiła tego. Może zacieśniłoby to odrobinę więzy, które zdawały się rozluźniać między dwojgiem zaręczonych. Rozluźniły się one w

momencie wykonywania ostatniego numeru, który miał jednocześnie być końcem koncertu szkolnego. Rozluźniły się jeszcze bardziej podczas rozmowy przy obiedzie, która toczyła się w szczupłym gronie nauczycielskiego personelu Stirlingów. Po obiedzie pozostawiono zakochanych, aby choć godzinę spędzili razem w gabinecie George'a. Usiedli w dwóch głębokich fotelach obitych skórą, które stały po obydwu stronach kominka, lecz przez dłuższą chwilę zdawało się, że jedno do drugiego nie zdoła powiedzieć ani słowa. Zawisła między nimi ciężka chmura, owa nie dokończona myśl, ów nie dokończony argument na temat pracy Posy. Posy była oziębła i zirytowana, bo George nie okazał najmniejszego zadowolenia z tego, że pragnęła coś „robić” aż do chwili, kiedy się pobiorą. George był niezadowolony i rozczarowany postępkiem Posy, jej zachowaniem i nią samą. Chwile takie zdarzają się prawie wszystkim zaręczonym parom.

—Wczoraj szkoła przeżywała pełne podniecenia popołudnie, skarbie — zaczął George rezolutnie, zapaliwszy uprzednio papierosa Posy i swoją fajkę. — Wiesz o tym, że graliśmy ze szkołą Henley Court? Rozbiliśmy ich na miazgę, chociaż nasi przeciwnicy mieli w swojej drużynie najlepszych graczy.

—To cudownie, George! Graliście w krykieta czy w piłkę nożną?

—Naprawdę, Posy! Nie bądź taką dyletantką! Przecież nawet ty powinnaś wiedzieć, że były to rozgrywki piłki nożnej!

Nawet Posy, oczywiście. Przecież Posy była rdzenną Walijką i zawsze z wielkim zainteresowaniem śledziła mecze piłkarskie. Podniecała się szalenie, nie wprawdzie nie rozumiejąc, podniecała się samą grą, atmosferą, wysiłkami zawodników i późniejszymi wynikami. Krykiet, to bożyszczce wszystkich Saksonów, także emocjonował ją do głębi, ale przeważnie doprowadzał do takiego znużenia, że trudno je było wyrazić słowami. Po prostu obraziła George'a tym pytaniem „Krykiet czy piłka nożna?”, obraziła George'a, którego ulubionym sportem w zasadzie było wioślarstwo.

I wolno, stopniowo, szczególnie po szczególnie, wzrastała między nimi ciemna chmura, która najwyraźniej zawisła także nad kanałem, i w końcu rozpełtała się sprzeczka, potem kłótnia. Powód był naturalnie dość błahy.

— Bardzo ładną masz broszkę — zaczął znowu George pojednawczo, wskazując cybuszkiem fajki broszkę, którą Posy przypięła do (byłej wyprawowej) wieczorowej sukni. — Skrzydełka. To podarunek?

Spojrząwszy na połyskujący klejnocik, Posy powiedziała narzeczonemu, że broszkę tę przysłał jej Jeffrey O'Brien i miała ona dlatego skrzydełka, że Jeffrey ostatnio najbardziej interesował się lotnictwem.

—O'Brien? — zmarszczył brwi George. — Byłem pewien, że wrócił już do Stanów, Timbuktu, czy dokądkolwiek indziej? Widziałaś go?

—Ach, ostatnio nie! Całe wieki go nie widziałam. Nie widziałam go od Oxfordu.

—I Jeffrey O'Brien przysyła ci prezenty?

—Przysłał mi to owej jesieni, właśnie przed... Przecież nie możesz mieć do niego żalu, że mi przysłał prezent ślubny?

—Żalu? Skąd ci taki pomysł przyszedł do głowy? Oczywiście, że nie — zawołał George, teraz już naprawdę zirytowany zachowaniem Posy, która uprzednio zadała takie bezsensowne pytanie na temat krykieta. — Tylko miałem wrażenie, że dziewczęta zazwyczaj najpierw biorą ślub, a dopiero później robią jakiś użytek ze ślubnych prezentów.

Posy miała ochotę zapytać: „Więc jak długo trzeba czekać, żeby z takiego prezentu robić użytek?” Zastanowiła się jednak i zapytała łagodnie:

—Dlaczego tak nie lubisz Jeffreya O'Briena, George?

—Ja go nie lubię? — i teraz George się zaczerwienił. Przypomniał sobie noc w hotelu „Mitre”, kiedy Jeffrey był świadkiem owej sceny, gdy Posy odesłała mu zaręczynowy pierścionek. Zaszumiały mu w uszach na pół ironiczne, na pół wesołe słowa Jeffreya: „Boże święty, człowieku, czy nie masz zamiaru walczyć o dziewczynę, w której jesteś zakochany?” Oczywiście to wspomnienie sprawiło, że George stał się w tej chwili jeszcze bardziej zniecierpliwiony.

—Moje drogie dziecko, co się z tobą dzisiaj dzieje? Jesteś naładowana całym mnóstwem najbardziej bezsensownych pomysłów. Nie mogę powiedzieć, żebym miał z O'Brienem wiele wspólnego, ale zawsze był dla mnie bardzo przyjacielski, chociaż ja ze swej strony nie znam bliżej jego charakteru. Nigdy o nim nic więcej nie wiedziałem, bo nie przyjaźniliśmy się specjalnie, tyle że odbyliśmy tę wycieczkę po Walii.

Posy pomyślała: „Jaki inny był George tamtej wiosny!”

—Lubię nawet chłopaka, zdecydowanie go lubię — rzekł po chwili George.
— I ty go także lubisz, prawda?

—Ja? O tak, ale mężczyźni i kobiety nie zawsze lubią tych samych ludzi — mruknęła Posy. — Zawsze myślałam, że Jeffrey jest takim sobie żartownisiem. Wesoły, żywy i nawet o miłym wyglądzie, gdy się człowiek przyzwyczai do koloru jego włosów i kształtu zębów. Jest przy tym bardzo sympatyczny. Taki typ człowieka, który zawsze przyjacielowi przyjdzie z pomocą, nie uważasz?

—Owszem. — Przecież Jeffrey O'Brien wiele pomógł George'owi podczas tej pamiętnej pierwszej sprzeczki z narzeczoną, lecz zazwyczaj o takich rzeczach ludzie wolą zapominać.

— W każdym razie opuścił Anglię i wrócił do swego rodzinnego kraju, toteż wątpię, czy któreś z nas kiedykolwiek go jeszcze zobaczy — mówił George obojętnie. — Nie powinniśmy się więc sprzeczać na temat Jeffrey'a O'Briena. W każdym razie nie rozumiem, dlaczego ty jesteś taka zła.

— Ja? Zła?...

Teraz już naprawdę rozpetęła się kłótnia. Niektórzy mówią: „kłótnia”, jakby mówili „silny wiatr” albo „huragan”. Kłótnie są jak pogoda, a ich przyczyna zazwyczaj jest nie zbadana, jest niby „niż nad Wybrzeżem Lodowatym”, który tak często zaciemnia widnokrąg od końca do końca Wysp Brytyjskich. Kłótnie zazwyczaj powstają całkiem nieoczekiwanie.

—Nie mam pojęcia, co ci się stało, że jesteś taki zmieniony...

—To nie ja jestem zmieniony! Ty się zmieniłaś! Jesteś zupełnie inna. Zauważyłem to zaraz w pierwszej chwili, gdy powiedziałaś...

Ileż to zaręczonych par prowadzi podobne ponure, przykre, lecz klasyczne dialogi? Z gniewnymi oczami toczą podniesionymi głosami ów dialog, gdy jednocześnie przez cały czas w sercach odczuwają dotkliwy ból, bo przecież nie ma na świecie nic gorszego niż kłótnia między zakochanymi.

Owszem, istnieje coś jeszcze gorszego. Gorsza od kłótni jest chwila, kiedy zakochani przestają się kłócić. Ci dwoje kłócić się jeszcze nie przestali, bo jeszcze dotychczas żywili dla siebie wzajemne gorące uczucie.

*

Szukając zapalki, aby po raz drugi zapalić zgaszoną fajkę, George wstał z fotela i stał teraz zwrócony plecami dotykającego głośno zegara na kominku.

— Muszę ci powiedzieć, Posy, że nie odczuwam wdzięczności dla twoich przyjaciół w Londynie za to, że ci poddali tę bezsensowną myśl o pracy. W głębi duszy nienawidzę tych. I wszystkich oszukańczych firm upiększających. Kobiety z warstwą smarowidła na twarzy! Może jestem nienowoczesny (bardzo możliwe), ale według mnie takie upiększanie nie ma żadnego sensu. Zresztą nie widzę potrzeby, jak już ci powiedziałem w samochodzie, abyś musiała koniecznie pra-

cować. Od dziewiątej do szóstej... to wszystko jest całkiem zbyteczne. Po co masz mieszkać w Londynie, kiedy możesz pozostać w swoim cichym domu rodzinnym, z zadowoleniem pomagać

matce w gospodarstwie i prowadzić rachunki dla doktora Wynna. Możesz poza tym zajmować się ogrodem i przebywać prawie stale na świeżym powietrzu.

—I prowadzić taki sam żywot, jaki prowadziłam od chwili, kiedy dorosłam?

—Dlaczegoż by nie? Byłaś przecież szczęśliwa! Właśnie to mi się najbardziej w tobie podobało. Byłaś taka inna od tych wszystkich nowoczesnych, bezmyślnych dziewczątek!

—George, swoimi poglądami przypominasz mi te wszystkie stare matrony w naszej okolicy, dla których każda rzecz jest gorsząca. Jesteś po prostu niebywale zacofany!

—Przyznaję się do tego. Nigdy nie miałem ochoty być inny. Pamiętasz, co ci napisałem o okresie wiktoriańskim?! Zgadzałaś się wtedy ze mną.

—Ja?

—Tak, ty! — zawołał z głębokim wyrzutem. — A ja najbardziej lubiłem myśleć ó tobie, że tam w domu szyjesz albo marzysz. Nigdy nie zapomnę tego czwartkowego popołudnia, gdy przyszedłem po ciebie do twojej sekcji haftu, czy jak tam się to nazywa, i zobaczyłem cię pochyloną nad robotą, gdy wyszywałaś Walijskiego Smoka. Przypomniałem sobie dawne żony krzyżowców siedzące z jakąś robótką, podczas gdy ich panowie i władcy byli na wojnie! Uważałem, że to wszystko było pełne uroku i wdzięku. Nigdy chyba nie słyszałaś o żonie krzyżowca pragnącej uciec z zamku, aby zostać sklepową w Londynie, prawda?

—Naturalnie, że nie! — odpowiedziała Posy z bladym uśmiechem. — Ale czy to nie było kilkaset lat temu?

Policzki jej płonęły. Gdy wyciągnęła rękę, by przypiąć mocniej do sukni broszkę Jeffreya, przekonała się, że ręce jej dziwnie drżą, jakby pod wpływem lęku czy gorączki.

—Niektóre rzeczy nigdy nie ulegają zmianie — mówił młody nauczyciel z powagą. — Zawsze jednakowo odbywa się siew i żniwa: mężczyźni powinni pracować, a kobiety powinny pilnować domu.

—Zupełnie się z tobą zgadzam! — wybuchnęła nagle Posy. Zerwała się na równe nogi, patrząc mu prosto w twarz, i stała się nagle całkiem inną dziewczyną, pełną temperamentu i energii, całkiem niepodobną do tej prawdziwej Posy, która by się nigdy nie zdobyła na tyle odwagi. (Jakże często później Posy żałowała tego wybuchu!) — Zupełnie się z tobą zgadzam. Kobieta powinna pilnować

domu! Nowocześni ludzie wrócili do tego poglądu. Ale przecież taka kobieta musi mieć własny dom. Nie może pilnować domu swoich rodziców, gdy jest już dawno dorosła. Tamte żony krzyżowców, o których mówisz, też znajdowały sobie w domu jakąś pracę. Ich domem był zamek! Założyłabym się, że żadna z tych żon nie była zaręczona przez tak długie lata i nie czekała tak długo na ślub. Każdy krzyżowiec starał się poślubić swą wybrankę, nim jeszcze wyruszył na wojnę!

—Ależ, Posy...

—Czy nie uważasz, że łatwiej jej było zadowolić się domową pracą, gdy jej mąż i władca walczył w dalekiej Palestynie? A może myślisz, że czuła się tak samo, jakby była niezamezną córką pewnej rodziny zamieszkującej w Walii, podczas gdy jej ukochany jest pomocnikiem kierownika szkoły przygotowawczej w Sussex? Teraz mamy wiek dwudziesty, a to był wiek czternasty! Wiele rzeczy od tego czasu się zmieniło. Krzyżowiec pozostawiał swą żonę, żeby opiekowała się jego zamkiem, skarbami, a często nawet jego dziećmi! Taka kobieta miała pełne ręce roboty, miała wypełnione życie, ale ty tego nie rozumiesz... Ty masz swoją „szkołę” i swój własny sposób myślenia. Uważam, że jesteś zarozumiałcem i to wszystko! Nie wierzę, żebyśmy kiedykolwiek byli z sobą szczęśliwi...

Tutaj nagle burza ucichła bardziej nieoczekiwanie, niż wybuchła, bo w tej samej chwili przyszło Posy na myśl: „Jak mogę mówić takie rzeczy George'owi? Przecież on mi nigdy tego nie wybaczy”. A po chwili ogarnął ją lęk. „To jest oczywiście koniec. Teraz już nie będzie chciał nadal być ze mną zaręczony”.

W gabinecie George'a rozległ się głuchy szloch.

Porzuciwszy dotychczasową swą pozę wszechwładnego sułtana, George spiesznie postąpił naprzód i pochylił się, patrząc na narzeczoną, leżącą w głębokim skórzanym fotelu, na który przed chwilą upadła.

— Nie jesteśmy szczęśliwi? Ty i ja? — powtórzył bezdźwięcznie. Jego głos był teraz łagodniejszy, pod wpływem ulgi, jaką odczuł dzięki przycichłej burzy. — Posy, niektóre rzeczy nie mogą się zmienić. Nie może się zmienić rzeczywistość. Zaniechaj tych okropnych argumentów. Przysięgam ci, że ja się nie zmieniłem od tej pierwszej nocy, kiedy działo się to wszystko na zboczu góry w sąsiedztwie starych ruin. Czy pamiętasz, Posy? Pamiętasz Ducha Gór i pragnienie twego serca?

Znowu owładnęło Posy ciepłe dziewczęce uczucie, znowu wróciła do dawnej, najwcześniejszej miłości.

— Oczywiście, że pamiętam.

Łzy nabiegły jej do oczu. Oczy te widziały znowu zbocze góry w poświęcie księżycy, ten srebrny blask, w którym kamienie wyglądały jak aluminium, ten blask, który srebrzył całą postać Georgea, który czynił go samego Duchem Gór.

—I pragnienie twego serca, Posy, którego mi wówczas nie chciałaś wyjawić? Przecież tym pragnieniem było, abyśmy na zawsze należeli do siebie? Moje pragnienie było takie samo, najdroższa. Nigdy się nie zmieniło! Nigdy, ani na chwilę, wierz mi! I zgadzałaś się ze mną, że szkoda, że nie urodziliśmy się o kilka pokoleń wcześniej...

—Nie wiem, czy teraz tego żałuję — Posy znowu się uśmiechnęła — bo gdybyśmy się urodzili wcześniej, to przecież bylibyśmy teraz już całkiem starzy. Ty byłbyś starszy od swego ojca. Pomyśl tylko! Zupełnie siwy i łysy. — Wyciągnęła swą drobną rękę i pogładziła nią jego gęste, jasne włosy. — Gdybyśmy urodzili się za czasów królowej Wiktorii, wszystko byłoby teraz dla nas minione. Tak jak jest...

—Istotnie, tak jak jest, jest najlepiej — rzekł George. — Dobrze jest należeć do siebie nawzajem, być młodym, skarbie, i trwać w prawdziwym uczuciu!

*

Tak więc znowu wszystko było dobrze między nimi. Tego samego wieczoru George ułożył plan, aby Posy mogła pracować i być zawsze z nim razem. Następnego ranka, gdy wyruszyli na krótką wycieczkę przed śniadaniem, zwierzył się jej dokładnie z tego planu.

W Harold-Hurst było teraz sześciu małych chłopców, którzy jeszcze prawie wcale nie umieli czytać. Przeważnie były to dzieci urodzone w Indiach, których rodzice lub krewni z zadowoleniem umieścili je pod dobrą opieką i w miłym otoczeniu. Starszy Stirling przyjmował takie dzieci chętnie, bo rodzice zazwyczaj bardzo dobrze mu płacili. Lecz chłopcy ci zwalniali tempo nauki kolegów. Po prostu wprowadzali do klasy pewien chaos. Pewna młoda dama z miasta, sympatyczna, lubiąca dzieci i mająca nadzwyczajną do nich cierpliwość, została zaangażowana, aby tych chłopców uczyć. Tak niefortunnie się złożyło, że rodzice owej nauczycielki wyjechali z pobliskiego miasta, toteż córka musiała porzucić pracę. Wiadomość o tym nadeszła do szkoły w dniu poprzedzającym wizytę Posy.

George wpadł na pomysł, że Posy mogłaby objąć posadę miss Stanhope, mieszkać na miejscu i zarabiać na swe utrzymanie i ubranie.

— Niepotrzebny ci jest żaden dyplom, skarbie, musisz tylko opiekować się dzieciarnią i uczyć ją czytania i arytmetyki! Wiem dobrze, że lubisz dzieci. Należysz do tych dziewcząt, które nie potrafią przejść koło małego brzdąca, żeby się do niego nie uśmiechnąć. Aniele! Będziesz poza tym grała w tenisa, będziesz się kąpać i odbywać wycieczki na wybrzeże. Stanowczo to jest o wiele lepsze dla ciebie niż ta praca w londyńskim salonie piękności. Poza tym przyzwyczaisz się do tutejszych warunków, zanim jeszcze zostaniesz żoną nauczyciela. Ach, to będzie przecież cudowne! Nie rozumiem, dlaczego od razu o tym nie pomyślałem...

A mała Posy myślała uszczęśliwiona: „Teraz nareszcie znalazło się wyjście. Wolę przecież być tutaj niż na Bond Street. Nigdy już nie będę się gniewać na George'a, nigdy nie będę zazdrosna o jego pracę. Czy mogę być zazdrosna, skoro zacznę razem z nim pracować? Byłam zazdrosna tylko dlatego, że on czuł się tutaj szczęśliwy z daleka ode mnie. Teraz doskonale to wszystko rozumiem. Ale już odtąd wszystko będzie w porządku”.

Może istotnie wszystko byłoby w porządku. Może Posy przyzwyczaiłaby się do stosunków panujących w Harold-Hurst, gdyby wraz z George'em i Haroldem pracowała gorączkowo nad tym, aby Przygotowawcza Szkoła na Południowym Wybrzeżu osiągnęła największy rozkwit. Może wszystkie jej instynkty macierzyńskie znalazłyby swoje spełnienie w doglądaniu dzieci urodzonych w dalekich Indiach. Może nie byłoby dalszych rozczarowań, może nawet George Stirling zdecydowałby się na przyśpieszenie ślubu.

*

— Powiem o tym Haroldowi! Będzie uradowany. Tak samo będą uradowani nasi chłopcy. Nareszcie wszystko zmieni się na lepsze...

Jednak tym cudownym, tęczowym marzeniem położyło kres nieoczekiwane wystąpienie żony głównego kierownika.

— Nie możemy mieć u siebie narzeczonej George'a — oświadczyła.

— Dlaczego nie, moja droga? — zapytał brat George'a. — Uważam, że bardzo się do tego nadaje. Sympatyczna i inteligentna dziewczyna, a przy tym z dobrego domu. Ma doskonale maniery. Malcy na pewno wkrótce ją polubią. Przecież zgadza się na najniższą pensję i trzeba ją będzie tylko żywić. A poza tym jest przystojna.

— Tak, właśnie w tym jest sęk! — zawołała bratowa George'a, bo sama wcale przystojna nie była. — Dziewczyna jest ładna. Należy do tego typu dziewcząt, na które wszyscy patrzą, gdziekolwiek się pokaże. — (Bratowa George'a należała

do tych osób, które mówiły o pewnych rzeczach tak, jakby mówiły o popełnionych zbrodniach). — A przecież w sąsiedztwie mamy mnóstwo młodych mężczyzn. Poza tym są dwaj nasi młodsi pomocnicy i młody Mr Smith, instruktor tenisowy i cały personel z Henley Court i personel całego mnóstwa innych szkół. Jestem pewna, że oni wszyscy się rozwydrzą, gdy ta dziewczyna zacznie u nas pracować.

—Ależ ona jest zaręczona — zaprotestował Mr Harold Stirling. — Jest już przecież od lat zaręczona z moim bratem!

TLR

— Zaręczona czy nie zaręczona, to nie robi żadnej różnicy, gdy dziewczyna tak wygląda jak Posy Wynn. Przyjęcie jej do szkoły równałoby się całemu szeregowi nowych zmartwień. Mamy i tak dosyć kłopotów, więc lepiej nie sprowadzać sobie innych! Przecież wiem, co mówię, skoro twierdzę, że dziewczyna jest stanowczo za ładna.

Teoria ta zrodziła się po południu przy herbacie.

Młody Mr Mason, właściciel figlarnych oczu, do którego obowiązków należało zajmowanie się młodszymi chłopcami oraz pielęgnowanie w wolnych chwilach dwóch krzewów róż w ogrodzie, ten właśnie Mr Mason odważył się spojrzeć przyjaźnie na miss Wynn, podniósłszy głowę sponad filiżanki z herbatą. Miss Wynn ze swoją kształtną figurką, z pachnącymi młodością włosami, ze świeżymi kolorkami na twarzy i z dużymi aksamitnymi oczami przypominała Mr Masonowi piękny kwiat o cudownym kształcie i subtelnej woni.

To spojrzenie zupełnie wystarczyło żonie głównego kierownika.

— Nie zgodzę się na przyjęcie miss Wynn do domu, dopóki nie zostanie żoną George'a.

TLR

CZĘŚĆ TRZECIA

I. NIEWOLNICA PIĘKNOŚCI

— Miss Wynn! Tę nową francuską pomadkę do ust dla lady Récent!

Posy Wynn, w nieskazitelnie białym płóciennym kitlu, uśmiechnęła się do klientki, starszej damy w dziewczęcy berecie na głowie.

— Pomadkę do ust? Pani życzy sobie jaśniejszy kolor?... Tak. A widziała pani nasze nowe odcienie? — potarła pomadką po dłoni, nie tracąc uśmiechu. — Ładny, prawda?... Weźmie pani zwykły czy odporny na pocałunek?

— Ten drugi — rozkazała starsza dama.

— Tak, ten drugi będzie kosztował dwanaście szylingów i sześć pensów — powiedziała miss Wynn, nie dając poznać po sobie, że komiczne było żądanie damy, która przekraczała już prawdopodobnie sześćdziesiątkę. Taki zupełny spokój i uśmiech nie znikający z twarzy był obowiązkiem Posy od chwili, gdy zaczęła pracować w salonie piękności. — Czy pozwoli pani coś jeszcze pokazać sobie dzisiaj? A widziała pani te nowe szlafroki, które przywieziono dzisiaj z Paryża samolotem? — Posy otworzyła oszkloną szafę, w której wisiały rozmaite peniuary w pastelowych odcieniach, z najpiękniejszych materiałów (tyle i tyle za metr). — Prześliczne, prawda? — Wyjęła liliowy szlafrok ruchem doświadczonej pokojówki, która przyzwyczajona jest ubierać codziennie swoją panią w najpiękniejsze stroje.

W zadziwiająco krótkim czasie Posy przyzwyczała się do swych obowiązków w salonie Eve Evershalt. Salon piękności mieszczący się w jednym z najelegantszych gmachów na Bond Street, był już jej tak bliski jak sala parafialna w rodzinnej osadzie. Pracowała w pięknym wonnym pokoju, nowocześnie urządzonym, zastawionym szeregami gablotek, wypełnionych różnymi flakonami perfum (po tyle i tyle za kroplę), ze szklanymi półkami przeładowanymi słoiczkami, puszkami do pudru, kwiatkami do butonierek — z aksamitu, batystu, musliu, piór czy muszelek sprowadzonych z wysp południowych, każdy najmniej po kilkadziesiąt szylingów, a każdy zaspokajający kobiecą próżność i wzbudzający zazdrość, jeżeli inna kupiła sobie taki kwiatek.

I wśród tych sztucznych upiększeń pracowała Posy — naturalna, zdrowa, obdarzona czułym sercem wiejska piękność — która powinna była pracować raczej w Harold-Hurst, matkur jąc dzieciom, ucząc je i opiekując się nimi.

*

Gdy żona głównego kierownika oświadczyła: „Nie mogę przyjąć miss Wynn do domu, dopóki nie będzie żoną George'a", jej mąż powtórzył te słowa bratu, pytając od siebie:

— A czy nie byłoby prościej, gdybyś od razu się z nią ożenił?

Widocznie nie! George chciał zamieszkać ze swą młodą żoną w nowym skrzydle budynku, które miało być wybudowane w dalszej części gmachu szkolnego i którego plan architektoniczny był już gotowy. George nie pochwałiał opinii swej bratowej, która nie zgadzała się na zaliczenie Posy w poczet personelu nauczycielskiego. A jednak! Z przykrością powtórzył ten wyrok Posy, ona zaś po powrocie do Londynu, na wpół żartobliwie opowiedziała całą historię swej przyjaciółce, młodej pani Turner.

Pani Turner orzekła:

— Wobec tego powinniście się natychmiast pobrać. Albo też zerwij z George'em, jeżeli wolisz swą pracę w Londynie niż tamtą w szkole.

*

Posy przyzwyczała się do swego codziennego zajęcia i polubiła je, polubiła te krótkie podróże autobusem do wygodnego pensjonatu w pobliżu Gloucester Road, w którym mieszkała, polubiła swój biały płócienny kitel, który narzucała codziennie na podniszczoną już nieco wyprawową sukienkę, przygotowaną niegdyś na miesiąc miodowy, który miała spędzić w Szwajcarii. Polubiła nawet swoje powiedzenia, które kierowała do klientek, mówiąc wciąż o różu i o tuszu do rzęs i brwi. Polubiła związywanie małych pakunczków zielonym sznureczkiem z wypisaną na nim nazwą firmy sławnego salonu piękności.

Tylko George wciąż jeszcze nie pochwałiał jej pomysłu o pracy.

— Może jestem zacofany — (Posy przekonała się o tym, gdy po raz pierwszy wypowiedział te słowa) — ale nienawidzę kobiet z wymalowanymi twarzami.

— Ale niektóre gorzej wyglądają, gdy nie są umalowane.

— Niech tam, pozwól tylko, żebym moją dziewczynę zawsze widział w naturalnej krasie.

—Przyrzekam ci, że nie będę się malować — mówiła Posy. Miała na myśli to, że nigdy nie pozwoli, aby narzeczony widział na jej twarzy któryś z preparatów polecanych przez madame Eve Evershalt. W chwili, kiedy to mówiła, miała na twarzyczce delikatną warstwę pudru w odcieniu brzoskwińowym, a jej wargi były lekko pociągnięte najjaśniejszym odcieniem pomadki. Bo Posy utraciła już trochę swe dawne kolory. Nie wiadomo, czy sprawiło to duszne londyńskie powietrze, które było takie inne od powietrza górskiego.

Czas w Londynie upływał szybciej niż w domu — może dlatego, że wszystkie niedziele spędzała w Harold-Hurst (gdzie już od dawna przebywała nowa nauczycielka, spełniająca te obowiązki, które miała spełniać Posy). A może sprawiał to rytm codziennej pracy, dzięki której podobno czas szybko mija nawet w klasztorach i więzieniach.

Odwiedzała też młodych Lloydów. Niekiedy przychodziło jej na myśl, że Kit była bardzo zazdrosną żoną, bo Frank należał do tych mężów, którzy „zawsze wyglądają jak kawalerowie” i nie widzą w tym nic złego, gdy sobie poflirtują z jakąś obcą kobietą. Kit na samą myśl o tym czerwieniła się i wybuchała:

— Gdybym przyłapała Franka na flircie, dałabym mu chyba w twarz, a potem czułabym się lepiej!

Lecz na ogół Posy zastawała Franka i Kit szczęśliwych, nawet tak szczęśliwych, że często czuła się jak intruz, gdy wpadała na chwilę do ich skromnego mieszkania w jednym z domów na przedmieściu. Zazwyczaj wychodziła wcześnie... Czy możecie sobie to wyobrazić: wnętrze jasno oświetlonego pokoju, Frank palący papierosa, Kit pochylona nad jakąś robótką, nastawione radio, wielki bukiet kwiatów na stole i zegar wydzwaniający dziesiątą. Posy zazwyczaj zrywała się z krzesła: „Muszę już uciekać! Nie! Nie wkładaj butów, Frank, nie trzeba, żebyś mnie odprowadzał! Zaraz na rogu wsiądę do tramwaju. Dobranoc, kochani!” Czy możecie sobie wyobrazić Posy w deszczowym płaszczu, z głową pochyloną ku przodowi, biegnącą spiesznie po nocy w samotności?

Zawsze w takich wypadkach na chłodnej ciemnej ulicy przypominała sobie jasne ciepło mieszkania, które przed chwilą opuściła. Wkrótce postanowiła przychodzić do Lloydów tylko wówczas, gdy siostra będzie sama. Pewnego dnia Kit, promieniejąca szczęściem, wyznała jej, że będzie miała dziecko.

—Posy, ale będziesz chrzestną matką, prawda? Przecież wiem, że strasznie lubisz dzieci.

—Bardzo lubię, oczywiście że będę.

Na Boże Narodzenie Posy na tydzień pojechała do domu.

Prawie przez cały czas deszcz nie przestawał padać. W czwartek, z przyzwyczajenia czy też z sentymentu, udała się do Instytutu Kobiet i wyhaftowała kawałek ogona szkarłatnemu smokowi. Istotnie ta wielka heraldyczna bestia zaczynała wyglądać dekoracyjnie, a nawet imponująco!

— A kiedy będzie ślub, Posy? — indagowała jedna ze starych przyjaciółek. Dziwne, że to pytanie nie sprawiło Posy ani cienia przykrości.

„Zawsze tak bywa — pomyślała — gdy dziewczyna znajdzie w życiu coś jeszcze oprócz narzeczeństwa”. Bez odrobiny goryczy odpowiedziała:

— Mój ślub? Ach, widzi pani, czekamy, aż mieszkanie będzie wykończone. Zaczęto budować teraz nowe skrzydło, w którym mamy zamieszkać po ślubie. Ale roboty przy tej budowie jest jeszcze bardzo dużo.

—Dobre jest długie narzeczeństwo, gdy mężczyzna i kobieta są jeszcze bardzo młodzi. Ileż to pani ma lat — dwadzieścia jeden, prawda?

Posy czasami miała uczucie, jakby przekroczyła już trzydziestkę, chociaż właściwie fizycznie czuła się tak samo, jak wówczas, gdy miała lat osiemnaście. Zazwyczaj w duchu myślała: „Przypuszczam, że człowiek z biegiem czasu staje się bardziej stateczny”.

A czas dalej bezlitośnie upływał. Posy wróciła do miasta, do pensjonatu, do pracy w salonie piękności, „puder — w tej chwili, pani lubi mieszaninę «rachel» i «peach», prawda?” — do codziennego oglądania i uwielbiania nowo narodzonego dziecka Kit (chrześniaka), do obiadów i wieczornych rozrywek z Sybilą, do grona przyjaciół i do niedziel spędzanych w Harold-Hurst. Pewnego razu pomyślała: „Czuję się już tak, jakbym od dawna była zameżna. Nawet gdybym była po ślubie, jestem pewna, że George zawsze wychodziłby po mnie na dworzec i witał pocałunkiem przywiązanego brata, a poza tym zawsze by zapominał, które jest moje pudło do kapeluszy!”

Dla uczczenia piątej rocznicy ich zaręczyn wsunął jej w rękę maleńkie tekturowe pudełeczko. Otworzyła je z ciekawością. Na miękkiej białej wacie spoczywał cieniutki złoty łańcuszek z medalionikiem. Była właśnie wiosna, podczas której piosenka *Mały kominiarczyk* stała się przebojem Londynu (jaka piosenka

była modna w pierwszą rocznicę zaręczyn George'a i Posy?). Medalionik miał kształt małego kominiarczyka z miotłą i drabiną.

—Ach, jakie to śliczne!

—Będiesz to nosiła dla mnie, Posy, prawda?

—Zawsze! — objęła go za szyję, a George, pochyliwszy tę swoją jasną głowę, ucałował ją w kark, powyżej łańcuszka. Uczynił to nieśmiało — czyż nie był zawsze nieśmiały, ilekroć jej dotykał? Czy to była wina George'a, że właśnie w chwili pocałunku złota drabinka kominiarczyka wpiła się w białą szyję Posy?

—Ach, skarbie! Znowu ci sprawiłem ból, straszny brutal ze mnie. Nie powinienem być taki obcesowy.

Głęboko ukryty, gdzieś na samym dnie duszy, diabelski głosik podszeptał Posy: „To nie dlatego, że jesteś obcesowy. Namiętność nigdy nie sprawia bólu. Raczej ją lubię, bo zaczynam wierzyć, że mnie kochasz. Ach, obcesowy nie jesteś zupełnie! Jesteś raczej niezgrabny”. Lecz ten głosik przycichł, zamilkł w głośnym tykaniu zegara... Wziął od niej przyrzeczenie, że zawsze będzie nosiła na szyi ten łańcuszek.

—Nigdy go nie zdejmę, George, możesz być pewny.

—A ty możesz być zawsze mnie pewna, skarbie, prawda?

—Zawsze.

W salonie piękności Eve Evershalt była pracownica, nazywana przez wszystkich miss Grey, która dałaby wiele za to, aby Posy zwierzyła się jej na temat swego narzeczeństwa. Miss Grey była zaręczona z marynarzem, z jednym z tych niebieskookich nicponiów ze szramą na czole, kołyszących się nieco w biodrach i umiejących wypatrzeć ładną dziewczynę na odległość mili. Niemal każda poczta przynosiła narzeczonemu miss Grey jakieś nowe zaproszenie napisane kobiecym charakterem pisma. Marynarz nie miał teczki do listów, papierośnicy, srebrnej ramki do fotografii, jedwabnej chusteczki i innych drobiazgów, których by nie otrzymał w darze od jakiejś kobiety. Jednym słowem był ulubieńcem całego tuzina czarujących kobiet. Żadna od niego nie żądała niczego w zamian. Po prostu lubiły go za jego czar, a on kochał je wszystkie, choć miał swoją dziewczynę, którą zamierzał poślubić w jesieni.

Miss Grey w szatni zwierzała się Posy Wynn:

—Gdy Jack jest na urlopie i gdy ja nie mogę z nim stale przebywać, nie mam nigdy pojęcia, gdzie się podziewa, z którą ze swoich znajomych wybrał się na dansing i z którą w danej chwili flirtuje. A czy pani wie, co robi pani narzeczony wówczas, gdy pani jest daleko od niego?

—Tak — powiedziała Posy, spoglądając na zegarek. — W tej chwili jedzą obiad w szkole. Zebrali się wszyscy w obszernym pokoju z oknami wychodzącymi na stadion sportowy. Na środku pokoju stoją trzy stoły, a dookoła nich siedzi piętnastu chłopców, kierownik, nauczyciele i ta panienka, która opiekuje się teraz najmłodszymi. Za nim jest jeszcze jeden długi stół, przy którym siedzi brat mego narzeczonego, jego żona, dwaj młodszy nauczyciele, dwunastu starszych chłopców i mój narzeczony. Właśnie w tej chwili kierownik szkoły odmawia modlitwę po łacinie. Teraz uczniowie zaczynają zajmować miejsca. Mój narzeczony mówi do dyżurnego coś w tym rodzaju: „Jeżeli pogoda się utrzyma, to będziemy mieli cudowną grę w sobotę po południu”. Ma się odbyć rozgrywka między nimi i szkołą Henley Court.

—Skąd pani wie o tym wszystkim? — zapytała miss Grey, patrząc na Posy z podziwem.

—Skąd wiem o krykietowym meczu? Napisał mi o nim w liście, który otrzymałam dzisiaj rano. A co do innych rzeczy, to od drugiego roku naszych zaręczyn George spisuje pamiętnik, żebym później mogła go przeczytać i orientować się, co którego dnia robił i o której godzinie. Zresztą w jego życiu zachodzą niewielkie zmiany.

—Szczęśliwa dziewczyna! Wcale panie nie wie, ile przykrości sobie pani zaoszczędza, jeśli nie ma pani powodów do zazdrości...

—Co takiego? — zawołała Posy. — Nie mam powodów do zazdrości? — nagle przypomniała sobie ów podwieczorek w Oxfordzie, gdy była zazdrosna o wszystkich kolegów George'a i o całe jego studenckie życie. Przypomniała sobie ów wieczór, gdy była zazdrosna o Sybilę. Przypomniała sobie tę pamiętną noc, podczas której przelała tyle łez i cierpiała tak bardzo, że już więcej cierpieć nie mogła. Nie ma powodów do zazdrości?...

—Owszem, byłam kiedyś zazdrosna, naprawdę, ale teraz nigdy już nie jestem i wątpię, czy kiedykolwiek będę.

—Niektórzy ludzie powiedzieliby, że nie jest pani zazdrosna tylko dlatego, że go pani tak bardzo nie kocha.

—Ach, cóż za nonsens... — szepnęła Posy, rumieniąc się i marszcząc brwi.
— Wcale tak nie jest. Jestem go tylko pewna, a dawniej nie byłam.

—Wobec tego — westchnęła miss Grey — musi pani być bardzo szczęśliwa.

Czy Posy była szczęśliwa? Zwracam się do wszystkich szczęśliwych zaręczonych dziewcząt. Czy to jest właśnie prawdziwe szczęście?

Tego lata Posy zgodziła się zamienić termin swojego urlopu z biedną zazdrośną miss Grey, aby miss Grey mogła spędzić wakacje razem z narzeczonym, który też w tym okresie był wolny.

— A co będzie z panią, Posy?

Posy oświadczyła:

— Mnie tam wszystko jedno, czy wezmę urlop w czerwcu, czy w sierpniu!

— A co z pani Mr George'em?

— Postanowił odwiedzić w sierpniu kilka zagranicznych szkół, aby niektóre tamtejsze metody zastosować w swojej szkole. W ten sposób ma spędzić urlop. Naprawdę mogę wziąć trzy tygodnie urlopu w czerwcu — usprawiedliwiła się Posy, nawet nie przewidując, co nowego przyniesie jej to postanowienie.

TLR

II. CUDOWNE ZAPROSZENIE

Trzy tygodnie. Co Posy zrobi z tym czasem? Najserdeczniejsi przyjaciele, Turnerowie, mieli już ułożony plan, gdy zadali jej to pytanie.

— Przypuszczam, że pojedę do domu do Walii, a może do Harold-Hurst.

Sybila Turner oburzyła się całkiem szczerze:

— Już wyrosłaś z tego, żeby być gąską domową! Ładna rozrywka, spędzać urlop na oglądaniu ojca, matki, brata i starego psa, który już na pewno jest głuchy. Nie powinnaś przebywać zbyt długo w domu, dopóki nie wyjdiesz za mąż (chyba że okoliczności jakoś się zmieniają). A co do wyjazdu do Harold-Hurst, to i tak tam przecież George'a nie będzie. Miałabym dla ciebie całkiem inną propozycję! Właśnie kupiliśmy willę na południu Francji, o dwadzieścia mil od Nicei. Powiadam ci, Posy, wspaniała miejscowość! Z widokiem na zatokę, która jest zawsze błękitna, jak szyja pawia. Mamy własną plażę, więc można używać swobody, ile dusza zapagnie! Poza tym tenis i ciekawe towarzystwo. Widzisz, kochanie, za dwa tygodnie zamierzamy zabrać inkubów (byli to dwaj ukochani synkowie Sybili, w wieku dwóch i trzech lat) z tej deszczowej wyspy, aby się trochę opalili. Bardzo bym chciała, żebyś i ty pojechała z nami. George na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli mu to po swojemu wytłumaczysz! Przecież to tylko trzy tygodnie. Postaraj się o paszport i jedź. Bilety tam i z powrotem dostaniesz od nas w prezencie, tylko jedź z nami. Trzeba przecież zobaczyć kawałek świata, póki się jest młodym. Jak słusznie powiada Guy.

Na szczęście tym razem nie powtórzyła słów męża, a brzmiały one następująco: „To jest straszne, moja kochana. Ta mała posy coraz gorzej wygląda. Nie zauważyłaś tego? Jest coraz bledsza i jakby przygaszona. Widocznie Londyn jej nie służy albo za dużo pracuje. Przydałaby się jakaś rozrywka, żeby dziewczyna uspokoiła trochę nerwy. Gotowa stać się starą panną, zanim doczeka się tego ślubu!”

„Nie gadaj głupstw, Guy! Musimy ją koniecznie stąd wyrwać. Może, gdy znajdzie się w obcym miejscu i zetknie się z nowymi ludźmi, nabierze trochę humoru i może nareszcie ten George zrozumie, że nie wolno jej pozwolić na tak długie czekanie”.

—Tak, musisz pojechać — nastawała Sybila. — Będiesz opalała się na wybrzeżu i będziesz się odżywiała winogronami. Mówię ci, krajobraz tam jest cudowny, sprawia zupełnie wrażenie najcudowniejszych dekoracji, wspaniałego występu rewiowego! Z daleka widok na Alpy, pełno słońca, a wszystko w odcieniu złocistego miodu. Najpiękniejsze kwiaty kwitną na balkonie twego pokoju, a z okna masz widok na niezmierną przestrzeń Morza Śródziemnego, po którym jak motyle uwijają się żaglowe jachty.

—Taka cudowna zmiana — wzdychała Posy w rozmarzeniu. — Ach, jakie to wszystko niepodobne...

Porównywała tę perspektywę z widokiem londyńskich monotonnych trotuarów i kamienic, z płynącą wolno srebrną wstęgą Tamizy, z zielenią angielskich wiązów, zaledwie rozkwitających w czerwcu. Jakież to niepodobne nawet do zieleni sosen i do delikatnych czerwonych kwiatuszków porastających rodzinną dolinę, zraszaną tak często płaczącym walijskim deszczem. Dopóki nie otrzymała tego kuszącego zaproszenia, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jej była potrzebna taka zmiana, jak bardzo pragnęła się wyrwać z tej brytyjskiej szarej codzienności.

Czy znacie ten buntowniczy wiersz, który rozpoczyna się od słów:

Ach, dajcie mi nowe twarze, nowe twarze, nowe twarze...?

Posy od początku wiosny źle się czuła w Londynie, lecz dopiero teraz doszła do tego wniosku.

Oderwanie się od przesadnej cywilizacji wlewa w nasze żyły nową energię życia, a przebywanie wśród obcych ludzi przywraca nam humor. Posy Wynn najbardziej tęskniła do nowych twarzy. Miała już dość tych twarzy pracownic Eve Evershalt, umalowanych, zawodowo uśmiechniętych, zawsze sympatycznych. Miała dość twarzy klientek, które wchodziły i wychodziły z salonu, zawsze w tych samych kolorach sukien, zawsze z tą samą szminką na twarzy. Miała dość twarzy, które otaczały ją w pensjonacie. Posy widokiem tych ludzi była zmęczona... Zmęczona była nawet niewinnymi uśmiechniętymi twarzyczkami małych chłopców, którzy spoglądali na nią spod szkolnych czapek i spod szerokich skautowskich kapeluszy, gdy przyjeżdżała na wybrzeże, do Harold-Hurst. Nużyła ją twarz głównego kierownika, przyszłego szwagra. Tak samo męczył ją widok żony. Tak samo... nie! Zaprzeczyłaby z oburzeniem, gdyby ktoś posądził ją o to, że nużyła ją również twarz George'a. Jakżeby to było możliwe? Czy mogła ją nużyć ta gładka, wygolona twarz o regularnym profilu, o stanowczych szarych oczach, ta jasna twarz, która jeszcze teraz mogłaby pozować do obrazu: *Me lo-*

trzy, lecz aniołowie? Na pewno tą twarzą nie była zmęczona, ale mówmy dalej na temat owej zmiany. Mimo tej zmiany była przecież zmuszona wciąż patrzeć na twarze Turnerów. Drogi, poczciwy Guy, na którego czole widać już było trochę zmarszczek, a na skroniach sporo siwych włosów, lecz zawsze był rycerski, zawsze pogodny, nieco cyniczny i spostrzegawczy. Później twarz Sybili — nigdy specjalnie piękna (o której właścicielka czasami mówiła: „Właściwie moja twarz nie przypomina niczego na tym świecie, tylko siebie samą! Na miłość boską, Posy, pomóż mi, aby z tą twarzą można było coś zrobić”), lecz zawsze ciekawa, zawsze ożywiona — i twarzyczki dzieci Turnerów, opalone, uśmiechnięte, pełne niewinności. Posy czuła na widok tych twarzyczek, że musi być zawsze w dobrym humorze. Po trzech dniach pobytu w Mon Delices jej własna twarz (uśmiechała się do niej z lusterka, gdy pokrywała ją cienką warstwą pudru) była całkiem inna! Miała nawet inny wyraz niż w ciągu tych ostatnich dni w mieście. Był to wyraz twarzy małej dziewczynki, jak niegdyś podczas pierwszych tygodni narzeczeństwa!

—Jednak ta zmiana doskonale zrobiła Posy Wynn, bo jej twarzyczka znowu rozkwitła, nie uważasz? — mówiła Sybilla do męża w trzy dni po przybyciu Turnerów do Mon Delices, ich nowej willi na Riwierze. — Dziewczyna zachwyca się tu wszystkim. Zachwyca się nawet upałem, spaniem pod moskitierą, nurkowaniem w błękitnej zatoce, pićm na śniadanie świeżej kawy, przysłuchiowaniem się francuskiej gwarze służby, jedzeniem winogron, pićm wina, przejazdkami samochodowymi, przyglądaniem się meczom tenisowym w Cannes, jedzeniem obiadu w restauracji zawieszanej na wysokości tysiąca metrów ponad morzem — wszystko to dla niej jest cudowne i nowe. Sprawia wrażenie zupełnie małej dziewczynki, która po raz pierwszy poszła do teatru!

—Szkoda, że nie ma tutaj jej narzeczonego, żeby mógł na nią patrzeć — dorzucił major Turner z figlarnym uśmiechem.

—Szkoda? Szczęśliwie się złożyło, Guy, choćby dlatego, że Posy raz wreszcie trochę od niego odpocznie. Może ten jej pobyt tutaj wzbudzi w sercu szalonego George'a odrobinę zazdrości i może zrozumie, że istnieje coś jeszcze oprócz cierpliwego czekania. Boże święty, trudno uwierzyć, że tych dwoje ludzi zaręczyło się jeszcze przed naszymi zaręczynami!

—A jest przecież przysłowie, że „nie należy się nigdy śpieszyć”.

—Tak nienawidzę wszelkich przysłów! Brzmia zachęcająco, ale nie idą z postępem czasu. Ten młody człowiek sprawia także wrażenie, jakby ugrzązł w błocie. Przecież już raz nareszcie mógłby skończyć z tym czekaniem, bo nasza Posy gotowa zacząć flirtować z kimś innym. Czy nie zgadzasz się ze mną?

Major Turner spojrział na żonę z tajemniczym uśmiechem. Jak wielu zresztą mężczyzn, mógł się z nią zgadzać, lecz nigdy nie przyznawał jej słuszności.

Turnerowie siedzieli pod ogromnym pomarańczowo-kremowym parasolem na swoim obszernym kamiennym tarasie od strony morza. Z balustrady zwieszały się kaskady purpurowych petunii, których mnóstwo można zauważyć w południowej Francji. Balustrada była tak szeroka, że często zmęczona kąpielą i pływaniem Posy wyciągała się na niej i odpoczywała. Pod balkonem szeroka alejka biegła między zaczerwienionymi od słońca skałami do błękitnej zatoki i do prywatnej plaży Turnerów, którą ze wszystkich stron otaczał las. Posy przebywała jeszcze na plaży, wygrzewając się w ciepłych promieniach słońca. Turner o wie widzieli z balkonu jej kształtną główkę w czerwonej czapeczce, w której wyglądała jak pływający na wodzie mak. Rozkoszowała się wodą i słońcem. Prowadziła typowe beztrudne życie, wśród słońca, błękitnej wody, piękna krajobrazu, lenistwa i ciepła!

Czasami zastanawiała się nad tym, czy wśród tego wszystkiego nie popełnia grzechu.

W innych chwilach czuła, że nie może znieść samej siebie, nie mogła nawet patrzeć na siebie w lustrze, nie mogła patrzeć na swoje piwne oczy, które figlarne zerkwały ku niej.

Czyż nie pozwoliła sobie na chwilowy flirt? Czy to nie było grzechem, skoro jest zaręczona?

Zaręczone dziewczęta, co wy myślicie o tym? Nie dotarliśmy jeszcze do tego niezapomnianego epizodu, lecz ów epizod już się zbliża.

Guy Turner zwrócił się do żony z pytaniem:

—Czy pomyślałaś już o jakimś młodzieńcu, z którym Posy mogłaby poflirtować?

—Boże święty, skądże! To przecież była tylko teoria — zawołała Sybila z oburzeniem. — Mężczyźni zawsze dochodzą do takich wniosków, a potem przysięgają, że to kobiety są lekkomyślne.

—Przepraszam — usprawiedliwił się Guy Turner, patrząc na cudowny krajobraz.

Sybila uśmiechnęła się do niego pobłaźliwie i oświadczyła:

— A propos, otrzymałam właśnie list od tego wesołego chłopca, Charlesa Orforda z pułku. — Wyciągnęła list z torebki. — Wyjechał z Indii i przybywa do Marsylii dziewiątego, ale ma ochotę przed wyjazdem do domu spędzić kilka tygodni tutaj, na południu. Dowiedział się, żeśmy kupili tę willę, więc pisze, że chciałby nas odwiedzić. Będzie nam bardzo miło, prawda? Będzie mógł trochę potańczyć z Posy.

—Kobiety są zawsze bez skrupułów — odparł mąż, kiwając swą siwiejącą głową. — Gdybyś postanowiła, żeby Posy zerwała swe zaręczyny ze Stirlingiem na korzyść młodego Orforda, nie wątpię, że na pewno by ci się to udało, ale ja osobiście umygam od tego ręce!

—Nie rozumiem, o czym mówisz! — zawołała młoda żona z godnością. Podniosła się ze swego pomarańczowo-kremowego fotela i weszła do wnętrza willi, zamierzając napisać kartkę do kapitana Charlesa Orforda i poprosić go, by zamiast w hotelu, zatrzymał się u swych starych przyjaciół, w Mon Delices.

III. ODWIEDZINY PANÓW

Gość przybył kilka godzin przed oznaczonym czasem i uśmiechnięta czarnooka prowansalska pokojówka zakomunikowała mu przy furtce ogrodowej, że panie i pan nie wrócili jeszcze z przejażdżki autem, lecz może monsieur wejdzie do środka i zaczeka?

— Bardzo chętnie — odparł Charles Orford po angielsku. Należał do tego typu ludzi, którzy zawsze, bez względu na to, w jakim języku się do nich zwracano, odpowiadali swą ojczystą mową. Wszedł do willi i począł się rozglądać po niej z zadowoleniem.

Willa Turnerów na południowym morskim wybrzeżu stała z dala od prowansalskiego gościńca, otoczona słonecznym ogrodem, który przepelniały lilie, nagietki, róże i całe mnóstwo powojów. Poprzez to ciepło i różnobarwność kolorów przechodziło się do ocienionej werandy, zastawionej leżakami i niskimi stoliczkami. Otwarte oszklone drzwi prowadziły do dalszych pokojów, w których zawsze panował przyjemny chłód. Wszystkie podłogi wyłożone były miękkimi dywanami, wszystkie ściany zachęcały ciepłem kremowych obić, mebli w pokojach było mało, a wszystkie okna stały otworem. Drugie oszklone drzwi z dużego salonu prowadziły na taras, gdzie Charles Orford (był to wysoki, dobrze zbudowany, jasnowłosy przystojny młodzieniec w cienkim szarym flanelowym ubraniu i w dużym filcowym kapeluszu, opasanym czarną wstążką) usiadł, podziękował za jakiś zimny napój podany mu przez pokojówkę i przeglądając stary numer „Daily Mail”, czekał powrotu gospodarzy. Obojętnym wzrokiem spoglądał na widoczną w dali zatokę, na wybrzeże całe porośnięte gęstą mimozą i myślał:

„Całkiem tu niebrzydtko, trzeba przyznać! Turnerowie wybrali ładny zakątek!”

Nagle usłyszał lekkie kroki poza otwartymi drzwiami i dźwięczny dziewczęcy głos zawołał z radością:

— Halo, najdroższy! To ty?

— Owszem, tak! To ja — odparł kapitan Charles Orford, odwracając się w stronę młodej kobiety, która go tak radośnie witała.

Ale to nie była jego dawna przyjaciółka, Sybila Turner.

Ujrzał przed sobą drobną, ciemnowłosą dziewczynę w bieli, przepasaną czerwono-

ną szarfą. Miała zaróżowione policzki i duże ciemne oczy. Była bardzo powabna, ale na jej twarzy odmalowało się w tej chwili zażenowanie.

Tuż za nią ukazała się Sybila w czarnej sukni przybranej bielą i poczciwy Guy, po czym rozpoczęły się powitania i okrzyki i przedstawiono kapitana Orforda miss Posy Wynn. Właśnie tak się nazywało to drobne ciemnowłose stworzenie, które przywitało go okrzykiem: „Halo, najdroższy!”

Śmiała się teraz, zwrócona do Sybili:

—Popełniłam straszną omyłkę! Przyszłam tutaj, nie spodziewając się zastać kogoś na tarasie, a kapitan Orford siedział w pełnym blasku słonecznym i oczywiście w pierwszej chwili byłam pewna, że widzę kogoś, kogo dobrze znam. Wyobraź sobie, Sybilo, myślałam, że to George!

—George! — powtórzyła Sybila ze zdziwieniem. — Czy masz na myśli swego George'a? George'a Stirlinga? Ależ, moja kochana, przecież oni absolutnie nie są do siebie podobni! — spojrzała znowu na gościa, obserwując uważnie jego ogorzałą smagłą twarz. — Czy wiesz, że do tej chwili nie zwróciłam uwagi, że istotnie jest między nimi pewne podobieństwo? Przynajmniej w kolorze włosów, wzroście i budowie. Gdybyś podzieliła wszystkich mężczyzn na świecie na siedem kategorii, Charles należałby do tej samej kategorii co George. Ale dotychczas nigdy mi to nie przyszło na myśl.

—Czy wolno mi zapytać, kto to jest George? — odezwał się kapitan Orford.

Wy tłumaczono mu, że George jest mężczyzną zaręczonym z miss Posy Wynn, na co Charles Orford tylko przyjaźnie się uśmiechnął, nie czyniąc żadnych uwag. Gdy Guy ujął go pod ramię, pragnąc zaprowadzić gościa do przygotowanego dla niego pokoju (i do nowoczesnego baru, ustawionego pod jedną ze ścian jadalni), Sybila Turner, ta kobieta bez skrupułów, powiedziała do siebie: „Na pewno wszystko pójdzie jak najlepiej! Przecież od razu widać, że mu się podobala. A on nie jest zaręczony. Zawsze bardzo lubił brunetki. Tylko Posy jest zbyt inteligentna na dzisiejsze czasy. W każdym razie taka zmiana byłaby dla niej pożądana. A co do Posy, czy to nie jest zadziwiające, że wzięła go za George'a?”

To dziwne podobieństwo absorbowало wszystkich przez cały czas pobytu kapitana Orforda w willi Turnerów.

*

Pogoda utrzymywała się (,jak to zwykle zresztą bywa w Anglii, z tym tylko wyjątkiem, że tam pogoda zwykle bywa, trochę inna" — twierdził Guy Turner).

Prawie każdą godzinę swego urlopu Posy spędzała na świeżym powietrzu, a wraz z nią całe towarzystwo; czas mijał im na kąpieli, wygrzewaniu się na słońcu i na przejażdżkach samochodowych wzdłuż wybrzeża oraz na zwiedzaniu najbliższych okolic. Za wcześnie jeszcze było na prawdziwy sezon letni.

Podobno cała śmietanka towarzyska zjeżdżała na wybrzeże dopiero o wiele później i wówczas bawiono się tu doskonale. Posy jednak ze swej strony była zadowolona z pobytu i wcale nie martwiła się tym, że przebywała na wybrzeżu w tak niemodnym okresie.

Po tygodniu...

—A twoje plany co do wzbudzenia zazdrości George'a i co do flirtu Posy, czy zaczęły się już urzeczywistniać? — zapytał Guy Turner, Sybila zaś spojrzała na niego jakby nie wiedziała, co ma na myśli, choć w głębi duszy odczuwała głębokie rozczarowanie. Bo przecież w ciągu ostatnich kilku dni nie mogła zauważyć ani cienia zainteresowania, jakie by się zrodziło między Posy i młodym oficerem.

—Posy, nie powiedziałaś mi jeszcze, co myślisz o naszym przyjacielu.

—Ach! Sympatyczny. Bardzo miły...

—Mówisz to takim tonem, jakbyś chciała dodać: „tylko trochę nudny”.

—Ach, nie, Sybilo! Mówię tak, bo właściwie zamieniłam z nim bardzo niewiele słów. Jest jeszcze ciągle pamięcią w Indiach i w swoim pułku, a potrafi mówić tylko o grze w polo i o takich rzeczach, o których ja absolutnie nie mam pojęcia.

—Mężczyźni — rzekła młoda pani Turner — uważają, że kobiety powinny swoje zainteresowania dostosować do ich ulubionych zajęć. Czy jednak nie uważasz, że Charles jest bardzo przystojny?

Posy odpowiedziała tylko:

—Powiedziałam ci już, że wyglądem przypomina mi George'a, tylko jest może trochę bardziej elegancki, choć jestem pewna, że George w wojskowym mundurze wyglądałby jeszcze lepiej.

—Ach! — westchnęła Sybila.

Mąż jej później zakomunikował, że Charles Orford owego pierwszego wieczoru, kiedy poznał miss Wynn, doszedł do wniosku, że dziewczyna jest bardzo powabna, później jednak przekonał się, że jest trochę za mało ożywiona i że jej w ogóle czegoś brakuje!

—Ach — zdziwiła się Sybila — więc takie ma zdanie o niej? Wobec tego nie przypuszczasz chyba, żeby chciał się z nią kiedykolwiek zobaczyć w Londynie i zaprosić ją na jakiś dancing?

—Bardzo wątpię — powiedział Guy Turner z westchnieniem pełnym smutku.
— Mówił mi, że jutro wybiera się do Bolonii. Zrezygnuj z tego wszystkiego, moja droga! Na nic się nie zdadzą twoje wysiłki zerwania zaręczyn miss Wynn z Mr Stirlingiem!

Los chciał, że zdarzyło się coś, co najbardziej pomogło zrealizowaniu planów Sybili. Na tydzień przed powrotem Posy Wynn do Anglii, do pensjonatu i do salonu piękności, zjawił się nowy mężczyzna (chwilowo postać epizodyczna, lecz przemknął nie bez wrażenia), który pozostawił po sobie wspomnienie.

TLR

Mężczyzną tym był drugi gość Turnerów, zwany przez wszystkich Księciem.

Guy Turner zaprzyjaźnił się z tym młodym człowiekiem na korcie tenisowym w Cannes i tego samego dnia, gdy bugatti Guya uległ jakiemuś uszkodzeniu, Mr Turner wrócił do Mon Delices wspaniałym mercedesem Księcia. Księżę zjadł obiad tego dnia z Turnerami i z miss Posy Wynn, chociaż na tę ostatnią prawie wcale nie zwracał uwagi.

Posy zauważyła, że Księżę ma aksamitne czarne oczy, wyjątkowo białe i kształtne zęby i długie rzęsy, których by mu pozazdrościła niejedna klientka salonu piękności Eve Evershalt.

— Wygląda jak prawdziwy gwiazdor filmowy, ale w gruncie rzeczy jest porządnym chłopcem — mówił o swym gościu major Turner. — Poza tym jest podobno doskonałym tancerzem, co dla Posy jest bardzo ważne, szczególnie teraz, gdy Charles wyjechał.

Spojrzenie Sybily skierowało się w stronę szerokiego pomarańczowo-kremowego hamaka, w którym po obiedzie siedziała Posy z młodym Włochem. W bladym świetle wieczoru znaczył się wyraźnie drobny profil Posy, która w tej chwili była najwidoczniej zainteresowana rozmową. Jej towarzysz nie przestawał mówić. Prawdopodobnie miał mnóstwo do powiedzenia w ciągu tej pół godziny, czego by Charles Orford nie zdołał powiedzieć w ciągu kilku tygodni.

—A właściwie jakim on jest księciem? — zapytała cicho Sybila, zwracając się do męża.

—Ach, jest księciem wszystkiego — odparł Guy Turner. — Jest po prostu zwykłym młodym włoskim arystokratą. Jego rodzice są właścicielami wielkiej posiadłości gdzieś w pobliżu Florencji. Przypuszczam, że muszą być bardzo bogaci. Młodzieniec otrzymał teraz urlop ze swego pułku. Lubi szalenie sporty i wszyscy nazywają go Księciem.

—A ile ma lat?

—Dwadzieścia.

—Dwadzieścia? — zawołała Sybila Turner nieco głośniejszym i tak zdziwionym tonem, że młody Włoch musiał to dosłyszeć. Obejrzał się. Ukazał te swoje cudowne zęby spoza rozchylonych w uśmiechu ust i widoczne teraz były w mroku wieczoru jego maleńkie czarne wąsiki. Czuprynę miał czarną jak heban.

—A pani myślała, że jestem starszy? — zapytał uradowany po francusku. — U was dwudziestoletni mężczyźni wyglądają, jakby jeszcze chodzili do szkoły. My, Włosi, dojrzewamy prędzej od Anglosasów!

—Tak! Ale nasi mężczyźni wyglądają jak młodzi chłopcy nawet wówczas, gdy są już w podeszłym wieku — odpowiedziała Sybila, darząc męża pełnym czułości uśmiechem.

*

Tej nocy Guy Turner powiedział:

—Księżę ma własną łódź motorową. Zakomunikowałem mu, że może ją pozostawiać na kotwicy w naszej zatoce. Twierdzi, że jest mi bardzo za to wdzięczny. Poza tym, gdy przyjeżdża tutaj, może zostawiać auto w naszym ogrodzie. Nie masz chyba nic przeciwko temu, Sybilo?

—Ach, nie, skądże? A zaproś go od czasu do czasu do nas. Koniecznie!

Tej nocy Posy przed udaniem się na spoczynek stała w oknie swego pokoju, obserwując księżyc i uśmiechając się, jak każda dziewczyna uśmiecha się do siebie po miło spędzonym wieczorze.

Ale niech, broń Boże, nikt nie pomyśli, że ten dobry nastrój Posy zrodził się wskutek jej uprzedniej rozmowy z Księciem. Księżę był tylko maleńką częścią tej cudownej południowej nocy, tej księżycowej nocy na wybrzeżu Morza Śródziemnego, tego cudownego widoku zaróżowionych nadbrzeżnych skał, tej upojonej woni kwitnącego tytoniu, tuberoz, jaśminu i purpurowych róż. Odwróciła się od okna z nagłym westchnieniem i dostrzegła coś leżącego na toalecie. Pod wpływem tego widoku zadrżała.

— Mój list do George'a! Jeszcze nie wysłany! Będzie się dziwił, że tak długo do niego nie piszę. Gdybym zaniósła go teraz do skrzynki, odszedłby jutro rano pierwszą pocztą...

Chwyciwszy list, wymknęła się z pokoju na taras, a stamtąd do ogrodu. Biegła przez uśpiony zielony zagajnik w stronę bramy frontowej, którą zawsze zamykano od wewnątrz. Znalazłszy się przed bramą, dostrzegła w srebrzystym świetle księżycyca dużego połyskującego mercedesa! Więc Księżę jeszcze jest tutaj?

—Czy coś się popsulo w pańskim samochodzie? — zapytała, gdy młody człowiek drgnął na jej widok.

—Mademoiselle! — wybąkał i podbiegł do niej. — W moim samochodzie? Nie, nic się nie stało.

—A ja byłem pewna, że pan odjechał już pół godziny temu.

Z piersi Włocha dobyło się głębokie westchnienie.

— Nie mogłem.

Posy nie przyzwyczajona do tego rodzaju rozmów, spojrzała na niego pytająco.

— Czułem, że muszę zostać — wyszeptał po chwili. — Czułem, że jest coś, dla czego powinienem zostać. I okazało się, że przeczucie mnie nie zawiodło.

Posy była zbytnio Angielką, trzeźwą i prostolinijną, aby odgadnąć, co się kryło za tymi słowami. Książę był pewien, że wymknęła się z domu, aby go jeszcze raz zobaczyć. Dopiero po chwili przekonał się, że tak nie było, Posy jednym zdaniem wyjaśniła całą sytuację:

— Ach! Tak! Właśnie zapomniałam wrzucić list. Czy mogłabym pana o to prosić...

Wziął list z ukłonem i uśmiechnął się ironicznie.

— Serdecznie panu dziękuję — rzekła Posy, wracając w stronę willi. — Dobrej nocy. Zegnam pana!

— Dobrej nocy, mademoiselle — odpowiedział Książę przyciszonym i zniechęconym głosem.

TLR

IV. WIR WRAŻEŃ

„Boże święty, jakież to zgorszenie!” — powiedziałyby z pewnością pani Jones, żona rektora, gdyby była świadkiem tego wszystkiego, co Posy Wynn robiła podczas ostatniego tygodnia urlopu.

Wyobraźcie sobie Posy w figlarnym cytrynowym trykocie, w białym kapeluszu na głowie, z twarzą uśmiechniętą i rozradowaną! Spod tego kapelusza patrzy na cudowny nadbrzeżny krajobraz: palmy, pobliskie szczyty Alp i niebo o barwie czystego błękitu. Po prawej stronie kamienne schodki prowadziły w dół na wybrzeże, na którym uwijali się ludzie w kwiecistych bluzach i w szerokich marynarskich spodniach lub też tylko w zwykłych trykotach kąpielowych. Po lewej stronie takie same kamienne schodki prowadziły do wspaniałego białego budynku kasyna, z którego przez otwarte okna płynęły dźwięki jazzu i nieśmiało wychylały główki purpurowe kwiaty. Tuż przed Posy — stolik restauracyjny, przy którym właśnie siedziała, a na nim koktajle, melon, ostrygi, szparagi, pieczone kurczęta, lody, piwo mrożone, figi i cały stos cudownych zielonych winogron, mniej więcej po dwa funty na dwie osoby.

Tymi dwiema osobami byli miss Posy Wynn i przyjaciel Turnerów, młody Włoch — Książę.

Bo Książę od niedawna stał się nierozłącznym towarzyszem naszej trójki. (Całkiem zbyteczne było „zapraszać go do willi!”) Nazajutrz po zawarciu znajomości smukła, z cudzoziemska wyglądająca postać w skromnym angielskim flanelowym garniturze szła spieszenie przez zalany słońcem ogród i minawszy werandę, wsunęła się do chłodnego salonu Sybili Turner.

—Madame! Czy wolno mi będzie przez dom państwa zejść na dół do mojej motorówki? Umówiłem się z przyjaciółmi na aperitif i już się trochę spóźniłem. Pozwoliłem sobie przynieść trochę pięknych owoców z Nicei dla pań i chciałem zapytać, czy wybrałyby się pani ze mną dzisiaj na dansing do Casino Gala? Wieczór będzie wyjątkowo interesujący, bo właśnie dzisiaj całe kasyno zostanie zamienione w dżunglę, a tancerze i tancerki — w dzikich. Stojem obowiązkowym są krótkie spódniczki i naszyjniki z kości rozmaitych zwierząt.

—Ale — zaśmiała się pani Turner — ani ja, ani miss Wynn nie mamy takiego stroju...

—Nic nie szkodzi! Włożą panie te swoje cudowne sukienki, które w tej chwili mają na sobie, wetkną kilka świeżych kwiatów w swoje piękne włosy i będą mogły uchodzić za czarujące niewolnice przyprowadzone przez dzikich do dżungli!

Tego wieczoru istotnie Posy czuła się, jakby nie była dawną Posy Wynn, ale jakąś aktorką, biorącą udział w dziwacznej, wesołej komedii. Książę tak ją świetnie prowadził w tańcu, że dostała nagrodę za najlepsze tango! Później młody Włoch pokazał jej swoją motorówkę, nowym, połyskującym mercedesem obwoził ją po wybrzeżu. Wstępowali do każdego lokalu, gdzie grała orkiestra, do wszystkich „tea-shop”, do restauracji znajdujących się nad morzem. Posy rozkoszowała się tym tak samo, jak rozkoszowała się zanurzeniem w ciepłą błękitną wodę Morza Śródziemnego. Postępowała nierozsądnie!

Przecież była dobrze wychowaną córką doktora, dwudziestotrzyletnią dziewczyną, zarabiającą na własne utrzymanie, a poza tym zaręczoną z solidnym młodzieńcem, który całą duszą oddawał się swemu zawodowi (oczywiście w takich chwilach, kiedy nie był zajęty narzeczona,) i który marzył o tym, aby szkoła doszła do najwyższego rozkwitu, a nie pragnął tego tylko ze względów finansowych, lecz również ze wzniosłych pobudek.

George Stirling pisał o swojej szkole jak młoda matka pisze o swoim pierworodnym synku („Wyobraźcie sobie, że dziecko ma już drugi ząbek”... „Harold-Hurst zwyciężyło Henley Court w 28 biegach!” „Tadzio potrafi już mówić: mama”. „Mamy teraz krótkie wakacje, bo major Smith wyjechał do Winchester”). Opisywał obrazowo wygląd nowego skrzydła; jak będzie się przedstawiało, gdy zostanie skończone i umeblowane, i jak to będzie, gdy wreszcie wezmą ślub bez dalszej zwłoki. Skończy się ta straszna rozłąka, skończy się praca Posy w Londynie. George istotnie tęsknił do własnego domowego życia, pełnego codziennych zainteresowań, nacechowanego wzajemnym zrozumieniem.

Posy w chwilach refleksji zdawała sobie sprawę z tego, że powinna częściej myśleć o George'u. Właściwie jako zaręczona od (pięciu czy sześciu) lat powinna była pożegnać się na zawsze ze swoim dzieciństwem. Chociażby ta nierozsądna radość z powodu wakacji na wybrzeżu.

W całym swym dorosłym życiu Posy nie doświadczyła podobnie dziecięcego rozradowania, jak podczas owego wieczoru, gdy dwudziestoletni Książę przy-

wiózł ją swym połyskującym mercedesem do kasyna, gdy obserwowała stoły gry, gdy wsłuchiwała się w głośnie oklaski obecnych. Dziewczęce lata Posy polegały głównie na staroświeckim życiu domowym, na samotnym obserwowaniu górskiego krajobrazu i na pierwszej naiwnej miłości. Należało dalej prowadzić taki żywot, należało dalej piastować pierwszą miłość w swoim sercu, należało dalej spokojnie pracować w Londynie, bez wszystkich rozrywek, których teraz doświadczała! George po studiach w Oxfordzie, w fazie swego młodzieńczego rozkwitu, był zbyt poważny na tego rodzaju zabawy. „Niepotrzebna strata czasu i pieniędzy, skarbie, nie uważasz?”

Zaledwie dwa razy podczas swojej bytności w Londynie wyszedł dokądś z Posy. Raz byli na jakiejś sztuce Shawa. Posy strasznie rozbolała głowa. I raz poszli zobaczyć Paula Robersona w roli Otella, co ich właściwie wcale nie zainteresowało.

A później nieoczekiwanie przyszły te sporty wodne, konkursy opalania się, przejażdżki samochodowe, gwarne restauracje i obserwowanie całego mnóstwa nowych ludzi.

Raz Posy była świadkiem, jak pewna francuska dama dyskutowała z Sybilą na temat sposobu bycia angielskich gości przybyłych na wybrzeże.

— Nawet te panny, które pochodzą z dobrych rodzin, madame, nawet te, które w domu są spokojne, ciche i łagodne, tutaj zachowują się głośno, niczym bachantki! Jak musi to dziwić nas, którzy niejednokrotnie byliśmy w Anglii i znamy dokładnie obyczaje angielskich domów. Jakie musi to na nas wywierać wrażenie, gdy spotykamy te kobiety na wywczasach we Francji! Chodzą tutaj tylko w piżamach, pokazując wszystko, co tylko mają do pokazania, obnażają sobie plecy i w takim stroju siadają do stołu! Każdemu poznanemu mężczyźnie mówią po imieniu, piją i tańczą z pierwszym lepszym! Po takiej zabawie wracają do hotelu o trzeciej czy czwartej rano, śpiewając i śmiejąc się głośno i nie troszcząc się o to, że innym przeszkadzają. W domu nigdy by tego nie robiły! Przecież i tutaj, na wybrzeżu, wymaga się od ludzi odrobiny wychowania.

— Prawdopodobnie, znalazłszy się tu, trwają przez cały czas jakby w tęczowym śnie — tłumaczyła Angielki Sybila. — Zresztą wszyscy się tak czujemy, chociaż nie każdy z nas potrafi w ten sposób manifestować swoją radość.

Dla Posy ten tęczowy sen był tym bardziej rozkoszny, że śniła go w towarzystwie wesołego, interesującego i zachwyconego nią młodzieńca.

Pewnej nocy zawiózł ją razem z Turnerami na dansing, gdzie bawiono się doskonale. Jedna część sali odgradzona była ciężką kotarą. Francuski mistrz cere-

monii przeprowadzał wszystkie panie poza tę kotarę, meldując, że rozpoczyna się właśnie konkurs na najpiękniejsze kobiece nogi! Każda zawodniczka, biorąca udział w konkursie, powinna usiąść za kotarę, którą w pewnej chwili miano podnieść do wysokości kolan siedzących.

—Madame i mademoiselle oczywiście również wezmą udział — rzekł Książę.

—Ja nie — skrzywiła się niechętnie Sybila. — Niekształtne nogi zawsze były moją największą bolączką.

—A mademoiselle?

Posy się zawahała. Wyobrażała sobie spojrzenie szarych oczu George'a, którym by obejmował tę duszną, zadymioną salę, którym by błądził po wszystkich stolikach, po wszystkich eleganckich wieczorowych strojach, po twarzach Francuzek. Uważnie przyjrzałby się nawet orkiestrze, grającej *Wesołego kominiarczyka*. Ta panująca tutaj atmosfera nie była absolutnie w stylu George'a. Jeszcze mniej w jego stylu był pomysł narzeczonej, aby wziąć udział w konkursie na najpiękniejsze nogi...

I tutaj właśnie przekorny diablík podszeptał: „Wkrótce nie będziesz już miała żadnych możliwości robienia czegoś takiego, czego George nie pochwała!” Bezspornie była to jedyna płocha myśl, jaka powstała w główce poważnej, statecznej Posy. Ale powiedzcie sami, czyją było winą, że Posy w ogóle się tutaj znalazła? Ach, może to była wyłącznie jej własna wina, w każdym razie pozwoliła Sybili, Guyowi i Księżciu nakłonić się, aby przyjęła karteczkę z numerem dziewiątym! I aby zasiadła w szeregu pań biorących udział w konkursie.

Orkiestra zagrała tusz, kurtyna się nieco uniosła, ukazując kształtne stopy, smukłe łydki i drobne kolanka Posy Wynn.

Nawet jak na Francję oklaski były wyjątkowo głośne, a stały się jeszcze głośniejsze, gdy mistrz ceremonii zakomunikował, że pierwszą nagrodę otrzymuje numer dziewiąty! Najbardziej krzyczący był emaliowany deseń na papierośnicy, którą wręczono jako pierwszą nagrodę mademoiselle Posy Wynn.

Proszę nie gorszyć się zbytnio jej postępowaniem, przecież w życiu każdego z nas znalazłyby się takie epizody, którymi nawet Posy byłaby zgorszona.

Turnerowie przyjęli to wszystko jako zwykły żart.

Na trzy dni przed końcem urlopu Posy, Guy Turner zapytał:

— Tak, a co by Stirling powiedział na to wszystko?

—Na co? — zdziwiła się Posy, spoglądając ku niemu ze swego fotela, na którym siedziała z modnym francuskim czasopismem i z pudełkiem mrożonych

orzechów, podarunkiem od Księcia. — Naprawdę nie rozumiem, o czym mówisz, Guy.

—O zalotnych komplementach Księcia, o jego spojrzeniach, którymi darzy narzeczoną Stirlinga.

— Nie bądź dziwakiem! — uśmiechnęła się do niego Posy. — Przede wszystkim Książę jest jeszcze dzieciakiem. Po drugie należy do tych mężczyzn, którzy potrafią darzyć wymownym spojrzeniem nawet stracha na wróble, byleby tylko miał damski beret na głowie. Niewiele uwagi zwracam na te komplementy, prawda?

Lecz chociaż śmiała się głośno z tych książęcych oznak uwielbienia, w głębi duszy sprawiały jej one przyjemność. Taka zmiana. Takie to wszystko inne. Niczego nie można porównać ze zwykłymi, szlachetnymi czułościami George'a. Uwagi Księcia zdawały się być wyjęte z jakiejś francuskiej sztuki, myślała Posy. Zresztą młody Włoch zawsze mówił do niej po francusku, bo angielskiego prawie wcale nie znał. Nawet jego elementarna francuszczyzna czasami była gorsza jeszcze niż Turnerów, gorsza niż francuszczyzna Posy.

„Przeważnie robi same błędy”, spowiadała się Posy swoim przyjaciołom. „Takich błędów nawet ja nie robię, ale jakoś wzajemnie potrafimy się zrozumieć”.

Czy mogła temu zapobiec? Czy któraś inna dziewczyna, nawet zaręczona, mogłaby nie odczuwać przyjemności, gdyby Książę spojrzął na nią swymi czarnymi, aksamitnymi oczami i gdyby powiedział: „Jest pani piękna!” Mówił to zawsze w ten sposób: *Vous être bella*.

— Cieszę się, że pan tak uważa — uśmiechała się do niego wesoło Posy. Rozmowa taka toczyła się pod przysłoniętymi światłami mniejszego kasyna, to znów wówczas, gdy w kostiumach kąpielowych opalali się na zboczach pagórków, albo gdy pruli fale zatoki jego łodzią motorową, rozkoszując się lekkim morskim wietrzykiem. I gdy cały otaczający krajobraz wydawał się Posy całkiem inny od tego wszystkiego, co ją podczas dnia pracy otaczało w Londynie, wówczas Książę wydawał jej się również mieszkańcem jakiejś innej planety. Nie czuła się tak, jakby przebywała w towarzystwie młodego Anglika; jakiegoś kolegi, towarzysza czy przyjaciela George'a. Chociażby w towarzystwie kapitana Charlesa Orforda. Tego każda zaręczona dziewczyna onieśmiała po pierwszej chwili zawarcia znajomości.

Książę był całkiem inny! I właśnie dlatego to się stało...

V. CHWILA ZAPOMNIENIA

— *Vous être bella* — powtórzył pewnego popołudnia podczas swej bytności w willi. Sybila, która poprzedniej nocy tańczyła do czwartej, poszła się trochę położyć. Guy grał w tenisa, a dzieci z piastunką przebywały jeszcze na plaży. Do chłodnego salonu przyniesiono mrożoną herbatę. Sybila usunęła z pokoju gościnnego prawie wszystkie meble z wyjątkiem kilku niskich stolików pokrytych szkłem oraz wysokich wazonów, stojących na wysłanej dywanami podłodze, i paru kolorowych, miękkich poduszek.

Książę usiadł na jednej z nich, malowanej w purpurowe petunie, i skrzyżował nogi. Miał dzisiaj na sobie kremowy jedwabny garnitur — zupełnie nie w stylu George'a — i krawat haftowany w maleńkie, czerwone figurki, grające w tenisa. Spod marynarki widać było bladoliliową koszulę, a spod uniesionych nieco spodni wyglądały białe jedwabne skarpetki w czerwone paski. Z lewej kieszonki sterczała mu chusteczka, również biała, jedwabna, ze szlaczkiem liliowego koloru. Jednym słowem wszystko, co miał na sobie, było kosztowne, teatralnie efektowne, ale podobnego stroju żaden Anglik nie umieściłby w swojej szafie. Wszystko to, będąc absolutnie nie w stylu George'a, czyniło młodego Włocha jeszcze bardziej ponętym i jeszcze silniej podkreślało jego słowa, kierowane do Posy łamaną francuszczyzną.

Posy siedziała wśród purpurowych poduszek na niskiej kanapce przy stole, na którym postawiono herbatę. Miała dzisiaj na sobie peniuar z krepki koloru świeżej mimozy (oczywiście upominek od Sybili). Jej małe pantofelki i długie, jedwabne pończochy były mniej więcej tego samego koloru co opalone, obnażone w tej chwili ramiona.

— Taki piękny kształt rąk! Ramiona jakby wyrzeźbione — zachwycał się młody Włoch. Żaden z Anglików, których tylu Posy spotkała w swym życiu, nie potrafiłby się zastanawiać nad takimi szczegółami. Książę tymczasem ciągnął dalej: — A jaka bielutka szyja! Kto pani dał ten klejnocik, który pani stale tak nosi?

Posy, odłożywszy papierosa, podniosła rękę do cienkiego złotego łańcuszka, wiszącego na szyi jak talizman.

— To jest upominek od mojego narzeczonego.

— Co takiego? — zawołał książe, prostując się nagle i otwierając szerzej swe czarne oczy. — Mademoiselle jest zaręczona?

— Ależ tak — odparła Posy — pan nie wiedział?

— Nigdy mi pani o tym nie mówiła. Dlaczego?

— Bo zawsze sądziłam, że wszyscy o tym wiedzą. Wydaje mi się, że całe życie byłam zaręczona. Zresztą, pan tego nie wiedział?

Wyciągnęła rękę, na której widniał pierścionek od George'a, z perłą i turkusem. Zapomniała w tej chwili o dwóch rzeczach: przede wszystkim, że mężczyźni przeważnie nie zwracają na to uwagi, czy któraś z ich znajomych nosi zaręczynowy pierścionek, a po drugie — że na kontynencie zaręczynowe pierścionki nosi się na innej ręce.

— Zadziwiająco — szepnął Książe. — A te zaręczyny, kiedy się to stało?

— Stało? — (Czy Książe wyobrażał sobie, że zaręczyła się w ciągu tych kilku godzin, podczas których jej nie widział?)

— Jestem zaręczona od lat.

Jeszcze nigdy w życiu nie słyszała podobnie zdziwionego tonu, jak teraz, kiedy młody Włoch powtórzył:

— Od lat?

— Zaręczyłam się nie mając jeszcze lat osiemnastu, a teraz mam dwadzieścia dwa — nie, dwadzieścia trzy.

— A pani narzeczony — czy to jakiś starszy człowiek?

— Nie wiem, co pan przez to rozumie — zaśmiała się Posy. — Mój narzeczony ma dwadzieścia sześć lat.

— I gdzie jest?

—Oczywiście w Anglii.

—W Anglii, a pani jest tutaj? — zawołał Książę z dziwnie nieszczerym uśmiechem. Wrzucił nie dopalonego papierosa do małej popielniczki, wstał, podszedł do okna, wrócił i zatrzymał się, spoglądając na Posy. — On tam, a pani we Francji?

—Przecież tylko na trzy tygodnie!

—A jeżeli?... Ja, gdybym miał szczęście być zaręczony z mademoiselle, nie pozwoliłbym na to, żeby moja narzeczona podróżowała po obcych krajach. Nigdy bym się na to nie zgodził, by w mojej nieobecności ktoś patrzył na nią, by jakiś mężczyzna mógł się nią zachwycać. Nie byłbym taki spokojny, gdybym ją stracił z oczu.

—Nie byłby pan? Ale, widzi pan, George jest Anglikiem. My, Anglicy, zapatrujemy się całkiem inaczej na niektóre rzeczy.

—Dlaczego?

Posy odwróciła głowę, unikając spojrzenia jego czarnych, aksamitnych oczu i spojrzała przez okno na zarośnięte kwiatami wybrzeże, na widoczne w dali Morze Śródziemne i na uwijające się po zatoce żaglowe łódki.

—Nie mam pojęcia, dlaczego. Jednak jesteśmy inni.

—A co on robi, ten narzeczony, jaki ma zawód?

—Uczy małych chłopców w szkole swego brata.

—Uczy? A okazuje się, że sam dotychczas nie mógł się niczego nauczyć?

—Książę, na to nie mogę pozwolić — Posy wyprostowała się na poduszce.

—Przecież pan go nigdy w życiu nie widział.

—Nasze spotkanie byłoby całkiem zbyteczne. Orientuję się dokładnie, że ten pani narzeczony absolutnie nie zna ludzi — podchwycił gorączkowo Książę. — Zaręczył się z piękną dziewczyną, która mogłaby być oblubienicą króla! A potem pozwala na to, żeby to narzeczeństwo trwało lata. Czyż krew się w nim nie burzy?

—Nie pozwolę panu mówić tak o człowieku, który ma zostać moim mężem. Jediną odpowiedzią z jego strony było pełne ironii pytanie: — Kiedy?

—Przepraszam, nie dosłyszałam.

—Pytam, kiedy ta ryba zostanie pani mężem?

Znowu Posy odwróciła głowę, rozkoszując się widokiem spokojnej fali Morza Śródziemnego. Tym razem uczyniła to, aby ukryć uśmiech. W żaden sposób nie mogła się zdobyć na powagę. Czy ten młokos był nielojalny, że o nieobecnym George'u śmiał mówić w ten sposób i śmiał go nazywać rybą? Nie. „Widocznie Księżę z niczym się nie liczył — pomyślała Posy — widocznie nie może tego pojąć, że my jesteśmy w takich stosunkach, jak brat z siostrą! Ma zupełnie inny pogląd na to wszystko. Jak to dobrze, że nigdy nie spotka się z George'em. Drogi, poczciwy George zawsze twierdzi, że cudzoziemcy nie potrafią obchodzić się z kobietami. Zresztą ten jest dwudziestoletnim Włochem, młodziutkim chłopcem, tylko dwa lata starszym ode mnie w pamiętnym roku zaręczyn! Kobiety są zawsze starsze na swój wiek. Mogłabym być jego matką...”

Zabrnęła już tak daleko, gdy nagle Księżę bez słowa ostrzeżenia ukląkł tuż przy niej, również bez ostrzeżenia chwycił ją w ramiona zupełnie nie tak, jakby była jego matką, lecz właśnie tak, jakby „mademoiselle była nie z tamtym, lecz z nim zaręczona”...

— Tylko raz... tylko jeden jedyny raz — szeptał gorąco, pochylając się nad kształtnym uszkiem Posy i muskając jej czoło swą jedwabistą czupryną. Otoczył ją muskularnymi, wygimnastykowanymi dzięki tenisowi ramionami i zmusił, aby się położyła na poduszkach. Pochylony nad nią, przycisnął do poduszek jej kształtną ciemną główkę.

Nieoczekiwana myśl przemknęła teraz Posy przez głowę. Ani ona, ani też nikt inny nie odgadłby na pewno, o kim w owej chwili pomyślała. Zjawa męskiej ożywionej twarzy ukazała się teraz między nią i pochylającym się nad nią Księciem. Przymknęła oczy. Przez mgnienie sekundy ta twarz ukazała się jej, jakby wyłoniona z najgłębszych wspomnień. Widziała połysk rudych włosów, widziała sieć zmarszczek na czole i śmiejące się usta...

Jeffrey!

Jak błyskawica, zjawa zniknęła. To przecież ten Włoch całował ją w usta, w szyję i ramiona. Musiały to być takie same pocałunki, jakimi ongiś Królewicz budził Śpiącą Królową.

Lecz w tamtej baśni występował Królewicz, który potem Śpiącą Królową pojął za żonę. Nie obcy, nie cudzoziemiec, który wdarł się tutaj, sztydził z jej legalnego narzeczonego, nazywając go rybą, a potem zaatakował „własność” tamtego.

Posy zerwała się, chwyciła chusteczkę i wytarła usta, jakby chciała zetrzeć z nich naturalną czerwień.

— Proszę natychmiast wyjść! Nigdy więcej nie chcę pana widzieć!

Bywają mężczyźni, którzy wiedzą, kiedy powinni odejść.

Nigdy więcej nie miała go zobaczyć.

Siedziała, patrząc na niedopałek papierosa, z którego jeszcze unosił się dymek, przybierając kształt wielkiego znaku zapytania. Zaczerpnęła w piersi powietrza.

Czyżby śniła? Czy ten włoski chłopak istotnie szeptał:

„Pocałuj mnie”? Czyżby mu się odwzajemniła pocałunkiem! Bezwstydne! Zbyt okropne. Zdarzenie, którego powinna się wstydzić, o którym powinna zapomnieć jak najprędzej. Żadna z jej dawnych przyjaciółek, członkiń Instytutu Kobiet nie była chyba nigdy bardziej zgorszona, niż ona sama była w tej chwili. Na purpurowych poduszkach, do których ją przed chwilą przycisnęła, dostrzegła coś błyszczącego. Był to cienki złoty łańcuszek, który zgubiła. Talizman od George'a, mały złoty kominiarczyk, spadł z łańcuszka i dokądś się potoczył. Zaczęła go szukać. A może były szpary w podłodze?

Dotychczas nigdy tych szpar nie dostrzegła.

Przy obiedzie Guy Turner powiedział:

—Mam was pożegnać w imieniu naszego młodego przyjaciela. Wsiadł przed godziną do swojej motorowej łodzi i podobno odплыł na Korsykę. Bardzo żałuję, choćby ze względu na to, że Posy jeszcze trzy dni będzie z nami. Czy miałaś z nim jakąś sprzeczkę?

—Skądże by, na miłość boską? zawołała Posy, mając minę bardziej niewinną, niż zdawała sobie z tego sprawę.

O tej krótkiej chwili zapomnienia nie potrafiłaby nawet powiedzieć tak wyrozumiałej osobie jak Sybila. Ale na pewno opowie o wszystkim George'owi, gdy wróci do domu!

Nie przypuszczała teraz, ile czasu jeszcze minie, zanim wróci znowu do Anglii i ile różnych rzeczy się stanie, zanim znowu będzie rozmawiała z George'em!

VI. SŁONECZNE INTERMEZZO

Nadszedł ostatni błękitny dzień plażowania przed wyjazdem Posy.

Przygnębiona i zniechęcona biegała z domu na wybrzeże i z powrotem, zbierając parasolkę, czerwony kąpielowy czepek, powieść Colette, żółtą kopertę wypełnioną zdjęciami, flakoniki z perfumami i te wszystkie drobiazgi, których jest tak wiele, gdy się człowiek pakuje i wraca do domu z przyjemnego urlopu.

— A nie zapomnij swojej wygranej papierośnicy — przypominał jej Guy Turner z uśmiechem.

Z poważną miną Posy zakomunikowała mu, że papierośnicę podarowała Berthe, prowansalskiej pokojówce. Przecież z taką papierośnicą, przystrojoną rysunkiem Ledy z łabędziem, nie mogłaby się pokazać w Anglii!

— Nasza Posy jakoś bez humoru — rzekł major Turner do żony i przypuszczając, że zły nastrój Posy miał jakiś związek z młodym Włochem, zaproponował, aby pozostawiła pakowanie na ostatnią chwilę i wybrała się z nim na przejażdżkę samochodową. Zjedzą drugie śniadanie na którejś z okolicznych plaż, gdzie Posy jeszcze nie była. Sybila oczekiwała dzisiaj wizyty jakichś krewnych, a Guy takich wizyt ogromnie nie lubił, toteż był zadowolony, że może wydostać się z domu.

Posy jeszcze ciągle zastanawiała się nad tym, czy wszystko szczerze wyznać George'owi? Lecz im głębiej myślała o tym problemie, z tym większą rozkoszą zażywała ostatniej kąpieli, z dala od zatoki, gdzie codziennie kąpała się z Księciem, z tym zabawnym chłopcem, którego teraz na zawsze chciała wykreślić ze swej pamięci. Rozkoszowała się przejażdżką, podczas której Guy rozmawiał z nią o rzeczach obojętnych, i cieszyła się widokiem nie znanego wybrzeża, na którym wznosił się piękny budynek kasyna. Wynajęli kabiny i przygotowali się do kąpieli jeszcze przed śniadaniem.

— Chodźmy już, Guy! — niecierpliwiła się coraz bardziej Posy. — Pobiegnijmy teraz szybko do tratwy.

W odległości dwustu jardów, na błękitnych falach zatoki kołysała się tratwa, na której zbudowano trampolinę. Wysokie, wiązane rusztowanie z drzewa koły-

sało się pod ciężarem trzech czy czterech bardziej ruchliwych i energicznych kąpielowiczów.

— Moje drogie dziecko, ja bym nie radził przyłączać się do tych wariatów, którzy chcą koniecznie skreślić kark — zawołał Guy, wkładając monokl. Miał na sobie kąpielowy trykot w żółte i brązowe paski, w którym sprawiał wrażenie wytrenowanego pływaka. — Czuję już w moich kościach...

„Nic nie czujesz; póki się jest młodym, nie czuje się własnych kości”, brzmiały na pewno odpowiedź Sybili.

— ...czuję już w kościach, że nadchodzi burza. Ostatniej nocy miałem wyraźny atak malarii, więc licząc się ze swoim wiekiem, pozostanę tutaj i będę czekać na ciebie z drugim śniadaniem.

— Wobec tego do widzenia — zawołała Posy. Zanurzyła się w ciepłej wodzie Morza Śródziemnego i po chwili znowu wyskoczyła na brzeg.

Przedostanie się do trampoliny nie było rzeczą tak łatwą. Na krawędzi tratwy siedzieli odpoczywając dwaj angielscy uczniowie z zanurzonymi w wodzie długimi chudymi nogami. Obok nich leżał rozciągnięty mężczyzna w granatowym trykocie i wyglądał zupełnie jak wygrzewająca się na słońcu jaszczurka. Gdy Posy dopłynęła do tratwy i podniosła swą smukłą nogę, aby wejść, mężczyzna nieco się usunął i usiadł, by mogła przejść obok niego.

— Czy będzie pani wygodnie? — zapytał grzecznie.

— Zupełnie wygodnie — odpowiedziała Posy wesoło, bo była zadowolona, że może się jeszcze wykąpać przed ostatecznym wyjazdem z Francji. Wskoczyła na tratwę i usiadła na rozgrzanych suchych deskach, mrużąc oczy osłepiona słonecznym blaskiem i spoglądając w stronę brzegu, aby wśród tłumu odszukać brązowo-żółtą postać Guya, którego chciała pozdrowić skinieniem. W pewnej chwili przypomniała sobie nagle, że nie powiedziała „dziękuję” i uczyniła to natychmiast.

Na dźwięk jej głosu siedzący obok mężczyzna obejrzał się pośpiesznie, mierząc zaciekawionym wzrokiem nimfę w czerwono-białym trykocie i w czerwonym czepku na głowie.

— Jak to...! — zawołał teraz akcentem ni to angielskim, ni to francuskim. — Pani mnie naprawdę nie pamięta?

Mężczyzną tym był Jeffrey O'Brien.

Po chwili już siedząc razem na kołyszącej się trawie, zawieszeni między błękitnymi falami morza i błękitnym bezchmurnym niebem, śmiali się uszczęśliwieni, jak brat i siostra, którzy się spotkali po długiej rozłące. Mówili do siebie

czule, nie zwracając uwagi na obecność dwóch angielskich chłopców. Zadawane pytania padały prawie jednocześnie:

—Co tutaj robisz?

—A co ty tutaj robisz?

—Gdzie byłaś?

—A ty?

—Gdzie jest mój stary przyjaciel, George? Na plaży?

—Nie. Pracuje. W domu.

—A gdzie teraz mieszka?

—W Sussex. Jest zastępcą kierownika w szkole swego brata, w Harold-Hurst...

—Sprawiasz takie wrażenie, jakby ci to wszystko zupełnie odpowiadało! Lubisz tę miejscowość?

Posy zaśmiała się.

—Tak, ale... widzisz, ja tam jeszcze nie mieszkam!

—Co chcesz przez to powiedzieć? Dziewczyno, na miłość boską, czy chcesz powiedzieć, że jeszcze nie jesteś żoną George'a? — dziwna zmiana, jaką trudno byłoby określić, zaszła teraz w twarzy młodego człowieka, który po chwili milczenia dorzucił: — Bardzo przepraszam, ale byłem pewny, że już od lat jesteś panią Stirlingową.

—Nie. Ślub został odłożony. George miał dostać inną posadę, ale jej nie dostał. Ślub miał się odbyć w następnym roku, tylko szkoła nie rozwijała się tak, jak się tego wszyscy spodziewali. A w rok później znowu nam coś przeszkodziło.

W następnym roku... Później zaczęto budować nowe skrzydło, w którym mamy mieszkać, wiesz przecież, że nigdy nie wiadomo, jak długo potrwa budowa. Posy tłumaczyła to wszystko jednym tchem, bo czuła, że dawny przyjaciel George'a nie może pojąć, dlaczego George w ciągu tylu lat jeszcze się z nią nie ożenił. — A później... Ach, tak, prawdopodobnie ślub odbędzie się w przyszłym roku — mówiła dalej szybko, nie pozwalając mu zadać żadnego pytania.

Trudno mi uwierzyć, że spotkaliśmy się tutaj w takim tłumie ludzi!

- Ostatnio ja wszedłem do ciebie przez okno, a teraz ty przypląnęłaś do mnie z morza śmiał się Jeffrey, uszczęśliwiony tym nieoczekiwanym spotkaniem. — Czy wiesz, że często o tobie myślałem? — zapytał z czułością, lecz nie tak, jak wypowiedziałby te słowa młody Włoch.

Patrzył na Posy, ale także w inny sposób, niż Księżę zwykł był na nią patrzeć. Jeffrey był szczery, naturalny i dobroduszny. Wesołość i serdeczność odzwierciedlały się w jego oczach, gdy patrzył na dziewczynę siedzącą tuż obok. — Nie mam nadziei, żebyś mi się odwzajemniła chociaż myślą, Posy.

— Owszem, tak. Myślałam o tobie dwa dni temu!

- Naprawdę? — nie pytał, co o nim myślała, bo sama myśl już mu zupełnie wystarczyła. Ona tymczasem pytała siebie: „Co mnie skłoniło do tego, że przyszedł mi na myśl Jeffrey O'Brien wówczas, gdy obejmował mnie Księżę? Przecież są zupełnie do siebie niepodobni. Nie ma chyba na świecie bardziej niepodobnych mężczyzn. A jednak właśnie wówczas pomyślałam o Jeffreyu. W jakim dziwnym musiałam być wtedy nastroju!”

Powiedziała pośpiesznie:

— A co ty robisz, Jeffrey?

Co robię? Jestem pilotem. Tak, to mój zawód. Mówiłem ci kiedyś, że oszalałem na punkcie lotnictwa.

— Oczywiście! Przysłałeś mi tę piękną broszkę ze skrzydłami!

— A tyś mi napisała taką piękną karteczkę!

- Bardzo często noszę tę broszkę! — wyznała Posy.

— Doskonale! A ja zawsze nosiłem przy sobie tę karteczkę! — odwzajemnił jej się Jeffrey.

— Ale opowiedz mi o swoim lotnictwie!

I gdy Jeffrey swoim wesołym, dźwięcznym, zniecierpliwionym trochę głosem opowiadał o tym, że utopił wszystkie swe oszczędności kupując samolot, uświadomili sobie dopiero, że angielscy uczniowie byli jeszcze na tratwie i że nadstawili teraz uszu, przysłuchując się ulubionemu tematowi.

— Mój własny samolot. Wynajmuję go do szybkich transportów. Gdzie mieszkam? Przez dwa lata mieszkałem stale w Stanach Zjednoczonych, potem w Buenos Aires, a później przyjechałem tutaj jako opiekun zamożnego ucznia. Spędzamy cudownie czas. Na wiosnę pojechałem do Innsbrucku, gdzie mieszkają krewni mojej matki. Wiesz o tym, że to są Austriacy? Mój ojciec pochodził z hrabstwa Clare...

— „Ładny melanz, siostrzyczko!” — zacytowała Posy z uśmiechem. Był teraz bardziej mężczyzną niż wtedy, gdy się po raz pierwszy spotkali w górach. Niższy od George'a i Księcia, lecz dobrze zbudowany. (Zadziwiający był ten dołek w szyi, wyłaniający się spoza granatowego trykotu kąpielowego!) Delikatny w obejściu, ale jego zachowanie cechowała pewność siebie. Jego wycho-

wanie zawsze zdradzało Irlandczyka, potrafił nawet uśmiechać się po irlandzku; uśmiechał się całkiem inaczej niż Księżę.

—Mów dalej — prosiła Posy, obejmując kolana obiema rękami. — Opowiedz mi o swojej pracy. Chyba jesteś z niej zadowolony?

—Oczywiście, że jestem zadowolony. Wybrałem samoloty, bo choć to brzmi trochę niedorzecznie, ale lubię szybować ponad krajami, kiedy w ciągu jednej godziny mogę usłyszeć trzy czy cztery różne języki. Lubię to wybrzeże i ten ruch na nim — odgarnął włosy opadające mu na czoło. Chociaż były teraz mokre, miały odcień połyskującej miedzi. „Czerwonowłose jestestwo”, ktoś tak kiedyś powiedział o Jeffreyu O’Brienie, ale kto? — Zastanawiała się Posy. Jeffrey mówił dalej: — Latanie między Paryżem i Monte Carlo jest dosyć opłacalne! Wprawdzie taka praca mi nie odpowiada, ale gdy człowiekowi są potrzebne pieniądze, każda robota jest dobra! Unoszenie się w powietrzu to rozkosz — szczególnie dla kawalera...

— Oczywiście! To musi być emocjonujące! — westchnęła Posy. Pragnęła, aby to pogodne, słoneczne intermezzo na kołyszącej się na falach tratwie trwało jak najdłużej. Tak siedzieć, mając obok dwóch przysłuchujących się chłopców, podczas gdy Jeffrey opowiadał o swej pracy — dlaczego to nie może trwać wiecznie? „Jaka szkoda — myślała Posy niedorzecznie — jaka szkoda, że człowiek nie może po wiedzieć »sto lat!« życia, jak niektórzy panowie mówią »sto lat« do pocziwego wuja, gdy napełniają winem szklanki. Gdyby można było czekać do tej chwili, kiedy słońce przestanie świecić, gdyby można było wiecznie trwać w szczęściu przy boku oddanego przyjaciela i zawołać »sto lat!«, mając na myśli: »Oby przez całe życie nie zaszła żadna zmiana!« Tak jest dobrze, jak w tej chwili. Niech to trwa wiecznie... precz ze zmartwieniami, nudzącymi klientkami, precz z uczuciem zawstydzienia, precz z ludźmi, których się nie chce widzieć...” Gwar rozmów zebranych na wybrzeżu tłumów dobiegał do nich niewyraźnie z daleka. Lecz nagle Posy zapragnęła wrócić na wybrzeże — do Anglii — i opowiedzieć George'owi o zdarzeniu z Księciem.

Usłyszała głos Jeffrey a:

—Czy możesz sobie mnie wyobrazić siedzącego w biurze od dziesiątej do szóstej, w biurze bogatego wuja w Nowym Jorku? Coś takiego byłoby niemożliwe. Nie wytrzymałbym chyba. Powiedziano mi, że to jest dla mnie jedyna kariera od chwili, kiedy moi rodzice umarli, straciwszy uprzednio większą część majątku, lecz ja wujowi odmówiłem, choć on się wściekał. Należy do tych ludzi, którzy nienawidzą braku rozwagi — znasz chyba takich.

—Owszem, znam — odparła narzeczona George'a.

—Ale po co się martwić? Przecież wszystko w życiu mija, nie sądzisz?

Rozległy się nieartykułowane, lecz entuzjastyczne pomruki ze strony przysłuchujących się dwóch angielskich uczniów. Posy wyznała z uśmiechem:

—Czy wiesz, że ja jeszcze nigdy w życiu nie latałam?

—Co takiego? Musimy się o to postarać. Pierwszy raz musisz polecieć ze mną, Posy. Obiecujesz?

TLR

—Jeżeli mnie weźmiesz z sobą.

—Czy cię wezmę? — zaśmiał się. — Więc, obiecujesz. Jesteś wolna dziś po południu?

—Owszem, przypuszczam, że tak. Muszę tylko zapytać... — Podniosła się. Jej czerwono-biały trykot już zupełnie wysechł na słońcu. Tratwa pochylała się.

—Co, chcesz już odejść?

—Muszę — odpowiedziała. — Wprawdzie nie chce mi się ruszać, jestem strasznie leniwa... (Ach, jakże nie chciała się teraz ruszać ani stąd odchodzić! Jakże ciężko by jej było teraz opowiedzieć narzeczonemu o pocałunku tamtego mężczyzny! „Jestem tchórzem — strofowała się ale żeby coś takiego się stało, iż można by to było odłożyć!”)

Powiedziała Jeffreyowi, że musi wracać do majora Turnera, który czeka na nią z drugim śniadaniem.

- Oczywiście znasz Turnerów, z którymi tutaj jestem?

- Jak to, przecież ty nas ze sobą zaznajomiłaś... Armstrongowie tego wieczoru w Oxfordzie. Byliśmy u nich na wieczorku! zaśmiała się na wspomnienie nocy, jaką wówczas przeżyła. — Pamiętasz Sybilę Armstrong, prawda? Właśnie ona jest teraz majorową Turner. Jeffrey! Byłeś przecież wtedy, gdy zerwałam zaręczyny, posądzając George'a o to, że się kocha w Sybili! Przecież to ty odwiozłeś mnie z powrotem do hotelu „Mitre”?

— Miałem wówczas pewne nadzieje — powiedział Jeffrey, składając przed nią rycerski ukłon. Ty nawet nie zdawałaś sobie sprawy z tego, że jedziesz ze mną autem, prawda?

- Nie. Pamiętam, że tej nocy miałeś do mnie anielską cierpliwość... - westchnęła, myśląc o tym, jak proste wydawało jej się wtedy życie! Zmieniliśmy się od tego czasu ogromnie!

Strasznie przyznał Jeffrey z bladym uśmiechem. Ach, jaki był sympatyczny, jaki przyjacielski, zupełnie jak brat (Posy odczuwała teraz ulgę po niedawnym przejściu z Księciem).

- Jeffrey, pójdziesz spotkać się z Guyem i zjesz z nami śniadanie?

- Dziękuję, bardzo chętnie. Czy teraz?

- Tak. Jeszcze przedtem wejść na trampolinę uśmiechnęła się. Trzeba po raz ostatni dać porządnego nurka!

Uważaj na tych wiązaniach, Posy, są trochę zbutwiałe ostrzegł ją Jeffrey. — Deska też miała być wczoraj zdjęta i naprawiona. Nasi kochani przyjaciele Francuzi mają dziwny zwyczaj związywania drzewa sznurkiem, ostrożnie...

Lecz na ostrzeżenie było już za późno. Posy wbiegła po kilku pochyłych stopniach na sam szczyt trampoliny. Gdy znalazła się już na szczycie, drewniana balustrada usunęła jej się spod ręki i wpadła do wody. Posy straciła równowagę. Zsunęła się ze stopni, lecz uchwyciła się za jedną z desek tratwy i zawisała tak z nogami zanurzonymi w wodzie.

„Da sobie radę”, pomyślał Jeffrey, lecz na chwilę stracił z oczu czerwony czepek, bo pochyliła głowę, aby otrząsnąć wodę wdzierającą się jej do uszu.

- W porządku, prawda? zapytał Jeffrey pośpiesznie.

- Czuję się zupełnie dobrze... — odparła Posy, ale jej głos trochę drżał tylko... tylko mam wrażenie, że podrapałam sobie nogę, gdy spadałam...

- Co takiego? Zaraz cię wyciągnę...

Podskoczył na krawędź tratwy i podniósł Posy w górę. Jej noga ociekała krwią. „Podrapanie” okazało się trzema głębokimi ranami z przyczyny gwoździ, które sterczały w zbutwiałych wiązaniach. Jednym słowem, to zdarzenie nie było takie przyjemne.

VII. KONSEKWENCJE WYPADKU

Jeffrey O'Brien postanowił działać sam. Ułożył Posy na tratwie i jednemu z angielskich uczniów kazał usiąść obok, aby uchronić leżącą od oślepiającego blasku słonecznych promieni. Jednocześnie pokazał chłopcu, jak powinien trzymać zranioną nogę leżącej, aby do ran nie dochodziła morską wodą. Drugi chłopiec miał wraz z nim popłynąć na brzeg, by odszukać majora Turnera.

— Będziemy się śpieszyli, żeby jak najprędzej wrócić, Posy.

— Ależ nie martw się, nie martw się o mnie, mnie jest tutaj zupełnie wygodnie — odpowiedziała Posy, siląc się na spokój.

Jej drobna twarzyczka była blada, lecz opanowana. Nie sprawiała wrażenia ani zalęknionej, ani też odczuwającej ból. Była przecież „Anielką, która potrafi cierpieć”.

W głębi duszy Jeffreya jakiś tajemny głos powtarzał, chcąc nieśmiało dodać otuchy dziewczynie: „Jesteś przecież dzielna... Nie wolno ci płakać!... Głowa do góry!”

— Bądź grzeczna — rzekł tylko krótko, zanim zanurzył się w wodę i zręcznym kraulem popłynął w stronę brzegu. Serce płonęło mu teraz tak samo jak włosy, bo należał do ludzi przejmujących się ogromnie czyimś bólem, szczególnie cierpieniem młodej dziewczyny, która teraz była tak dzielna jak spartański wojownik.

Mógł przecież być dumny ze swojej przyjaciółki (która w duchu samą siebie nazywała tchórzem...), bo zachowywała się po bohatersku.

— Czy ja pani nie sprawiam bóm? — pytał już po raz setny młodszy uczeń siedzący na tratwie, trzymając w górze zranioną nogę Posy. — Paskudna historia, a ja także miałem ochotę dzisiaj nurkować.

— Czuję się zupełnie dobrze — zapewniała go Posy, uśmiechając się do niego przyjaźnie.

Nie wypowiedziała ani słowa skargi. Miała tylko uśmiech, którym odpowiadała na każde usprawiedliwienie chłopca i z zainteresowaniem słuchała jego opowiadania o tym, jak z bratem przyjechał na wybrzeże, i o tym, że są doskonałymi pływakami i że brat na pewno dotrze do brzegu pierwszy, a wtedy dowie się, gdzie można znaleźć lekarza...

*

Osiemnaście szwów zrobił doktor opatrując nogę Posy już po tym, gdy przeniesiono ją na łódkę, zabrano na wybrzeże i przewieziono do lśniącego białą ambulatorium. Zacisnąwszy mocno zęby, Posy nawet nie mruknęła.

—Odważna dziewczyna. Jesteś niezwykle odważna — mówił Jeffrey, uśmiechając się do niej. Chwycił ją w ramiona i spiesźnie wyniósł z tej białej sali tortur. Na zewnątrz krótka piaszczysta uliczka przepelniona była gapiami. Porzucili plażę, aby przyjrzeć się temu niezwykłemu zdarzeniu.

—Proszę się rozejść — wołał Jeffrey z uśmiechem, lecz i błyskiem gniewu w oczach. Uniósł Posy jeszcze wyżej, aby nikt jej nie mógł dotknąć i tak przeniósł ją do pobliskiego wielkiego hotelu.

—Nic mi nie jest — uśmiechała się Posy, patrząc na przyjaciela. — Nie bądź taki zmartwiony, Guy! — zwróciła się do majora Turnera, który z dwoma angielskimi chłopcami szedł za Jeffreyem.

—Jesteśmy na miejscu. — Był to wielki hotel, w którym Jeffrey pragnął ją ulokować. Budynek otaczał duży sympatyczny ogród. Białe obrusy na stolikach restauracyjnych powiewały pod wpływem wiatru, który buszował w gałęziach morwowych drzew. — Telefonowałem już tutaj i kazałem wszystko przygotować. Madame! — Wysoka krótkowzroczna kobieta o czarnych wąsikach, w purpurowym szlafroku, zbliżyła się do niego i załamała dłonie na widok rudego mężczyzny w stroju kąpielowym, niosącego drobną, obandażowaną dziewczynę, okrytą czystym, białym lekarskim kitem. — Czy pokój jest gotowy dla mademoiselle?

Wszystko gotowe, monsieur O'Brien — odpowiedziała madame, spoglądając przyjaźnie na swego nowego gościa. — Wszystko z wyjątkiem tego, że jeszcze pańskich rzeczy nie kazałam przenieść, bo nie wiem, na który pokój pan reflektuje.

- Wszystko mi jedno, którykolwiek — zawołał pośpiesznie Jeffrey, po czym zwrócił się z wyjaśnieniem do majora Turnera: - Wydałem polecenie, żeby młoda angielska dama, która uległa wypadkowi, zamieszkała w moim pokoju, bo jest to jedyny pokój z balkonem wychodzącym na morze. Chodźmy na górę.

Posy, okrytą dziwnym peniuarem, ułożono na szerokim francuskim łóżku, w dużym pokoju, którego okna były osłonięte weneckimi zasłonami, wyglądającymi w blasku słonecznym jak czarne płachty... Wszystko, co ją otaczało, było

pełne czułości, wesołe, braterskie, bo to wszystko zaaranżował dla niej... czyżby Jeffrey? Dopiero potem zdała sobie sprawę z tego, że sprowadzono Sybilę z wszystkimi jej (Posy) rzeczami i usłyszała, jak Sybila mówiła:

—Uważam, że nikt nie mógł się tym lepiej zająć od Jeffreya. Takiego mężczyzny jeszcze nigdy nie spotkałam w swoim życiu.

—Jeffrey obiecał, że mnie zabierze z sobą do samolotu — usłyszała Posy własny głos. — Czyś zrezygnował z tego, Jeffrey?

Zdawała sobie sprawę z obecności Jeffreya, a właściwie widziała jego szerokie ramiona znaczące się na tle białych drzwi. Zbliżył się do niej o krok.

— Oczywiście, że nie zrezygnowałem, musisz po raz pierwszy polecieć ze mną. Tylko trzeba, żebyś była zupełnie zdrowa!

A później głos Sybili:

Pójdę zatelegrafować do firmy Evershalt... Lekarz powiada, że przez dwa tygodnie nie będzie się mogła ruszać... Później pojedzie z nami autem z powrotem. Ach, cudownie... więc moja sypialnia będzie w sąsiedztwie, Jeffrey? Doskonale. Co takiego? Naturalnie, że nie mam zamiaru odchodzić od ciebie, Posy!

—Jesteście dla mnie wszyscy tacy dobrzy — wołała podnieconym głosem Posy Wynn, wychylając twarzyczkę z białej miękkiej poduszki. — Nie zasłużyłam na taką dobroć. — Uśmiechnęła się, oczy jej zabłyśły i policzki spłonęły rumieńcem. Zupełnie naturalne, że miała podwyższoną temperaturę. — Powinniście tu wszyscy mnie zostawić, naprawdę, ty i Guy, i Jeffrey, nie powinniście robić sobie ze mną wiele kłopotu. — (Nie bredziła jeszcze, lecz gorączka podnosiła się coraz bardziej). — Wiesz, powiem ci lepiej szczerze, że sama przyczyniłam się do tego wypadku! — zsunęła się na krawędź łóżka. — Za każde przewinienie spotyka człowieka kara. I mnie ta kara należy się w zupełności za to, że przystąpiłam do konkursu na najpiękniejsze nogi, choć wiedziałam, że George byłby z tego niezadowolony...

—Czy teraz pora, żeby myśleć o George'u? — zaprotestowała Sybila. — Przestań myśleć o nim, Posy, kochanie, i spokojnie zaśnij...

—Mam teraz na nodze osiemnaście szwów i Bóg wie, ile metrów bandaża. Zawsze bywają takie skutki — zwierzała się Posy gładkiej ścianie, obitej błękitną tapetą, malowaną w purpurowe róże. — Należało mi się to, bo bawiłam się lepiej od George'a, lepiej nawet, niż bawiłam się trzy lata temu, gdy byłam jeszcze tam!

(Później Posy była pewna, że nigdy czegoś takiego nie powiedziała! Oskarżała nawet Sybilę, że sobie to wszystko zmyśliła!)

— Dosięgła mnie sprawiedliwość — powtarzała Posy co chwilę, śmiejąc się dziwnie nieszczerze. — I to wszystko dlatego, że usłuchałam Księcia!

TLR

VIII. POWRÓT DO RZECZYWISTOŚCI

Zaręczone dziewczęta, czy zdarzyło wam się kiedyś podczas narzeczeństwa spędzić długie, cudowne, pełne wrażeń wakacje z daleka od obiektu waszej miłości?

Jeżeli tak (wybaczcie to niedyskretne pytanie), to jakiego doznałyście uczucia, gdyście wróciły do ukochanego?

Może mówiłyście sobie wówczas: „Teraz jest cudownie. Cały ten czas spędzony na Riwierze bawiłam się nieźle, ale potem ma człowiek takie wrażenie, jakby przeczytał powieść albo zobaczył sztukę w teatrze. Owszem, interesujące w swoim stylu, ale to przecież nie jest życie! Ci wszyscy ludzie, których poznałam, kimże oni byli? «Tylko postaciami w poszukiwaniu Autora!» Strasznie nie-realni. Śmiałam się, rozmawiałam, grałam w tenisa, zażywałam kąpieli, a nawet flirtowałam z mężczyznami — ale jakież to wszystko było sztuczne — po prostu nie zdaję sobie już sprawy z tego, że tam byłam! Czekałam tylko tej chwili, kiedy rozpocznę na nowo właściwe życie. A tym życiem jest dla mnie mój ukochany. Wrócić do niego — Boże, co za szczęście! O ile więcej go teraz kocham! Bo przecież ani jego nie zapomniałam, ani też on zupełnie nie zmienił się wobec mnie. Jest taki wyrozumiały, taki interesujący. Taki człowiek — ach, szczęśliwa jestem, że będę mogła resztę życia spędzić razem z nim, zamiast przebywać w towarzystwie tamtych. Jednym słowem, wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej!”

Doznałyście takiego uczucia? Widocznie siła nieobecności drogiej osoby potrafi stwarzać cuda. Wobec tego wszystko w porządku. Winszuję!

Z drugiej strony możliwe jest, że czujecie gdzieś na samym dnie serca: „To jest straszne. Co się właściwie stało? Czy on się zmienił? A może ja? Wszystko jest jakoś dziwnie inne. On nawet wydaje mi się jakiś powolniejszy w ruchach. Już nie jest nawet taki przystojny i nie jest taki miły dla mnie. Nie trzeba się przejmować. Czy warto o takie drobnostki robić awantury? Szkoda, że wróciłam tak szybko. Przebywanie z nim razem dziwnie mnie onieśmiela, jakbym nie wiedziała, o czym mam z nim mówić. Ale za to w Monte Carlo (nad morzem lub u moich rodziców, zależnie od sytuacji) spędziłam czas cudownie. W każdym wyjeździe jest to najgorsze, że trzeba kiedyś wracać”.

Czy wiecie, co oznacza takie uczucie? Nieszczęście. Rozumiecie teraz, jak czuła się Posy po powrocie do swego George'a?

A powinna była czuć się bardzo miło. Była przecież tutaj, wróciła do kraju po nieszczęśliwym wypadku i po chorobie, prawie po sześciu tygodniach nieobecności. Powinna była przywieźć mnóstwo nowych tematów, mnóstwo rzeczy, o których należało pomówić.

Chociażby sama podróż do domu. Ta przejeżdżka samochodowa z Turnerami była cudowna! Co za szalony kontrast między tymi jasnymi słonecznymi plażami Lazurowego Wybrzeża a przytłaczającym ogromem Alp, którym Pan Bóg nadał tak samo rozmaite kształty, jak istotom ludzkim! Sybila Turner prowadziła auto (wysławszy uprzednio Błękitnym Ekspresem do domu dzieci z piastunką), a buggatti mknął po górskich drogach, gdzie co kilka kroków wznosiła się wysoka ściana potężnej skały, przesłaniając widok.

Szosa biegła serpentynami między zboczami gór do jakiejś wioski, zawieszonej o dziewięćset metrów wyżej, w której mieli spędzić noc... A potem z Alp na równinę, na długą, bezkresną równinę, prowadzącą przez nizinę Francji, gdzie każdy kilometr oznaczony jest na mapie... I wreszcie dotarli do Wersalu i do północnego wybrzeża, które jest jakby drugą bramą do Anglii, dotarli do szarego deszczowego brudnego portu, przepelnionego rybami i przesiąkniętego ich zapachem!

George wycieczkę samochodową Turnerów zbył krótkim powiedzeniem: — Tak, jestem zadowolony, żeś szczęśliwie wróciła, skarbie.

Czekał na nich na dworcu Victoria, owego piątkowego wieczoru i gdy Turnerowie pojechali do domu, zabrał Posy na obiad do dworcowej restauracji i powiedział jej, że otrzymał zaproszenie dla obojga na niedzielę.

— Nieczęsto się zdarza, żebym niedziele spędzał poza domem podczas szkolnego semestru, Posy! Ale to jest specjalna okazja. Zaproszono nas do domu Rodziców. — (W Harold-Hurst wszyscy dorośli byli podzieleni na trzy grupy: „Personel, Rodziców i Innych”). — Ci państwo mieszkają w pobliżu Maidenhead, w cudownej willi, z pięknym kortem tenisowym. Grałem już tam kiedyś i powiedzieli mi, że będą niezwykle zadowoleni, gdy przywiozę im moją narzeczoną.

— Bardzo mi miło — rzekła Posy obojętnym tonem. Jeszcze ciągle oczami wyobraźni widziała tę bezkresną

francuską szosę, gładką i połyskującą między rozłożystymi drzewami, które wyglądały upiornie w mrokach nocy! Jeszcze ciągle słyszała warkot motoru samochodowego, jeszcze ciągle widziała pochyloną nad kierownicą głowę Sybili.

—Jesteś senna? — zapytał George (jego głos brzmiał jakby zgorszeniem). — Przecież czujesz się już zupełnie dobrze, prawda, skarbie? Noga zupełnie w porządku?

—Ach, naturalnie — powiedziała Posy, patrząc przez oszklone drzwi na mroczną halę dworcową, na przyjeżdżających, odjeżdżających i tragarzy. — Czy tu nie jest strasznie cicho?

—Cicho?

Bo po powrocie do Anglii pierwszą rzeczą, jaka uderza powracającego wędrowca, jest właśnie ta cisza, ten typowy brak hałasu, do jakiego Anglicy już przywykli. Cóż za żywość ruchów, cóż -a wymowny gwar cechuje Francuzów! (Chociaż właściwie niewiele w życiu robią, jakby powiedział poczciwy Guy). „Ach, nedorzecznością jest ciągle myśleć o podróży, z chwilą gdy jestem znowu przy boku George'a...”

George mówił teraz o szkole, o budowie nowego skrzydła, o zadowoleniu jakiegoś majora. Niczym innym nie mógł się interesować.

Oczywiście był bardzo przejęty wypadkiem Posy! Wyraził zadowolenie, że Turnerowie tak dużo dobrego dla niej zrobili, a poza tym lekarz, służba hotelowa i tak dalej, uczynili wszystko dla dziewczyny, która poraniła sobie nogę i później tak dzielnie znosiła niehumaniczny ból. Właściwie było to ich świętym obowiązkiem. Oczywiście George z przyjemnością słuchał o mnóstwie kwiatów, owoców, książek i pism, jakie przynoszono chorej, o jej spacerach po hotelowym ogrodzie pod osłoną wysokich drzew morwowych. Lecz w gruncie rzeczy bardziej interesował się rozwojem sanatorium, które nie- dawno założono w Harold-Hurst. Tak samo, jak Harold-Hurst było mgliste dla Posy, tak wszystkie sceny, na których tle spędziła swoje wakacje — były bezbarwne dla George'a.

Oczywiście ubawiło go ogromnie opowiadanie o spotkaniu po tylu latach z Jeffreyem O'Brienem, był zadowolony, że właśnie znalazł się tam Jeffrey i że przyniósł jego „skarb” do hotelu. Pokazała mu list, który otrzymała wraz z ogromną wiązką czerwonych róż, list, który Jeffrey przysłał jej na tydzień przed jej wyjazdem do Anglii.

Droga Posy,

Bardzo mi przykro, że nie mogę się z Tobą osobiście pożegnać. Otóż stało się tak, że otrzymałem ekscentryczną, lecz dobrze płatną propozycję ze strony starszego, uwielbiającego sporty, włoskiego Księcia, który zapragnął polatać sobie nad całym francuskim i włoskim wybrzeżem. Muszę więc pozostać tutaj, gdy tymczasem Wy wróćcie do Anglii.

*Czy pamiętasz, że pierwsza Twoja podróż samolotem ma się odbyć ze mną?
Zanotuj sobie mój dokładny adres, pod którym zawsze mnie odnajdziesz.*

Twój oddany

Jeffrey.

„Oddany Jeffrey” był naprawdę oddanym i przywiązanym bratem. Nie znaczy to absolutnie, że brat Posy był jej taki oddany i skłonny do poświęceń, lecz właśnie przyszło jej to na myśl z tej przyczyny, że Mervyn był zupełnie odmiennym typem. Podczas wszystkich tych lat, nie spędziła z nim zbyt wielu radosnych chwil na wesołych pogawędkach sam na sam... A jakże wesoło spędzała te chwile z Jeffreyem, gdy żartowali z pewnego Francuza w długim czerwonym płaszczu, mieszkającego pod numerem czterdziestym trzecim, i z jego żony, i z małego paskudnego pieska... Czy można to wszystko opowiedzieć i opisać, ile tam było śmiechu i radości? Takie rzeczy są właśnie najgorsze, jeżeli chodzi o chwilową nawet rozłąkę dwojga zakochanych...

George'a na pewno nie bawiłyby te wszystkie rzeczy, George nigdy nie interesowałby się takimi obserwacjami.

— Jest taki pociąg, który zawiezie nas do Maidenhead akurat na drugie śniadanie, skarbie. Przyjdę po ciebie o jedenastej. Bardzo tam miło i ogromnie sympatyczni są ci ludzie. Będiesz na pewno zadowolona — obiecywał jej George, gdy zegnali się u wejścia do jej pensjonatu.

Niedzielną wizytą była istotnie dosyć miła dla Posy, ale tylko z jednego powodu, mianowicie, dzięki tej wizycie można było odłożyć wyznanie, które Posy przygotowała dla narzeczonego.

Nawet wówczas, gdy witali ją ujmujący „Rodzice”, właściciele domu w Maidenhead, nawet wówczas, gdy przedstawiano ją innym gościom, nawet wówczas, gdy musiała grać swoją rolę pełnej czaru narzeczonej młodego nauczyciela szkoły, w której się kształcił syn gospodarzy, przeżywała raz jeszcze, rozpamiętywała i drżała na samą myśl o chwili zapomnienia, jakiej uległa na wakacjach.

Ona, zaręczona dziewczyna, pozwoliła na to, aby ten młody Włoch ją pocałował? Wspomnienie stawało się tym straszniejsze, im bardziej czas oddalał Posy od tego zdarzenia, im bardziej oddalała się od uciech wakacyjnych, od słonecznego blasku Lazurowego Wybrzeża. Gdy była tam, wydawało jej się to wszystko takim zwykłym Snem Dnia Letniego, tutaj, gdzie słońce świeciło dziwnie chłodno, na samo wspomnienie o tym zdarzeniu czuła, że popełniła zbrodnię. Nie mogła przecież wyznać tego George'owi właśnie w dniu rozgrywek tenisowych, w

których brał udział. Nie, nie mogła mu za nic w świecie przeszkadzać w tych rozgrywkach...

Czy George w białych spodniach nie wyglądał dziwnie ociężale? Co za różnica? Sam przecież powiedział, że w zawodzie nauczycielskim zawsze lepiej wyglądać poważnie. Wyglądał zresztą całkiem inaczej niż Księżę. Chociaż trzeba było przyznać, że jego wygląd był solidniejszy. Dobrze ułożony i wychowany, elokwentny, powściągliwy w ruchach. Grał oczywiście tak samo dobrze jak zwykle. Obserwując go, Posy myślała: „Nie jestem, nigdy nie byłam go warta. Gdy pomyślę, że przez te wszystkie lata nie spojrzał na żadną inną dziewczynę... Oczywiście, pamiętam to zdarzenie z Sybilą w Oxfordzie, ale wówczas wszystko stało się tylko z jej winy. Sybila sama przecież mówi, że to ona zawiniła i że George właściwie w ogóle nie był nią zajęty. Każdy inny mężczyzna na pewno wtedy by ją pocałował! George nie chciał. Jest przecież mężczyzną, a ja jestem kobietą. Pomyśleć tylko, że mogłam się tak zachować!”

Czuła się coraz gorzej pod wpływem tych myśli.

George, zwycięzca zawodów, podszedł do niej uśmiechnięty i radosny.

— Mam szczęście, Posy. Wyznaczono cudowną pierwszą nagrodę — wazon ze srebrnym okuciem. Bardzo lubię, gdy taki wazon stoi w jadalni na środku stołu.

Ostatnio George miał jakiś zupełnie nowy gust. Interesował się srebrem królowej Anny, lubił oglądać stare dębowe meble, zresztą zupełnie rozsądnie. Pragnął przecież urządzić dla nich miłe gniazdko.

Posy przypomniawszy sobie miss Jones, która, gdy się mówiło o tym, że Jakub ubiegał się przez siedem lat o względy Racheli i przygotowywał wspólne gniazdko przez drugie siedem lat, słusznie zauważyła: „Na uwicie gniazda nie trzeba czternastu lat”.

Tego nie mogła mu powtórzyć.

Jeszcze więcej gości przybyło londyńskim pociągiem przed obiadem. Wśród nich przyjechała czarująca londyńska aktorka, Maureen Acres, która śmiała się wesoło, gdy George z trudem przypominał sobie dawną z nią znajomość za czasów oxfordzkich, gdy była jeszcze zaręczona z jakimś Erykiem, Smithem czy Pedro, i gdy ją zapytał, co teraz robi.

— Czy pan sobie nie przypomina tego, że zawsze śpiewałam? — zapytała z wyrzutem.

Posy Wynn powiedziała:

— Miała pani gitarę z kolorowymi wstążkami, doskonale pamiętam!

— A ja pamiętam nawet, co wtedy śpiewałam — zawołała Maureen i głębokim dramatycznym kontraltem zanuciła niemodną już piosenkę:

Kiedyś, gdy byłeś moim przyjacielem...

Posy, słuchając pieśni, pomyślała: „Wtedy, w maju, gdy słuchałam tej piosenki, byłam taka inna! Nawet ładniejsza! Lepsza! Nigdy nie marzyłam... Zmiana to okropne słowo...

Wówczas nie zdawałam sobie sprawy, co to jest zmiana. Ale istotnie zmieniłam się na gorsze”.

Obiad podano na powietrzu, pod drzewami. I teraz znowu nie mogła swobodnie pomówić z George'em.

Później goście poczuli spacerować wśród krzaków róż, przeszli przez kort tenisowy na brzeg rzeki, obserwując wynurzające się z wody ryby. Wszystko było takie spokojne, takie typowo angielskie.

„Dawniej byłoby mi tutaj miło — myślała Posy — a teraz...”

Jeszcze nigdy w życiu nic nie wydawało jej się takie trudne. Do ostatniej chwili powtarzała sobie, od czego ma zacząć. Po raz setny chyba usiłowała sobie wyobrazić, jak George przyjmie to wyznanie.

Zaręczone dziewczęta — bardzo was przepraszam, jak wasi ukochani przyjęliby podobne wyznanie? Słusznie mówicie, że podobna kwestia nie mogłaby między wami istnieć.

„A może — pomyślała kiedyś Posy — George nagle roześmieje się i powie: «Skarbie, robisz wielką rzecz z takiej bagatelki»”.

Lecz ta myśl przyszła jej do głowy w momencie wyjątkowo optymistycznego nastroju, po wesołym śniadaniu z Turnerami i Jeffreyem. Później przypuszczenia, były już całkiem inne. Dla George'a będzie to wszystko wielkim ciosem. Zmartwi się i powie: „Więc straciłaś głowę dla takiego nicponia? Skarbie! Wolałaś go ode mnie?” Rozpacz George'a nie będzie miała granic. I minie dużo, dużo czasu, lękała się Posy, zanim nadejdzie taka chwila, kiedy będzie miała okazję mu to wszystko wytłumaczyć. Tak, dużo czasu minie, zanim potrafi mu wyjaśnić: „Nie żywiłam żadnego uczucia dla Księcia. Był po prostu jedną z figurek na tle tego cudownego barwnego urlopu”.

Do ostatniej chwili Posy pouczała się w duchu, jak powinna to powiedzieć.

„George najdroższy, czy sądzisz, że to polepsza czy pogarsza sytuację, że nie żywiłam żadnego uczucia do tego mężczyzny? Na pewno dla ciebie to wszystko nie jest tak straszne, jak było później dla mnie. W minutę potem po prostu nie mogłam uwierzyć, że to się stało. Czy sądzisz, że Włosi z takimi rzeczami się liczą? Czy przy każdej okazji nie wyznają kobiecie uczucia? Żaden Anglik na pewno by sobie na coś podobnego nie pozwolił. Ale na Riwierze panuje wyjątkowa swoboda. Ludzie robią, co im się żywnie podoba — żebyś widział kapelusze, jakie tam noszą! Do tego wszystkiego przyczyniło się jeszcze i to, że ciebie przez tyle tygodni nie widziałam i że od tak dawna mnie nie całowałeś...”

A może George pomyśli, że taka uwaga nie przystoi kobiecie? Wobec tego będzie lepiej, jak Posy powie: „Jestem pewna, że to ma duży związek z samą miejscowością, która jest tak niepodobna do Sussex. Czy możemy potraktować to w ten sposób, że po prostu o tym wszystkim śniłam? Ach, George najdroższy, błagam cię! Przecież człowiek we śnie robi różne rzeczy...”

Oczywiście George wreszcie wyobrazi sobie to wszystko tak, jak istotnie było. Tymczasem jednak nastąpiła przełomowa chwila.

— George — zaczęła Posy, oddychając szybko, gdy skierowali się na ścieżkę biegnącą między krzewami rozkwitłych róż. — George, chcę ci coś powiedzieć. Jest mi strasznie przykro, ale muszę ci się z czegoś wyświadczyć!

IX. HISTORIA SPOWIEDZI

— No? — uśmiechnął się miło George i rączkę Posy wsunął sobie pod ramię.
— Co takiego? Opowiedz mi o tej swojej zbrodni.

Nie zdążyła rozpocząć opowiadania, bo usłyszeli lekkie kroki w pobliżu na ścieżce. Przybiegła za nimi zadyszana i zawsze gadatliwa córka gospodarzy.

— Ach, miss Wynn, Mr Stirling. Bardzo mi przykro, że państwu przeszkadzam — wybuchnęła z porywcznością typowej czternastolatki — ale mama przysłała mnie, aby powiedzieć państwu, żebyście natychmiast wrócili. Wszyscy zebrałiśmy się na werandzie, bo miss Maureen Acres ma nam zadeklamować *Jej ostatni żal*. Przecież to będzie wspaniałe!

Maureen w rozkwicie swych dwudziestu kilku lat przeistoczyła się nagle w wiktoriańską wielką damę, dobiegającą dziewięćdziesiątki i mimo woli czuła teraz na swych barkach nawet ciężar tych lat. Czy widzieliście *Damę z lampą*? Czy obserwowaliście, jak Gwen Davies w roli Lady Herber staje się coraz starsza, od pierwszego aktu do drugiego? Właśnie na tej kreacji wzorowała się Maureen, grając rolę wiekowej księżny w dziesięciominutowej sztuce *Jej ostatni żal*.

Podajemy tu krótkie streszczenie: jej książęca mość jest szlachetną damą, która od dzieciństwa spełniała swój obowiązek względem życia. Na samym początku zwraca się do niej nowoczesna dziewczyna: „Prababciu, musi być strasznie dziwnie, gdy się żyje prawie sto lat i niczego się nie żałuje?”

Chwila ciszy, po czym stara dama, potrząsając siwymi włosami, uśmiecha się, wzdycha i przyznaje, że nawet ona znajduje w swej przeszłości coś — coś takiego, czego jej żal.

„Prababciu, musisz mi koniecznie opowiedzieć tę historię!”

Pochyliwszy swą poźółkłą, woskową twarz nad hebanową laską zakończoną gałką z kości słoniowej, Księżna opowiada o tym, co było przed siedemdziesięciu laty, gdy jako czarująca młoda „debiutantka” bywała co noc na dworskich balach. Jej młodszy braciszek miał nauczyciela, który przygotowywał go do szkoły, przystojnego, wesołego młodzieńca „o zupełnie nienagannych manierach”, mówi jej książęca mość z wysiłkiem, jednym słowem dżentelmen w każdym calu, a

przy tym utalentowany. Później był sławny na całym świecie, lecz w owym okresie nikt go jeszcze nie znał.

Miłość nie zwraca uwagi na takie drobnostki. Młodzieniec zakochał się w pięknej siostrze swojego ucznia. Ona wiedziała już o tym od kilku tygodni, chociaż żadne z nich nie wypowiedziało na ten temat ani słowa. Wiedziała, że gdy tańczyła na wielkich londyńskich balach, młody nauczyciel w domu, w swym małym pokoiku gryzł palce, myśląc o tym, że jego ukochana tańczy walca w objęciach innego mężczyzny.

Gdy dowiedział się o jej zaręczynach z księciem, nie mógł już przebywać dłużej w tym domu. Spotkała go na szerokich marmurowych schodach, gdy szła na górę do swego pokoju, aby przymierzyć jakąś wyprawową suknię.

Przystanęła, słodko do niego przemówiła; powiedziała, że jej braciszek będzie niepokieszony, gdy utraci tak dobrego i miłego nauczyciela. Właściwie dlaczego odchodzi?

„Pani wie najlepiej”, odparł porywczo młodzieniec. „Nie mogę zostać tutaj i być świadkiem pani ślubu”. I później ujął obie ręce panienki i przez chwilę trzymał je na sercu, szepcząc: „To jest pożegnanie. Już nigdy nie spotka mnie pani na drodze swego życia”.

„Życzę panu szczęścia. Życzę panu szczęścia, gdziekolwiek pan potem będzie”, rzekła piękność, wówczas kilkunastoletnia. A młody nauczyciel, któremu jej słodycz dodała odwagi, począł błagać: „Raz tylko dotknąć twoich ust, to jedno wspomnienie zabrać z sobą na wieki!”

Nagle stara Księżna osłabła, potrząsając swą siwą głową w obramowaniu koronkowego czepeczka.

„Właśnie, dziecinko, tej jednej chwili żałuję”.

„Co takiego! Żałujesz tego, żeś temu biedakowi pozwoliła się pocałować?”

„Nie — ale tego, że mu nie pozwoliłam”.

*

Ta staroświecka sztuczka w wykonaniu Maureen Acres wypadła doskonale. W gronie słuchaczy jednak było dwoje ludzi, którzy posmutnieli, usłyszawszy ostatnią kwestię. Ostatnie zdanie Księżnej dotknęło osobiście Posy Wynn, a narzeczony Posy (jak jej sam później powiedział, gdy towarzystwo się rozeszło i oboje poszli na spacer) doszedł do wniosku, że właśnie to zdanie było trochę niesmaczne.

—George! Więc uważasz, że stara Księżna nie powinna była...

—Nie powinna była się tak zachować? — podchwycił George. — Ach, właściwie sam nie wiem! — Jego ton był pełen rezerwy, jak zresztą całe zachowanie. Posy zrozumiała. Jak miała w takiej sytuacji zacząć mu opowiadać o pocałunku Księcia?

Stali oboje w otoczeniu krzewów rozkwitłych róż.

— A propos, skarbie, zanim ta dziewczyna tu przybiegła, wspominałaś, że masz mi coś do powiedzenia? Tak. Powiedziałaś nawet, że chcesz się wyśpowiadać. Uważam, że to brzmi trochę niepokojąco.

Uśmiechnął się do niej. Nie wiadomo dlaczego uśmiech ten nie był uspokajający. Bo przecież uśmiechały się tylko te pięknie wykrojone, nieco zaciśnięte, typowe anglosaskie wargi. Błękitnoszare oczy wcale się nie uśmiechały. Były szare, ponure i zimne, jak kamień. Oczy te zdawały się mówić:

„Posy, mam nadzieję, że w tym twoim wyznaniu nie będzie nic tego rodzaju? Mam nadzieję, że moja ukochana nie będzie mi opowiadała o podobnym zdarzeniu?” Posy uświadomiła to sobie dokładnie, gdy spojrzała w te szare, zimne, kamienne oczy.

Nigdy w życiu nie będzie mogła opowiedzieć George'owi o tym gorszącym zdarzeniu z Księciem, bo nigdy w życiu George jej nie zrozumie.

Usłyszała własny głos, najpierw trochę niepewny, potem już stanowczy i zrównoważony:

—Bo czy nie jestem lekkomyślna? Podczas pobytu we Francji zgubiłam pierścionek drobiazg, który dostałam od ciebie.

—Ach! Co takiego? Mam nadzieję, że nie zgubiłaś zaręczynowego pierścionka, kochanie?

—Nie, ach, nie. Tylko ten mały złoty kominiarczyk zsunął się mi z łańcuszka.

—Ach, to! Znajdę ci coś ładniejszego na wisiołek — pocieszył ją wesoło George.

Z nie zdradzoną tajemnicą Posy (która teraz z nie wiadomo jakich powodów była mniej zgorszona pamiętnym epizodem) pozwoliła George'owi, aby odprowadził ją z powrotem do willi, do roześmianego grona gości, do ocienionych, purpurowych świateł, do srebrnej tacy z drobnymi ciasteczkami, syfonami i kafełkami napełnionymi chłodnym napojem — i do „niespodzianki”. Właściwie były to dwie niespodzianki.

Jedną z nich był list w dużej kremowej kopercie, z pieczęcią opatrzoną monogramem Eve Evershalt, który przybył ostatnią pocztą i z napisem „pilny” zo-

stał tu przesłany z mieszkania Turnerów na Brompton Square. List ten adresowany był do Posy.

Druga niespodzianka była dla George'a...

— Mr Stirling, jest tu telefoniczna wiadomość dla pana! Proszono, żeby pan jutro z samego rana zatelefonował pod ten numer...

George wziął małą karteczkę, spojrzął na nią i wykrzyknął z chłopięcym przejęciem: — Boże święty!

—Co się stało? — zapytała Posy, przerażona jego tonem, zapominając zupełnie o własnym liście (który był istotną niespodzianką). — Czy jakieś złe wiadomości?

—Nie. Przeciwnie. Tylko ten starzec znowu wrócił, wyobraź sobie. Jak przypuszczasz, kto do mnie mógł dzwonić?

Oczywiście stary Mr Stout-Cortez! Nasz były czarodziejski opiekun!

—Co takiego? — słowa te przywiodły na pamięć dawne wspomnienia, wspomnienia, które pozostawiły w duszyczce Posy niezatarte piętno. — Nie masz chyba na myśli tego starego pana, u którego kiedyś byłeś... jak się ta miejscowość nazywała? Cloisters? Ten, który chciał cię przyjąć jako nauczyciela do swych wnuków, ale potem tego zaniechał, bo pokłócił się ze swoją córką...

—Właśnie. Ten sam. Nasz milionowy opiekun. To ojciec jednego z moich kolegów z Oxfordu, który niegdyś był gotów wszystko dla nas zrobić — tłumaczył George siedzącym przy stole gospodarzom. — Mieliśmy się pobrać od razu, bo chciał, byśmy zamieszkali w jego domu w Surrey. Później zdarzyła się katastrofa, jakaś kłótnia rodzinna i rozwiały się nasze tęczowe marzenia. Zdaje mi się, że po tym wszystkim wyjechał do Barcelony. Teraz najwidoczniej jest znowu w Londynie. Telefonował z hotelu Ritza do Harold-Hurst, gdzie mu powiedzieli, że jestem tutaj. Ciekawe, o co mu chodzi? Prawdopodobnie idzie tu o jakąś zagubioną książkę (bo muszą państwo wiedzieć, że podczas pobytu u niego opiekowałem się biblioteką). W każdym razie jutro rano zatelefonuję do niego. Prosił, żeby z samego rana? Mówił, że coś pilnego? Naprawdę ciekawe!

—Rzeczywiście — wyszeptała Posy. — George, ale ja mam też bardzo ciekawe wiadomości. — Była jeszcze ciągle zaskoczona tym, co jej przyniosła ostatnia poczta. George jednak nie słyszał, co do niego mówiła, nie zauważył rumieńca podniecenia na jej twarzyczce — był zbyt przejęty nieoczekiwanym telefonem.

—Coś mi mówi, że to będzie jakiś dobry interes. Może któregoś z wnuków albo jakiegoś krewnego milionera chce umieścić na przyszły semestr w Harold-

Hurst — mówił wesoło do Posy. — Zadzwoń do starego skoro świt i dowiem się, czego chce ode mnie. Dobrej nocy, skarbie.

TLR

X. ZEW WSCHODU

— Gdy następnym razem Mr Stirling przywiezie tu panią, będzie pani spała w „białym skrzydle”; jest to oficyna, w której lokują zawsze wszystkie moje znajome młode mężatki — śmiała się pani domu, rozglądając się uważnie po pokoju gościnnym (był przesiąknięty wonią lawendy i zapachem aromatycznych soli kąpielowych), do którego wprowadziła Posy Wynn. — Tym razem musi mi pani wybaczyć, że dostaje pani taki mały pokoiczek na niedzielę.

Posy w odpowiedzi na ten przyjazny ton i uśmiech podziękowała możliwie najserdeczniej.

—Tacy państwo mili, że mnie zaprosili tutaj, a ten pokoik...

—Chyba nie trzeba pani tłumaczyć, że byliśmy bardzo ciekawi, jak pani wygląda. Przecież z fotografii trudno się zorientować! Uważaliśmy zawsze Mr Stirlinga za wyjątkowo przystojnego młodzieńca, a właśnie ci przystojni młodzieńcy mają zwyczaj wybierać sobie najokropniejsze potwory na żony i narzeczone! Jednak teraz, kiedy już panią zobaczyliśmy, jesteśmy zupełnie spokojni i mamy nadzieję, że wkrótce znów pani nas odwiedzi! — Najwidoczniej miss Wynn zaspokoila ambicje swych gospodarzy, skoro przyjaciele jej narzeczonego tak serdecznie ją do siebie zapraszali. — Mam zresztą nadzieję, że będzie pani szczęśliwa w małżeństwie, na co w zupełności pani zasługuje. Wszyscy uważamy, że George'a Stirlinga także spotyka wielkie szczęście.

— Za te słowa jestem pani serdecznie wdzięczna — odpowiedziała Posy z taką szczerością, na jaką się w tej chwili mogła zdobyć. Jakżebyłaby zadowolona, gdyby to wszystko usłyszała przed pięciu laty! Jakże byłaby szczęśliwa, gdyby to wówczas miss Maureen Acres tak mile się do niej odnosiła; obiecała jej nawet bilety na premierę nowej sztuki w październiku! Szczęśliwa, tak, byłaby szczęśliwa, gdyby wówczas zdawała sobie sprawę, że spodobała się nowym, ustosunkowanym przyjaciołom George'a. Odniosła sukces.

„Człowiek prawdopodobnie przyjmuje pewne rzeczy chłodniej, gdy się starzeje — pomyślała dwudziestokilkuletnia cyniczka. A może to dlatego, że teraz potrafię tylko myśleć o tym liście...”

— Sądzę, że ma pani tutaj wszystko, czego pani potrzeba?

Sucharki są na tej czerwonej paterze. Może coś do czytania?

Podobno ta nowa powieść jest całkiem dobra. *Zaręczyny zostały ogłoszone.* Są-

dzę, że i panią zainteresuje; tamci zaręczeni bohaterowie są także bardzo szczęśliwi. Dobrej nocy, mam nadzieję, że będzie pani dobrze spała!

Długa była ta noc, zanim Posy usnęła.

Materac był elastyczny, poduszki miękkie, kołdra lekka i ciepła, lampka przy łóżku na odpowiednim miejscu, a za oknem szumiała Tamiza i szemrały gałęzie drzew. Od czasu do czasu coś pluskało w rzece, to znów sowa odezwała się z pobliskiego lasu, ale te wszystkie szmery nie były przecież przyczyną bezsenności dziewczyny wychowanej na wsi. Jednak trzy czy cztery razy podczas nocy zapalała światło i znowu je gasiła. Za każdym razem wyciągała spod poduszki list otrzymany od pani Ellis, kierowniczki salonu Eve Evershalt, i czytała zdanie po zdaniu, choć umiała je już wszystkie prawie na pamięć.

Droga Miss Wynn,

Okoliczności tak się złożyły, że jeszcze bardziej odczuwamy brak pracownic. Pani Saunderson, która pomagała miss Hogarth w naszym nowym oddziale w Kairze, jest oczekiwana w Paryżu dwudziestego siódmego i nie mam pojęcia, co będzie przez ten miesiąc, zanim miss Winyard będzie mogła pojechać do Kairu. Niechciałabym pozostawiać miss Hogarth bez pomocy, tym bardziej że nasz oddział odwiedza coraz więcej klientek. Moja siostrzenica nauczyła się już sprzedawać preparaty, toteż gdyby Pani chciała, nie widzę powodu, dla którego nie miałyby Pani wyjechać do Kairu na drugie dwa tygodnie lipca i pierwsze dwa tygodnie sierpnia. Proszę się zastanowić i dać mi znać w poniedziałek, gdy Pani przyjdzie do pracy.

Posy po raz pierwszy nadarzała się okazja wyjazdu na Wschód!... A wszystko stało się dzięki temu, że podczas swej pracy w Londynie nauczyła się w salonie Eve Evershalt robić zabiegi kosmetyczne. Jedna z koleżanek, której kiedyś wyskubywała brwi, doszła do wniosku, że Posy Wynn ma do tych rzeczy duże zdolności i że ma wyjątkowo lekką rękę. Później zaznajomiono ją ze sztuką nakładania maseczek i w ogóle z wszelkimi zabiegami, których się uczyła na twarzach koleżanek, wybierających się na dansing do Carltonu czy Savoyu. Przekonawszy się o tych zdolnościach Posy, pani Ellis któregoś dnia powiedziała:

Jeżeli moja siostrzenica się nada, umieszczę ją w sklepie, a pannę Wynn przeniosę do gabinetu. Dyplom? Czy pani przypuszcza, że wszystkie kosmetyczki mają dyplomy? Trzeba mieć tylko zręczne ręce, trochę zdrowego rozsądku,

miły sposób bycia i odrobinę dyplomacji. Te rzeczy w naszym zawodzie są najpotrzebniejsze, a wszystkie te zalety pani ma.

I właśnie dzięki temu nadarzyła się okazja, że mogła zobaczyć Wschód! Leżała z otwartymi oczami i marzyła o tym...

Aby odegnąć od siebie te zbyt emocjonujące myśli, zaczęła czytać powieść o zaręczonych. Czytała:

Narzeczeństwo jest okresem wzajemnego „poznawania się”; narzeczeni przestają być dla siebie tajemnicą...

Na następnej stronie czytała znowu:

Obowiązkiem zaręczonej dziewczyny jest, żeby długie narzeczeństwo było interesujące, a krótkie — zgodne...

Kiedyś Posy na pewno nad tym rozmyślała... Teraz to wszystko zdawało się tak mało mieć z nią wspólnego. Po prostu straciła zainteresowanie dla tak dawnej kwestii, jak długie i krótkie narzeczeństwo. Książka potoczyła się na dywan. Zbyt rozleniwiona, aby ją podnieść, Posy leżała ze spojrzeniem utkwionym w gwiazdzistym niebie, które wychylało się ku niej spoza nie dosuniętych firanek. Nie troszczyła się teraz o wszelkiego rodzaju narzeczeństwa, o George'a, Księcia, czy też o „tamto” zdarzenie. Myślą biegła wciąż dalej, aż do tej czarownej, nowej możliwości... Wschód!...

Nigdy dotychczas nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo pragnęła nasyć oczy widokiem gorącego, romantycznego Wschodu. Dopiero teraz zaczęła myśleć o tym i doszła do wniosku, że za żadnym widokiem tak jeszcze nie tęskniła.

Podczas tych nocnych godzin w umyśle dziewczyny gromadziły się na wpół zapomniane fragmenty przeczytanych książek dla młodzieży, urywki opisów z *Ki-ma*. Gdy wreszcie zaczęła zasypiać, przypomniała sobie wierszyk:

*Gdy słyszysz zew Wschodu,
Powinnaś być mu posłuszna...*

i pomyślała: „Muszę powiedzieć o tym George'owi...”

George przy śniadaniu zawsze wyglądał najlepiej i najradośniej w swoim flanelowym, szarym garniturze. Wyglądał jak typowy Anglik w tym miłym, obszernym pokoju, zalanym słońcem, pachnącym szynką i zielonym groszkiem, w pokoju, w którym stół uginał się pod zastawą do herbaty i kawy. George sprawiał w tym pokoju wrażenie czującego się tak swobodnie, jakby za chwilę miał po-

dejsć do kredensu i przyrządzić jakieś śniadaniowe danie na małej spirytusowej maszynie. Tak, zawsze przy śniadaniu wyglądał najlepiej, lecz zazwyczaj nie był wtedy rozmowny. Jednak tego niedzielnego ranka, gdy Posy zeszła na dół, zastała swego George'a prowadzącego ożywioną rozmowę. Załatwił już swój telefon i tłumaczył teraz gospodarzom, dlaczego zmienił nagle plan dzisiejszej niedzieli.

— Jest mi tak bardzo przykro, ale będę musiał wyjechać przed drugim śniadaniem. Ten starzec — o którym państwu wczoraj opowiadałem — nie mogłem mu w żaden sposób odmówić... Mam nadzieję, że nie będą państwo mieli do mnie żalu — George patrzył błagalnie na swych gospodarzy. — Otóż ten starzec chce, żebym zjadł z nim dzisiaj drugie śniadanie u Ritza. Nie powiedział mi, o co mu idzie, ale wydaje mi się, że sprawa jest pilna i że ma jakiś związek z naszą szkołą. Opuszcza Londyn o godzinie trzeciej, więc to jest jedyna okazja zobaczenia się z nim. Będę musiał państwa prosić...

Nastąpiły zapewnienia ze strony gospodarzy:

—Ależ oczywiście, drogi chłopcze — to jest zupełnie zrozumiałe...

—Naturalnie, Mr Stirling! Doskonale rozumiemy pana. Tylko szkoda, że nie będzie pan z nami przez cały dzień. Ale trudno! Zostawi nam pan chyba miss Wynn?

—Bardzo mi przykro, ale obawiam się, że Posy będzie musiała jechać ze mną. Ten pan wie, że jestem tutaj z narzeczoną i prosił, żebym przyszedł na śniadanie razem z nią. Ponieważ nie wiem, czy tak prędko nadarzy się nowa okazja...

Nastąpiły nowe zapewnienia ze strony gospodarzy. Rozumieli go doskonale. Nie mają zamiaru czynić mu żadnych trudności. Są pewni, że uroczą miss Wynn zrobi jak najlepsze wrażenie i postara się zaskarbić sympatię milionera.

— Uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy — śmiała się wesoło Posy, a w duchu pomyślała: „Podczas jazdy pociągiem powiem George'owi o Egipcie”.

Lecz okazało się, że Maureen Acres i jeden z młodych mężczyzn z towarzystwa również odjeżdżali do miasta tym samym pociągiem, aby spotkać się ze znajomymi, którzy oczekiwali ich w Hyde Parku. O żadnej intymnej rozmowie nie mogło być mowy. A gdy przybyli do Ritza...

XI. ZEW POŁUDNIA

Zazwyczaj później Posy musiała zaczerpnąć do płuc powietrza, usiąść i przymknąć oczy, ilekroć przypominała sobie to wspaniałe drugie śniadanie w sali restauracyjnej hotelu Ritz. Była to prawdziwa uczta. Nie było to śniadanie, jak wyobrażał sobie George, wyprawione na cześć zaręczonej pary przez starego hiszpańskiego przyjaciela. Gdy przybyli, zastali już liczną gromadkę osób, która swą obecnością przeobraziła typową angielską restaurację.

Wszyscy kelnerzy zebrali się dookoła środkowego stołu, który sprawiał wrażenie wielkiego egzotycznego kwietnika, założonego w dobrze utrzymanym ogrodzie.

„Kim są te wszystkie wyzywająco ubrane panie i ci wszyscy wymuskani panowie?“, pomyślała Posy.

— Ach, otóż i on — zawołał w tej samej chwili George. — Tam siedzi ten nasz Donkiszot. — I spośród gromadki zebranej przy stole zerwał się na ich spotkanie stary, lecz ruchliwy człowiek, o przenikliwych czarnych oczach, ubrany z wyszukaną angielską elegancją, lecz mający wygląd cudzoziemca.

Mężczyzna ten uścisnął dłonie George'a, wołając głośno:

— Mój drogi Stirling! Mój drogi, kochany chłopiec! Nie wyobraża pan sobie, czym jest dla mnie pańska obecność!

Zaraz wszystko w skrócie wytłumaczę. Czy mam przyjemność z przyszłą panią Stirlingową? — szurnął obiema nogami, nisko się skłonił i ucałował rękę Posy. — Chodźcie. Muszę was przedstawić rodzinie. Zauważcie, że znów jestem wśród rodziny! Ach, mój drogi Stirling! Żeby pan wiedział, co znaczy dla mnie... — potrząsnął swą białą czupryną, powiódł po obecnych spojrzeniem swych przenikliwych czarnych oczu i głęboko westchnął. — Chodźcie. Pozwólcie, że was przedstawię...

Syna, Pedra („z cudzoziemskim akcentem i krzaczastymi brwiami“), Posy poznała już kiedyś, przed wielu laty w Oxfordzie. Doszła do wniosku, że był zaskakująco podobny do ojca, z tą tylko różnicą, że miał czarne włosy. Przy stole siedziała też „Juanita, moja zamężna córka, prawdziwe oczko w głowie“ — również podobna do Donkiszota, tylko z czarnymi włosami i w sukni od Poireta.

„Mąż mojej córki!”

Także bardzo podobny do teścia, z krótkimi czarnymi bokobrodami. „Moja siostrzenica, madame Inez Cottrell”, elegancka dama, także zadziwiająco podobna do starego dżentelmena, z kilku sznurami prawdziwych pereł na wydatnym biuście. „A teraz moi dwaj wnukowie” — zdumiewająco podobni do dorosłych, mniej więcej w wieku dziewięciu i dziesięciu lat. Mówiąc prawdę, ci wszyscy ludzie nie mogli być do siebie podobni, lecz gdy Posy po raz pierwszy spojrzała na tę hiszpańską rodzinę, doznała wrażenia, że wszyscy jej członkowie są jednakowej budowy, że wszyscy mają te same spojrzenia czarnych, przenikliwych oczu, że wszyscy są jednakowo żywi, jednakowo ceremonialnie się kłaniają, że są jednakowo hałaśliwi, jednakowo mówią i gestykują. Ten hałas, jaki stwarzała ich żywa gestykulacja — nawet wśród Francuzów na Riwierze wydałaby się zbyt obrazowa.

George, który był przyzwyczajony do ojca swego przyjaciela Pedra i do niego samego, zdawał się na to wszystko nie zwracać uwagi. Przy innych stolikach w restauracji rozmaici, nawykli do konwenansów Brytyjczycy, członkowie różnych klubów z pobłażliwą dobroduszością spoglądali na stół, zajmowany przez hiszpańską rodzinę... Stół ten był udekorowany szkarłatnymi i herbacianymi różami, czerwonymi i żółtymi goździkami, a wśród tych hiszpańskich barw leżało mnóstwo srebrnych sztucców, porcelanowych talerzy i kryształowych kielichów.

— Przy moim stole zasiądą dzisiaj przedstawiciele dwóch wielkich narodów, zresztą ja sam mam mieszaninę krwi w swych żyłach. Jestem Hiszpanem i dumny jestem z tego!

Jestem Anglikiem i to mnie także przepaja dumą! Szampan, oczywiście — rozkazał Donkiszot. — Narzeczona Mr Stirlinga usiądzie tutaj, po mojej prawej stronie...

Posy zorientowała się natychmiast, że zaskarbiła sobie wszystkie serca obecnych z wyjątkiem jednego. Rzucano kwieciste komplementy na temat urody miss Wynn, na temat jej gustownej sukni (nosiła otrzymaną od Sybili cytrynową krepdeszynową suknię, która zresztą najbardziej podobała się Księżciu). Wyrażano się entuzjastycznie na temat jej młodego wyglądu, po prostu trudno uwierzyć, że seniorita była już w wieku odpowiednim do zamążpójścia! Posy milcząca i uśmiechnięta przypominała sobie wyczytane gdzieś zdanie: „W mieście ludzie są sympatyczni i niesympatyczni — na wsi dzieli się ich na żonatyh i niezonatyh”. Najwidoczniej ta hiszpańska rodzina klasyfikowała w ten drugi sposób wszystkie poznane kobiety.

„Ciekawe, że wszyscy mnie tutaj polubili od pierwszego wejrzenia — myślała Posy — z wyjątkiem tej ciotki Inez”. (Ta przystrojona perłami dama, nie powiedziawszy ani słowa, nie spojrzawszy nawet na przybyłą, powzięła opinię, że Posy nie jest dobrze wychowaną dziewczyną, a tym bardziej młodą angielską damą). Śniadanie było obfite i utrzymane w tradycji kuchni brytyjskiej i iberyjskiej. Na stole znalazły się hiszpańskie kurczęta z ryżem z rodzynkami, przesiąknięte zapachem korzeni, był również rostbef i potrawa nosząca nazwę Yorkshire. Szampan płynął strumieniami. Tak samo płynęły zresztą słowa gospodarza, który tłumaczył zebranemu przy stole towarzystwu, jak również wszystkim gościom sali restauracyjnej Ritza, że to śniadanie było Ucztą Pogodzenia. Stary Hiszpan pogodził się znowu ze swą ukochaną córką (wychylił napełnioną szklanę), ze swym najdroższym zięciem (znowu wychylił szklanę), a okoliczności tak się szczęśliwie złożyły, że mógł zaprosić na śniadanie swego ukochanego syna, Pedra (brząk kieliszków), co oznaczało, że po tylu latach przykrości mógł znowu przebywać wśród rodziny i patrzeć na swych ukochanych wnuków (tutaj wnukowie w wieku lat dziewięciu i dziesięciu, którzy mieli już równie wyraźne wąsiki, jak obecna ciotka Inez, trącili się kieliszkami tak energicznie, że jeden z pułcharków rozpadł się na kawałki). Szampan rozlewano obficie, musujący napój płynął strumieniem. Częstowano nim nawet kelnerów, którzy śmiejąc się radośnie zapewniali rozbawionych gości po francusku i angielsku, że gdy się tłucze białe szkło, oznacza to szczęście dla pijącego towarzystwa.

W pewnej chwili wśród gwaru i żywej gestykulacji Posy miała wrażenie, że każda z osób siedzących przy stole ma po kilka ramion, jak indyjska bogini;

wśród tego gwaru i szumu wyjaśniono nagle, dlaczego George i ona zostali zaproszeni na tę Ucztę Pogodzenia.

—Mr Stirling, mój drogi chłopcze, zawsze miałem pana w pamięci. Źle postąpiłem, przejęty smutkiem i gniewem na swoją rodzinę, a później już nie widziałem pana i nie mogłem opiekować się pańską przyszłością. Teraz jednak, kiedy fortuna do mnie powróciła, muszę i was koniecznie uszczęśliwić, pana, Mr Stirling, i pańską uroczą, miłą i młodą przyszłą żonę!

—Muszę już iść — przerwała porywczo i rozkazująco ciotka Inez. — Do widzenia, *au revoir*, zobaczę się z wami później, życzę szczęścia. *Mahlzeit*. Pedro, odprowadź mnie do auta. — Zerwała się, a kelnerzy rozstępowali się przed nią, gdy biegła szybko przez salę restauracyjną.

Towarzystwo zasiadło na powrót do bogato udekorowanego stołu, tak jak stado młodych kacząt wpływa na środek stawu po pozbyciu się niepokojącego wszystkich łabędzia. Po podaniu lodów, których niesamowite porcje przysunęli sobie dwaj hiszpańscy chłopcy, ich dziadek począł wyjaśniać dalej, że jego ukochani wnukowie na przyszły jesienny semestr mają być wysłani do Harold-Hurst, przede wszystkim z tego względu, aby kształcili się pod opieką George'a Stirlinga. Oczywiście dziadek, matka, ojczym i wuj chłopców byłiby niezmiernie zadowoleni, gdyby chłopcy przebywali stale w gronie rodzinnym Mr Stirlinga, jako uczniowie na specjalnych prawach. Tutaj George gwałtownie potrząsnął głową i wytłumaczył (podnosząc głos), że to się absolutnie nie da zrobić. Chłopcy muszą podlegać temu samemu regulaminowi, jak inni wychowankowie przyjęci do szkoły przygotowawczej ...

— Co zresztą jest całkiem słuszne, jeżeli chodzi o angielskie prawa, jeżeli chodzi o sporty, zabawy i gry towarzyskie — wybuchnął stary Hiszpan, posługując się swym dziwacznym angielskim słownikiem. — W każdym razie — dorzucił, chcąc uspokoić młodego Stirlinga i dać mu pewną rekompensatę za krzywdy wyrządzone przed kilku laty — wypijmy za spokój! (stuknięto się szklankami) Wypijmy za powodzenie szkoły, której moi ukochani wnukowie będą wkrótce uczniami.

—Zatem — mruknął stary Mr Stout-Cortez, uderzając pięścią w stół — nie będzie już teraz potrzeby odkładania daty wyznaczonego ślubu. Ja osobiście nie pochwalam wszelkich odkładanych ślubów!

—A przypomnij sobie, tato, żeś mój ślub chciał odłożyć na zawsze — przerwała mu zameżna córka. — Wówczas na pewno nigdy nie przyszłaby na świat mała Juanita!

Kieliszki zabręczwały, bo pito właśnie za zdrowie małej Juanity, wnuczki z drugiego małżeństwa.

„Dziwne, że jej nie zaprosili na śniadanie” — pomyślała Posy. Miała już teraz w głowie zupełny zamęt od tego ustawicznego picia, gwaru pomieszanych głosów, głośnych okrzyków i świadomości, że jest jakby częścią tej patriarchalnej rodziny, której, z wyjątkiem Pedra, do dzisiaj absolutnie nie znała. Spoza tego gwaru usłyszała niewyraźnie, jak George opowiadał staremu Hiszpanowi, że wykańcza się właśnie budowę nowego skrzydła, że trzeba będzie przyspieszyć tapetowanie i meblowanie i że ślub będzie się mógł odbyć jeszcze przed Michałem Archaniołem.

— Kiedyż to jest Michała Archanioła? W końcu września. A teraz mamy dopiero lipiec. Długo, stanowczo za długo!

Oszołomiona Posy widziała już siebie, spieszącą z Ritza do ambasady hiszpańskiej i biorącą tam ślub według prawa znanego tylko krewkiemu milionerowi. W oczach starego Hiszpana zabłysnął radosny płomień, gdy po chwili uderzył znowu pięścią w stół, wołając:

— Teraz chcę wam powiedzieć, czego sobie szczególnie życzę!...

(Boże święty, czego?)

— Życzyłbym sobie, aby wasz ślub odbył się w Cloisters! — oświadczył stary Stout-Cortez podniesionym głosem. — Jest tam dom odpowiedni na taką uroczystość. Dużo pokojów! Trawniki wielkości Morza Śródziemnego, tylko zaprosić gości! Prawie tuż za bramą jest stary kościół! Tutaj siedzi moja Juanita, która strasznie lubi aranżować tego rodzaju ceremonie. Ona ubierze pannę młodą i wszystkim się zajmie!

Co pani na to, piękna seniorita, Pussy?

Cóż Posy mogła na to powiedzieć? Wszyscy przy stole patrzyli wyczekująco na nią podczas chwili tej nagłej ciszy, kiedy było słychać tylko szmer rozmów dochodzących od innych stolików.

— To bardzo miło z pańskiej strony, sir — wtrącił George, darząc narzeczoną ostrzegawczym spojrzeniem. — Cudowny pomysł! Prawda, Posy?

— Cudowny! Ach, cudowny. Tylko... Clóisters... to trochę za daleko od mego domu!

— Co znaczy „od domu”. Przecież „dom” oznacza ludzi, którzy w nim mieszkają, oznacza rodzinę — oświadczył ten, który był uosobieniem rodzinnych tradycji. — Dom to znaczy ojciec, matka, siostry i bracia! Otóż oni wszyscy po-

mieszczą się u nas w Clóisters. Wszystkich ich tam zaproszę. Zechce mi pani tylko podać adres swego ojca. Natychmiast wyślę zaproszenie.

—Pan jest bardzo miły — zaczęła znowu przerażona Posy, której prawie nikt nie słuchał. — Pan jest naprawdę bardzo dobry, ale...

—Nie istnieje tu żadne „ale”. Tak musi być! — oznajmił nieustępliwy milioner, usiłując przekrzyczeć głośną rozmowę Juanity i wnuków z Pedrem i Alfonsem. Wszyscy byli zachwyceni pomysłem urządzenia ślubu w Clóisters. — I to musi się odbyć wkrótce. Zastanówmy się natychmiast. Którego dzisiaj mamy? Tak, za dwa tygodnie wszystko może być gotowe, prawda, Juanito? Ślub można więc wyznaczyć na... Ale zazwyczaj w takich kwestiach powinna decydować narzeczona.

Znowu kilka par czarnych przenikliwych oczu spojrzało na Posy.

Posy odchrząknęła, mocno zgmiotła w dłoni serwetkę spoczywającą na jej kolanach i zawisła wzrokiem na czarnej perle sterczącej w krawacie starego Stout-Corteza.

— Lękam się, że tak prędko to będzie niemożliwe — odpowiedziała szeptem. — Bo przecież ja najpierw muszę wrócić.

—Wrócić...? — zapytali wszyscy chóralnie.

Teraz zwrócił się do niej ze zdziwieniem George:

—Skąd wrócić?

— Z Egiptu — wyszeptała Posy ze łzami w oczach.

Po tym oświadczeniu rozmowa, która dotychczas była gwarna, zaczęła nagle przycichać, a nieśmiały głosik Posy płynął niby samotna łódka kołysząca się na wzburzonych falach.

—Tak, wysyłają mnie do Kairu...

—Do Kairu? Ale po co? Kto panią wysyła? Co to ma znaczyć? Niech pani wyjaśni! Kair... Egipt... Niemożliwe!

—Do Kairu, Posy? Po raz pierwszy o tym słyszę!

—Wiem, George. I ja się dowiedziałam dopiero wczoraj wieczorem, a dotychczas nie miałam okazji porozmawiać z tobą. Dostałam rozkaz.

—Rozkaz? Któż może dawać rozkazy pani, seniorita Pozzi? Mój drogi Stirling, dopóki młoda dama nie jest zamężna, rozkazywać jej może tylko ojciec, później zaś jedynym człowiekiem uprawnionym do tego jest mąż! — mówił poirytowany gospodarz.

Teraz Posy, podniecona i zażenowana, zaczęła tłumaczyć towarzystwu, że od kilku miesięcy pracuje w firmie Eve Evershalt...

—Ach! W salonie piękności! — rozległ się głośny okrzyk Juanity. — Właśnie w tym salonie, w którym ciotka Inez ma zawsze jakieś awantury. Już nieraz mówiła, że musi się przenieść do innego, ale nigdy jakoś nie dotrzymuje słowa. Pewnego razu w Valparaiso, gdy przyciemniała sobie rzęsy w tamtejszym oddziale Eve Evershalt, eoś jej wpadło do oka i oczywiście pod wpływem bólu uderzyła w twarz panienkę, która jej robiła zabieg. Nigdy w życiu nie słyszałam takiej awantury...

—A czy seniorita Posa jeszcze teraz pracuje w tej firmie? Właściwie to jest całkiem niepotrzebne, gdy młoda dama jest już w przededniu ślubu. Może już pani nie wyjeżdżać do Kairu i nie spełniać poleceń firmy...

—Nie mogę zrobić zawodu mojej zwierzchniczce, Mrs Ellis — zaprotestowała Posy, wyciągając list z torebki i powiewając nim, jakby miał być flagą rozejmu podczas gorącej bitwy. — Mrs Ellis liczy na to, że pojedę na miesiąc do nowego oddziału w Kairze. Mam jej jutro rano dać odpowiedź...

—Tak! Niech jej pani powie — przerwał z uśmiechem milioner — niech im pani wszystkim powie, że dłużej nie mają prawa wydawać pani rozkazów, bo za dwa tygodnie będzie już pani mężatką. Czy nie mam racji, Stirling? — (George skinął głową, ale tylko Posy usłyszała, jak mówił, że nigdy nie pochwalał tej pracy narzeczonej w salonie Eve Evershalt). — Niech im pani da do zrozumienia, że jeżeli dojdą do wniosku, że coś jest niejasne, to mogą porozmawiać ze mną. — Wsunął duży palec lewej ręki do kieszonki kamizelki. — To, co mówię, jest...

To, co miał zamiar powiedzieć, pozostało dla wszystkich tajemnicą, gdyż właśnie w tej chwili do stołu zbliżył się główny kelner. Pochyliwszy się nad Hiszpanem, szepnął uprzejmie:

—Pański szofer, sir, prosił, aby przypomnieć, że niewiele już czasu zostało do odejścia pociągu, a podobno życzył pan sobie wyjechać kwadrans na trzecią...

—Już czas, już czas! Naturalnie. W miłym towarzystwie człowiek całkiem zapomina, że czas tak szybko mija. Chodźcie, dzieci! Pedro! Juanita! Alfonso! Musimy już iść, Stirling, mój drogi chłopcze, czarująca miss Winner! Wkrótce się znowu zobaczymy. Napiszę — zatelefonuję — wszystko załatwię. *Au revoir, au revoir!*

I teraz wreszcie, mając jeszcze w uszach szum pożegnalnych okrzyków, Posy zorientowała się, że stoi w blasku Piccadilly, tuż przy sztachetach Zielonego Parku. Patrzyła na George'a, który teraz nie wyglądał wcale łagodnie i w pewnej chwili zapytał sucho:

— No i co będziesz teraz robiła?

XII. TRZECIA SPRZECZKA

Posy najchętniej wskoczyłaby teraz do pierwszej przejeżdżającej taksówki i odjechała sama do swego pensjonatu, aby tam w ciszy uporządkować myśli, wypić filiżankę gorącej herbaty i — jak powiadają stare piastunki — „grzecznie się położyć”. Na pewno później spotkałaby się z George'em, aby zjeść razem obiad i odprowadzić go na dworzec Victoria, z którego miał jechać do Harold-Hurst. Już w pociągu, gdy jechali z Maidenhead, tłumaczył jej, że wraca do szkoły wczesnym wieczorem, bo ma jeszcze mnóstwo pracy, którą musi skończyć na jutro rano.

Nim Posy zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, George począł mówić dalej tym twardym, obrażonym tonem, twierdząc, że chciałby z nią omówić szczegóły bliskiego ślubu i pyta, gdzie byłoby najwygodniej?

—Wszędzie, gdzie jest cicho — odparła Posy z westchnieniem. Wówczas George tonem jeszcze chłodniejszym rzucił obojętną uwagę:

—Lękam się, że doszłaś do wniosku, że moi przyjaciele cię nużą.

George sam był wystarczająco nużący. Żaden szanujący się Anglik nie robi nikomu wyrzutów w publicznym miejscu, żaden młody nauczyciel nie zniósłby tego, aby sąsiedzi siedzący w restauracji przy innych stolikach patrzyli ze zdziwieniem na towarzyszkę owego nauczyciela. George bardzo cierpiał podczas uroczystego śniadania w hotelu Ritz. Trzymał się wprawdzie mocno, lecz złość w nim wzbierała coraz bardziej i doszła do kulminacyjnego punktu, gdy usłyszał szczere wyznanie Posy, że uważała całe towarzystwo za „trochę” nużące.

— Bardzo mi przykro, ale musisz przyznać, Posy, że wszyscy byli dla ciebie wyjątkowo mili i dobrzy, bo przecież ten starzec nie każdego by tak chętnie zapraszał na uroczystość ślubną do Cloisters...

—Oczywiście! Bardzo ładnie z jego strony! Ale, George, czy chciałbyś, żeby nasz ślub...

—Dlaczego nie? — zapytał George pośpiesznie niemile dotknięty, bo z radością już myślał o weselnej uczcie, która odbędzie się w tak arystokratycznym gronie... Wyobrazić sobie, że ciotka Inez... Alfonso... i ci wszyscy... będą przyjaźnie i serdecznie rozmawiać z dawnymi szkolnymi kolegami George'a. Później na pewno niektórzy rodzice uczniów będą opowiadać o rodzinie starego Hiszpana. Całkiem miła perspektywa, a jednak... Było więcej „za” niż „przeciw”, jeżeli

chodziło o urządzenie uroczystości ślubnych w Cloisters i właśnie do tego George chciał przekonać swoją przyszłą żonę.

Zaczął o tym mówić, gdy skierowali się do bramy Zielonego Parku, który stał się sceną trzeciej sprzeczki w czasie narzeczeństwa.

*

To nie jest znowu tak dużo, pomyślicie, tylko trzy sprzeczki podczas narzeczeństwa, które trwa od tylu lat! Nie liczę tu jednak tych wszystkich okazji, podczas których przekomarzali się, lecz niezupełnie na serio. W czasie długiego narzeczeństwa, szczególnie po pierwszym roku, sposobności do kłótni bywa mnóstwo. Ale jeżeli idzie o prawdziwe kłótnie między Posy i George'em, to istotnie były tylko trzy. Pierwsza — wówczas, gdy Posy pod wpływem zazdrości odesłała mu pierścionek; druga — gdy George dowiedziawszy się, że jego narzeczona podejmuje samodzielną pracę, dawał jej za przykład żony średniowiecznych krzyżowców, które cierpliwie czekały w domu powrotu swych panów i władców (właśnie przy tej okazji Posy po raz pierwszy zdobyła się na odwagę, mówiąc: „Ale krzyżowcy mieli tyle rozumu, żeby poślubić swe narzeczone, zanim poszli na wojnę!”). Trzecia sprzeczka nastąpiła teraz, kiedy George skonstatował, że może się już wreszcie ożenić, zażądał od Posy wyznaczenia daty ślubu i ku swemu wielkiemu zdziwieniu dowiedział się, że Posy pragnie ślub odłożyć!

—A ten wyjazd do Kairu. Czy nie możesz z niego zrezygnować?

—Nie rozumiesz mnie, George. Wcale bym nie chciała zrezygnować z takiej okazji! Przecież nie zawsze się zdarza coś takiego, że można bez pieniędzy wyjechać za granicę!

Spojrzał na nią. Była zarumieniona z podniecenia i wyjątkowo ładna w tej chwili. Wyglądała najwyżej na osiemnaście lat. Jego skarb! Zachowanie George'a stało się łagodniejsze.

Uśmiechał się nawet, gdy powtórzył:

—Za granicę... ależ dopiero w zeszły piątek wróciłaś z zagranicy?

—Ale to nie to samo! Tamten pobyt trwał tylko trzy tygodnie i to był mój urlop spędzony we Francji...

—Trzy tygodnie? Ależ, moja droga, byłaś tam prawie sześć tygodni!

—Nie wynikało to z mojej winy, tylko z powodu tego wypadku.

—Tak! A co się znowu przytrafi, gdy wyjedziesz za granicę i będziesz z daleka ode mnie? — George uczynił jej wymówkę tonem wyższości, który najbardziej zirytował Posy. Przemawiał tak do niej, jakby była jednym z małych chłopców, przebywających w internacie w Harold-Hurst.

Zapytała:

—Ale co to ma z tym wspólnego? Nikt przecież nie mógł przewidzieć, że tak sobie poranię nogę? Tamto działo się we Francji, a teraz mam okazję zobaczyć Egipt, od tak dawna o tym marzyłam!

—Marzyłaś? Po raz pierwszy wspominasz mi o tym — mruknął George, znowu rozgniewany. — I chcesz koniecznie wyjechać i zostawić mnie tutaj na cały miesiąc?

—Rozstawaliśmy się już na dłużej niż na miesiąc i zdarzało się to bardzo często.

—Ale żadne z nas nie wyjeżdżało do obcego kraju! A właśnie teraz ty chcesz wyjechać, kiedy należałoby myśleć o czymś całkiem innym. Należałoby zadecydować coś w sprawie umeblowania i tak dalej. Młode dziewczęta przeważnie lubią same zajmować się urządzeniem swego własnego mieszkania, toteż myślałem...

Z niebywałą cierpliwością Posy wtrąciła:

— Będę miała jeszcze dość czasu, żeby się przyzwyczaić do tej myśli, prawda?

George nie odpowiadał na to przez dłuższą chwilę, a później oboje wciąż powracali do tego tematu. Oboje byli dotknięci, zagniewani i zniechęceni. Podczas rozmowy Posy pomyślała: „Czy nigdy mu nie przyjdzie na myśl, żeby mi pozwolić już wrócić do pensjonatu?”

Ale nie, spacerowali dalej (wzajemnie dla siebie nieprzyjemni) po parku, który wydał im się dzisiaj wyjątkowo niemiły. Od czasu do czasu przystawali na mostku, a raz nawet usiedli na ławce przysłuchując się grze orkiestry. („Oczywiście, pomyślała Posy, na pewno zagrają teraz *Wesołego kominiarczyka*”) Później zjedli obiad w sali restauracyjnej na dworcu Victoria, bo George nie chciał szukać żadnej innej restauracji i zależało mu na tym, by mieć swój bagaż pod ręką. Nic nowego nie wymyślili, ale niedziela była dla nich obojga zepsuta. A byli przecież zaręczoną parą, która powinna cieszyć się swoją obecnością. Głównym powodem był... „ślub za dwa tygodnie” i zbijający go kontrargument: „Egipt natychmiast”...

—Jeżeli teraz nie pojedę, to nie pojedę już nigdy. Jestem pewna! Pozostanę w Harold-Hurst na zawsze. Nigdy nie zobaczę Wschodu! W ogóle nigdy nic nowego nie zobaczę! — Posy wypowiadała to z taką rozpaczą, że George spojrzął na nią poprzez stół i poprzez resztki leżących na talerzach potraw. Pokiwał głową i zapytał:

—Więc to jest największe pragnienie twego serca, Posy? Chcesz zobaczyć Wschód? Marzysz o czymś nowym? Jakże inne jest to pragnienie od tamtego, owej pamiętnej nocy, wśród walijskich gór!

Milczenie. Przez dłuższą chwilę oboje nic nie mówili. Spoglądali na siebie, jak tamtych dwoje młodych kochanków, którzy siedzieli wsparci plecami o zbocze skały, pijąc gorącą zupę z termosu, skapani w srebrzystych promieniach księżyca, zatopieni w swym wzajemnym uczuciu...

I znowu oboje ulegli czarowi dawnej przeszłości. Bo jakież to wszystko nierozsądne! Ulegli czarowi słodyczy dawnych dni, czarowi wspomnień o dawnych listach miłosnych, o mrocznych pokojach, o zawodzących wśród nocy sowach, o złamanym parasolach i o innych drobiazgach, które im się tak głęboko wryły w pamięć. Zazwyczaj lepiej, gdy taki urok wspomnień pryśnie, ale trudno wyswobodzić się spod tego uroku, jeżeli są to wspomnienia pierwszej miłości, pierwszych wspólnych przeżyć.

Gdy znowu zaczęli mówić, byli już spokojni, udobruchani, a nawet czuli dla siebie.

—Skarbie! Za chwilę nadjedzie mój pociąg! Czy chcesz się w ten sposób ze mną pożegnać?

—Ach, George najdroższy, nie chcę tego. Chcę, żebyśmy się pożegnali w przyjaźni.

Posy wiedziona wrodzoną kobiecą intuicją ostrzegła teraz w duchu samą siebie: „Nie doprowadzaj do tego, żeby twój ukochany rozstawał się z tobą w gniewie. Zanim się pożegnacie, niech między wami zapanuje zgoda!”

Wyciągnęła rękę poprzez restauracyjny dworcowy stół, tę małą dłoń, która sama się prosiła o ciepły uścisk i pieszczotę... Tak się złożyło, że George nie dostrzegł tego ruchu; nie był spostrzegawczy, jeżeli chodziło o takie drobne fakty. W każdym razie jednak sprzeczka zakończyła się, nim pociąg odjechał, a przynajmniej oboje zdecydowali się pójść na pewien kompromis. Posy miała jechać do Egiptu, ślub zaś miał się odbyć natychmiast po jej powrocie i jeżeli będzie można przekonać rodziców narzeczonej, uroczystość ślubna odbędzie się w Cloisters.

—A zatem za miesiąc, George. Wrócę w połowie sierpnia — powtórzyła Posy, patrząc na niego, gdy się wychylił z okna wagonu. — Będziemy mieli jeszcze mnóstwo czasu, by ustalić problemy związane ze ślubem. Wrócę w połowie sierpnia. Jeżeli będziesz chciał, możemy wziąć ślub zaraz po moim powrocie.

—Dobrze, załatwione... — (pośpieszny przelotny pocałunek i gwizd lokomotywy). — Bądź zdrowa, skarbie...

—Do widzenia, George, najdroższy....

Skąd mogła Posy wiedzieć, że to był właśnie ostatni raz, kiedy nazwała George'a Stirlinga „najdroższym”?

TLR

XIII. DZIWNE PYTANIE I DZIWNA ODPOWIEDŹ

Czy któraś z zaręczonych dziewcząt zna takie uczucie: kiedy zdanie jej ukochanego nie zgadza się z jej zdaniem, aby się nieco uspokoić, musi się wyświadać ze swych żalów przed przyjaciółką? Żadna z was nie zna tego uczucia? To świetnie! Niestety, Posy to uczucie znała.

Z prawdziwą radością pojechała z dworca Victoria do willi mieszczącej się na Brompton Square, gdzie dowiedziała się, że Guy Turner przebywał jeszcze w klubie, Sybila zaś — na górze w swoim pokoju — była zajęta rozpakowywaniem różnych drobiazgów przywiezionych z Francji.

—Posy! Jakże się cieszę... Wyglądasz jednak na strasznie zmęczoną. Gdzieś ty była, dziecinko?

—Spacerowałam po wertepach parku wśród niedzielnego londyńskiego tłumu — odpowiedziała Posy, padając na fotel stojący przy toalecie Sybili. Błat połykiwał od kryształowych i kościanych drobiazgów, a wśród nich królował wazon z purpurowymi różami, które Guy zamówił dla żony po powrocie. (Pocziwy Guy, nigdy nie zapominał o takich szczegółach, chociaż tłumaczył się w ten sposób, że róże są zawsze tańsze od formalności rozwodowych). — Właściwie sama nie wiem, jak daleko byliśmy. Musieliśmy zrobić kilka porządných mil. — Uniosła brzeg swej cytrynowej krepdeszynowej sukni, która istotnie była zakurzona.

—Wstyd — zgromiła ją Sybila. — Jesteś przecież ogromnie zmęczona. Przydałaby się szklanka jakiegoś mrożonego napoju, prawda? Nie do pomyslenia. Żaden mężczyzna nie pozwoliłby na to, żeby kobieta się aż tak zmęczyła.

—A jak mógł temu zapobiec?

—Miał najłatwiejszy sposób: wziąć pierwszą przejeżdżającą taksówkę. Mężczyźni są na tyle zarozumiali, że nie chcą, aby kobieta odczuwała zmęczenie, bo wówczas myśli właśnie o zmęczeniu, nie zaś o tym, że przebywa w ich towarzystwie. Niektórzy zawsze się tym kierują, są jednak i tacy, których to absolutnie nie obchodzi. — (Posy w tej chwili mimo woli pomyślała o George'u). — Weź sobie poduszkę... O, a tutaj masz coś zimnego do picia. Może papierosa? Zostaniemy tutaj na górze, bo jakoś przyjemniej się rozmawia. Dla mnie to po prostu jest nie do pomyslenia...

—Daj już temu spokój!

Właściwie tyle było do powiedzenia, tyle rzeczy zaszło w tym stosunkowo krótkim czasie, kiedy przyjaciółki się nie widziały. Sobota i niedziela na wsi...

Śniadanie u Ritza z tą dziwną hiszpańską rodziną, ślubny plan Mr Stout-Corteza i perspektywa wyjazdu do Kairu.

— A George nie chce, żebyś jechała do Egiptu? Ale ty pojedziesz? Doskonale! — zawołała Sybila, siadając na krawędzi łóżka i spoglądając przenikliwie na Posy. Na twarzy dziewczyny nie było już ani śladu francuskiej opalenizny. Malowało się na niej nie tylko zmęczenie, ale także beznadziejne zniechęcenie.

W pewnej chwili Sybila zapytała:

—A gdy wrócisz z Egiptu, Posy?

—Wtedy się pobierzemy.

Sybila, jak zwykle nie zastanawiając się dłużej nad niczym, rzuciła nagle nieoczekiwane pytanie:

— Posy, dlaczego zamierzasz wyjść za mąż za George'a Stirlinga?

Posy podniosła się i otworzyła szerzej oczy. Po chwili rzekła:

—Dlaczego? Ależ na miłość boską, Sybilo, przecież ty wiesz najlepiej. Zakochaliśmy się w sobie od pierwszego wejrzenia, wówczas wśród gór Walii. Jesteśmy z sobą od kilku lat zaręczeni. Co cię skłoniło do takiego pytania?

—Bo zawsze uważam, że postępujesz nierozsądnie. Posy, musisz mi wybaczyć, ja nie jestem typem powieściowej przyjaciółki. Pomyśl, ile przeżyliśmy razem, pomyśl, w jaki dziwny sposób zaczęła się nasza przyjaźń! Ja byłam wówczas zrozpaczona, bo sądziłam, że Guy mnie nie kocha, ty byłaś zupełnie przygaszona, bo myślałaś, że George jest zakochany we mnie! Przypomnij sobie naszą wycieczkę do gospody „Pod Pstrągiem” i ten pierwszy raz, kiedy rozmawialiśmy z sobą szczerze. Chyba pozwolisz, żebym i teraz z tobą szczerze mówiła, Posy. Nie możesz się gniewać na mnie za to, co ci chcę teraz powiedzieć.

—Głupstwa pleciesz, Sybilo, kto się na ciebie gniewa? — Posy pieszczotliwie pogładziła dłoń przyjaciółki. — Ale zrozum! Czy ktoś inny nie byłby zaskoczony takim pytaniem? Dlaczego, u licha, nie mam zostać żoną George'a?

—Dlatego, że nie będziesz z nim szczęśliwa.

—Co masz w tej chwili na myśli? Dlaczego tak mówisz, Sybilo?

—Dlatego, że cię znam. Niektóre dziewczęta muszą kochać, żeby były szczęśliwe. I to wcale nie jest żaden przesadny sentyment! Po prostu takie już jest prawo natury, tak samo, jak niektórzy ludzie muszą mieć pecha i uciekają z pokoju, gdy widzą czarnego kota. Twoim życiem będzie zawsze rodzina. Musisz prowadzić gospodarstwo, musisz zajmować się domem i dbać o męża, którego będziesz kochała. Bardzo wiele dziewcząt potrafi się zadowolić tym, że mają męża. Tobie byle jaki mąż nie wystarczy, a przecież George'a nie kochasz.

—Co takiego?

—Nie możesz powiedzieć, że go kochasz, Posy!

—Ależ, Sybilo! Po tylu latach?

—Właśnie. Przed tylu laty kochałaś go. Gdy miałaś dziewiętnaście lat, byłaś tak bardzo przywiązana do George'a, że byłaś gotowa wydrapać mi oczy, gdy mnie posądzałaś, że chcę ci go zabrać. A później, tamtej zimy, gdy miał się odbyć ślub, zbudziłaś się do namiętnego uczucia dla tego człowieka. Wiem o tym. Właśnie wtedy na Boże Narodzenie, powinnaś była zostać jego żoną. Teraz, po tych wszystkich latach — tak, pozwól mi skończyć, orientowałam się w tym w owej chwili, kiedy tu do nas przyjechałaś! Po tych wszystkich latach już go nie kochasz.

Posy otworzyła usta, aby odpowiedzieć z pogardą. Ale dlaczego? Czy Sybila nie mówiła z nią po przyjacielsku? Czy mogła jej zaprzeczyć, czy to zaprzeczenie byłoby prawdą? Zaległa cisza, zanim Posy usłyszała własny głos, którym uczyniła to dziwne wyznanie:

— Przypuszczam, że go nie kocham.

Potem podniosła się i położyła na toaletce ręczne lusterko Sybili.

—Oczywiście, że nie kocham go tak, jak go idiotycznie kochałam, gdy byłam młodsza i gdy George był pierwszym mężczyzną, który zwrócił moją uwagę. Miałam wrażenie, że na jego widok słońce wschodzi i zachodzi. Miałam wrażenie, że na świecie nie ma drugiego takiego cudu. Ach, tak było! Ale co z tego, Sybilo? Przecież tego rodzaju uczucie nie może trwać wiecznie, tak samo, jak w lipcu nie może być mowy o pierwiosnkach. Byłam tak strasznie zakochana w George'u, że po prostu na większe uczucie już nie mogłam się zdobyć. Zresztą nie było to takie złe. Pierwsza miłość przeistacza się później w coś całkiem spokojnego, solidnego i trwałego...

—Po ślubie tak, nie przeczę. Ale po co wychodzić za mąż wtedy, gdy uczucia już nie ma? W twoim sercu, Posy, drogie dziecko, uczucie zanikło, zamiast przeistoczyć się w coś jeszcze bardziej trwałego. Gdy byłaś jeszcze taka bardzo młoda, że zaręczyny były dla ciebie objawieniem, myślałaś o George'u jak o cudzie. I ja w ten sposób myślałam o poczciwym Guyu, gdy go po raz pierwszy ujrzałam. Ale gdybyś teraz na przykład poznała George'a Stirlinga na jakimś przyjęciu, czy zakochałabyś się w nim tak samo?

—Nie, nie — zawołała pośpiesznie Posy, przypominając sobie „dzisiejszego” George'a na owej Uczcie Pogodzenia. — Przypuszczam, że nie.

—A przecież ja — mówiła dalej Sybila — jestem pewna, że gdybym po raz pierwszy zobaczyła Guya jutro, na pewno bym pomyślała: Ha (jak zazwyczaj mówi się w Oxfordzie), ten człowiek ma zasady. Ma charakter, jest taktowny, interesujący, nie egoista. Ma ten urok „pięknej brzydoty” i doświadczenia. To się nazywa... Czy mogłabyś to wszystko powiedzieć o swoim narzeczonemu, gdybyś go zobaczyła po raz pierwszy? Takie pytanie powinna sobie zadać każda zaręczona dziewczyna.

Posy usiadła z powrotem w fotelu i przysłuchiwała się słowom przyjaciółki, pijąc wolno zimny napój.

—George — argumentowała Sybila — jest typem mężczyzny, którego powinnaś była poślubić od razu albo nigdy. Dał ci dość dużo czasu, żebyś bez niego nabrała doświadczenia, toteż będzie lepiej, gdy i nadal pozostaniesz bez niego. Nie należy nigdy przeciągać struny. Czy mogłabyś być z nim szczęśliwa? Jeżeli mam być z tobą szczerą — dorzuciła Sybila z figlarnym uśmiechem — to muszę ci wyznać, że ja osobiście wyszłam za mąż bardzo szczęśliwie. Tak samo szczęśliwa jest twoja siostra Kit, chociaż Frank flirtuje z innymi, chociaż jest o niego zazdrosna i na pewno niejednokrotnie robi mu sceny. A dlaczego my jesteśmy szczęśliwe? Dlatego, że kochałyśmy prawdziwie, gdy wychodziłyśmy za mąż, że nie ominęłyśmy tego najważniejszego momentu naszego życia. Utrzymałyśmy się na powierzchni fali, nie zapadłyśmy w otchłań, więc nie miałyśmy potrzeby z tej głębiny się wydostawać. Posy, wiem, że nie może być zawsze tak, jak się zaczęło! A czy nie należy z tego początku korzystać? Czy sam początek nie powinien być najcudowniejszy? Bo później, gdy przychodzi kres, człowiek ma już wszystkiego dosyć. Beznadziejnie jest wtedy, gdy początek...

—A czy ze mną na początku nie było cudownie? — zaprotestowała Posy. — Chyba wiesz najlepiej! Było wspaniale!

Sam George wtedy powiedział: „Wszystko jedno, co się ze mną później będzie dziać, wszystko jedno, gdzie się będę znajdował, nigdy już nie przeżyję cudowniejszego okresu od tej pierwszej wiosny, kiedy ciebie poznałem...”

—Czy to nie było wystarczające ostrzeżenie? — zapytała spokojnie Sybila.

Wówczas Posy odczuła, że mogłaby się odwrócić i pożegnać na zawsze z najlepszą przyjaciółką za to, że chciała jej zepsuć najcudowniejsze wspomnienie o tej pierwszej wiosnie miłości.

Potrząsnęła swą kształtną ciemną główką.

—Daj spokój — wyszeptała — nie powinnaś mówić tak, jakbym istotnie przestała lubić George'a. Nie mogę zapomnieć...

—Błąd popełnia ten, kto chce żyć wspomnieniami — oświadczyła Sybilla. — Przypomina to wachanie róży, która została zaszuszone w tomiku poezji jeszcze w 1926 roku.

Posy znowu potrząsnęła głową. Ciągle jeszcze pozostawała pod urokiem słów, które George wypowiedział w restauracji dworcowej: „Jak inne jest to pragnienie od tamtego, owej pamiętnej nocy, wśród walijskich gór!” Wolą nie słuchać tego, co mówiła Sybilla.

—Uważasz, że George nie jest dla mnie odpowiednim typem? — szeptała. — Jest szlachetny pod każdym względem, wysportowany i prawdziwy dżentelmen!

—Godzien oklasków. Ale Posy, czy George sądzi, że ty uwierzyłaś i zrozumiałaś ten nieszczęsny epizod ze mną na wieczorku? Jeżeli ktoś usiłowałby flirtować z tobą... — (Posy oparła swą drobną twarzyczkę na dłoni, patrząc nieprzytomnie na toaletkę Sybili, wsłuchana we wspomnienie dawno wypowiedzianych słów, które szumiały jej jeszcze w uszach: *Vous être bella!*) — Jeżeli ktoś usiłowałby flirtować z tobą, czy George wówczas zachowałby się też tak szlachetnie?

—Przecież on jest zaręczony. Ja jestem także zaręczona, ale kobieta to zawsze coś całkiem innego.

Sybilla nie zwróciła uwagi na ten naiwny argument.

—Mężczyźni w stosunku do kobiet są albo zanadto pobłażliwi, albo też mniej wyrozumiali, niż kobiety na to zasługują. Ale szlachetni w stosunku do kobiet nie są nigdy. Żaden z nich nie jest szlachetny!

—Więc dlaczego mamy winić o to George'a? — Posy uśmiechnęła się blado. — Ty winisz go tylko dlatego, żeś go nigdy specjalnie nie lubiła!

Sybilla spojrzała jej prosto w oczy i powiedziała:

—Nie lubiłam. Ale posłuchaj, Posy, to wszystko, co mówiłam o George'u, nie wyraża jeszcze tak wielkiej niechęci, jaką ty w tej chwili odczuwasz wobec niego.

—Co takiego?

—Najlepszym dowodem jest twój wyjazd do Kairu. Mnie to zupełnie wystarcza!

—Co takiego?

—Tak! Nie opowiadaj mi o swoim nowym ukochaniu Wschodu, o tym, że zawsze marzyłaś o takiej podróży. Sama siebie oszukujesz. Nie idzie ci o to, żeby zobaczyć piramidy, ale przede wszystkim nie chcesz widzieć George'a. Nie tęskniłabyś tak za Egiptem, gdybyś w głębi duszy nie tęskniła za tym, aby uwolnić się od George'a!

—Sybilo!... Nigdy nie słyszałam podobnych bredni — oświadczyła Posy ze śmiechem. — Nawet po tobie się tego nie spodziewałam!

—To jest tylko szczerą prawdą. Twoja „tęsknota za Egiptem” w gruncie rzeczy oznacza pragnienie ucieczki!

—Nie, „zmianę wrażeń”! — zaśmiała się Posy i w tej samej chwili obie usłyszały wesoły głos Guya Turnera na korytarzu:

—Halo! Sybilo! Posy! — po czym nastąpiło pytanie, które jednocześnie oznaczało zakończenie ich dotychczasowej rozmowy: — O czym dziewczynki tak plotkują?

—Właśnie zamierzałyśmy zejść na dół — zawołała pośpiesznie Sybila. — Proszę cię, Posy, nie obrażaj się na mnie...

—O tym nie ma mowy, kochanie! — odparła Posy, gdy spieszenie schodziły do Guya.

*

Podczas podróży do Egiptu, patrząc przez okno kajuty na błękitną toń Morza Śródziemnego, Posy mówiła do siebie:

„To przechodzi już wszelkie pojęcie, że Sybila radzi mi nie wychodzić za mąż za George'a. Gdy zostanę jego żoną, uniknę wielu zmartwień. Dość już tych ciągłych emocji. Znudziły mi się. George ma słuszość. Najlepiej nam będzie razem”.

Zazwyczaj gdy się sądzi, że przeżyło się już wszystko najlepsze, zjawia się nagle coś takiego, co jest całkiem nowe i jeszcze bardziej emocjonujące.

CZEŚĆ CZWARTA

I. SFINKS PRZY KSIĘŻYCU

Pod koniec jej pobytu na Wschodzie, na dwa dni przed powrotem do Anglii, zjawilo się przed Posy coś takiego, czego nie oczekiwała.

Oglądała Sfinksa po raz pierwszy, w poświęceniu egipskiego księżycu. Stała w swej białej jedwabnej sukience, mając nad głową ciemnobłękitne niebo, a pod stopami rozgrzany całodziennym upałem piasek. Nawet przy księżycu ten piasek miał całkiem inną barwę niż piasek w domu, w Walii. Egipski był niemal różowy. Dziwnie ciepło zabarwiona była ta kamienna twarz, na którą Posy patrzyła, zapomniawszy o całym świecie. W tej chwili nie potrafiłaby nawet powiedzieć, skąd się wzięła tutaj (przybyła ze swoją koleżanką, miss Hogarth, z salonu Eve Evershalt w Kairze). Miss Hogarth było to rumiane, pozbawione fantazji, dobroduszne stworzenie, które zaprosiło Posy, aby wybrała się na wycieczkę wraz z nią i z jej przyjacielem Francuzem. Przyjechali na dwóch osłach i na wielbłądzie. Gdy dotarli do piramid, towarzysza Posy zadowolila się jednym spojrzeniem i pytaniem: „Cudowne, prawda?“, po czym razem z przyjacielem oddalila się mówiąc: „Możesz zostać tutaj, Posy, jeśli masz ochotę. My idziemy szukać szczęścia, wrócimy tu po ciebie“.

Posy stała, zapomniawszy o wszystkim, jak to zwykle bywa, gdy człowiek tonie w głębokim śnie. Zapomniała nawet o niedalekiej przyszłości i o tym, co jej mówiła Sybila.

Zapomniała o swojej tęsknocie za Wschodem, zapomniała o tym, że wkrótce po przyjeździe pojeła, jak dalece praca tutaj, w salonie Eve Evershalt, była inna od tej w Londynie.

Tu była bardziej gorączkowa i obie z miss Hogarth były czasami tak zmęczone całym dniem, że wieczorem marzyły tylko o tym, aby jak najspieszniej wsunąć się pod gęstą siatkę chroniącą od moskitów i zasnąć. Zapomniała o tym, że obie z miss Hogarth straciły kolory i wychudły, zapomniała, że powinna napisać o swo-

jej pracy w którymś z listów wysyłanych do George'a. Istotnie zapomniała o George'u i o wszystkim, mając przed sobą ten majestatyczny kamienny posąg.

„Dlaczego wszyscy mówią o uśmiechu Sfinksa? Przecież on się nie uśmiecha, tylko obserwuje”.

Tę myśl wypowiedziała głośno, bo nawet zapomniała o towarzystwie miss Hogarth i jej francuskiego przyjaciela, tak samo, jak zapomniała o hałaśliwych chłopcach, którzy prowadzili osły, o rozgrzanym piasku i o ludziach, którzy ją otaczali przez cały dzień. Nie zauważyła, że w pobliżu wysoki mężczyzna w białym płóciennym ubraniu zsiadł z wielbłąda i zbliżał się do niej, nie spuszczać jej ani na chwilę z oczu.

Srebrzysty promień księżyca odbił się reflekssem w kamykach, którymi była wysadzona broszka dziewczyny przypięta do sukni. Mężczyzna dostrzegł tę broszkę i przeniósł spojrzenie na twarz dziewczyny, drobną, uduchowioną, bledszą teraz niż zwykle. Przystanął, słysząc wypowiedzianą głośno myśl:

—On się nie uśmiecha, tylko obserwuje...

—Sfinks? Masz słuszość, Posy — rzekł spokojnie Jeffrey O'Brien.

Odwróciła spiesznie głowę i z jej piersi dobył się okrzyk:

— Jeffrey! Oczywiście! — nie była zaskoczona, że tu, w dalekim Egipcie spotkała dawnego przyjaciela, więcej, spodziewała się go właśnie tutaj, w sąsiedztwie tej kamiennej tajemnicy.

Zupełnie naturalnym głosem Jeffrey zapytał:

—Czy widzisz go po raz pierwszy?

—Tak.

—Ja także.

Dlaczego Posy w tej chwili doznała uczucia zadowolenia, że oboje po raz pierwszy znaleźli się przy Sfinksie? Przez dłuższą chwilę zdawali się wchłaniać w siebie ten cudowny widok, ten widok rozgrzanego błękitu nieba, księżyca, który nie był wyraźnie srebrny, lecz raczej purpurowy, jak wschodni lotos, zaróżowionego piasku, piramid, które nagle stały się w ich oczach realne, i tajemniczej kamiennej twarzy, jakby wpatrzonej w oczekiwany wschód słońca. Zbliżyła się do nich niewielka grupa turystów. Przystanęli obok Posy i Jeffreya O'Briena. Nasi bohaterowie nie zdawali sobie prawie wcale sprawy z obecności wysokiego, szczupłego, jakby sennego Niemca w okularach, który miał małą spiczastą bródkę i nosił angielski, biały płócienny garnitur.

Poprawną, lecz nieco obco brzmiącą angielszczyzną tłumaczył:

— Za moich czasów, gdy byłem tu jeszcze jako młody student w towarzystwie przyjaciół, nie widzieliśmy dokładnie kształtu i wielkości ciała tego kolosa. Sfinks był pokryty piaskiem aż do szyi, było to jeszcze przed jego wykopaniem.

Jakiś kobiecy głos zapytał z ciekawością:

—A co uderza pana w obecnym widoku, profesorze?

Oczywiście musi być piękniejszy? Większe wrażenie sprawia teraz, gdy się widzi to potężne ciało, tę potężną klatkę piersiową i te łapy olbrzyma. Czy jest pan zadowolony, że to wszystko nie jest teraz ukryte?

—Tego bym nie powiedział. Bo gdy byłem młodym studentem i gdy moi towarzysze leżeli w cieniu Sfinksa, z głowami na ciepłym piasku, który pokrywał Sfinksowi boki, leżeliśmy wówczas tutaj beztroscy i szczęśliwi, śpiewając studenckie piosenki. Rozmawialiśmy wesoło niemiecką studencką gwarą, czyniąc rozmaite domysły na temat ukrytego ciała Sfinksa. Obecnie tajemnica jest wyjaśniona, ale wołałbym wrócić do tamtych czasów...

Gromadka turystów oddaliła się. Posy i Jeffrey stali wciąż zapatrzeni, aż Posy wreszcie szepnęła:

— Dlaczego Sfinks nie wygląda tak, jak na fotografiach?

— Nie wygląda? Nie wiem, dlaczego. Nie widziałem fotografii, która by dała choć blade pojęcie o rzeczywistości.

Może dlatego, że widzimy go teraz w wyjątkowym oświetleniu. Nie widzimy tego zniszczenia, które uczyniły minione wieki. To światło księżyca zdaje się na nowo wszystko wygładzać, nadawać mu jeszcze więcej piękna i uroku.

W milczeniu trwali dłuższą chwilę, po czym Jeffrey rzekł:

— Właśnie tutaj każdy człowiek może zdać sobie sprawę z marności świata, z tego, co robił w ciągu ostatnich tygodni i z tego, że tu się nagle z kimś spotyka. Przebywam tu dopiero od trzech czy czterech dni z dwoma turystami, którzy mnie zwolnili na dzisiejszy wieczór. A ty oczywiście spędzasz tu swój miodowy miesiąc — dorzucił, jakby się bał, aby mu sama tego nie powiedziała. — Widzę, że nosisz jeszcze tę broszeczkę, Mrs Stirling?

Uczyniła ostrzegawczy ruch ręką.

—Daj spokój! Takie rzeczy nie przynoszą szczęścia w małżeństwie, Jeffrey.

—Co masz na myśli? Jakie rzeczy?

—Gdy się nazywa kobietę tak, jak się będzie nazywała po ślubie.

—Po ślubie?

—Tak, nie spędzam tu miodowego miesiąca. George jest w Anglii.

Na dźwięk tego imienia tęczy sen nagle prysnął. Prysnał cały urok i czar egipskiej nocy! W dali majaczyły wyraźne cienie osłów, wielbłądów i snujących się turystów. Posy i Jeffrey O'Brien byli znowu parą angielskich globtroterów, rozmawiających o marności świata i o tym, gdzie znajdowali się w tej chwili inni ludzie.

—George w Anglii?

—Tak. Upadł plan odwiedzenia podczas lata szkół na kontynencie, więc został w Harold-Hurst...

—A co ty tutaj robisz sama?

—Jeffrey, ja nie jestem sama. Przyjechałyśmy...

—Przyjechałyście? — zapytał pośpiesznie.

—Jestem tutaj z koleżanką z salonu miss Eve Evershalt, który niedawno otworzono w Kairze.

—Więc ty pracujesz?

—Jeszcze tylko dwa dni. To jest moja ostatnia praca przed zamążpójściem, Jeffrey.

—Ach, tak? Więc data ślubu jest już oznaczona?

—Tak — odparła Posy. Brzmiało to nieprawdopodobnie ponuro. Podniosła w górę głowę i rzekła znowu z udaną swobodą: — Tak! Ślub ma być zaraz po moim powrocie do domu, piętnastego sierpnia.

—Więc tak! — mruknął Jeffrey. — A ja zostanę zaproszony na ślub?

—Oczywiście. Mam jeszcze twój adres. Dostaniesz zaproszenie. Przyjedziesz? — zapytała i spojrzała w przeciwną stronę, pośpiesznie, na kamienną twarz Sfinksa.

Sfinksowi było wszystko jedno, czy rzymskie, egipskie albo brytyjskie mocarstwo zostanie zmiecione z globu ziemskiego, czy drobna angielska dziewczyna będzie się śmiała, czy płakała pod chmurnym niebem Walii. Lecz dla Posy ten kamienny kolos, ta parna egipska noc były teraz znowu czymś nowym i zbudziły w jej duszy całkiem nowe przeczucia. Jeffrey, obcy i cudowny przyjaciel, który sprawiał wrażenie brata, chociaż był dla niej więcej niż bratem — Jeffrey, którego spotkała po raz pierwszy owego niezapomnianego wieczoru wśród walijskich gór, gdzie znalazła swoją pierwszą miłość — Jeffrey, którego znalazła ponownie w Oxfordzie, kiedy poznała pierwszą gorycz zazdrości i który jej wówczas pomógł — Jeffrey, ujrzany potem we Francji, który stał się poniekąd przyczyną owego strasznego wypadku — Jeffrey, którego pożegnała, leżąc obandażowana we francuskim hotelu — Jeffrey, odnaleziony znowu tutaj. Ten chłopak pozosta-

nie na zawsze niezapomnianym obrazem w życiu Posy, Jeffrey... Czy przyjmie zaproszenie na jej ślub, mający się wkrótce odbyć?

Miała nadzieję, że tak. Będzie to oznaczało, że jest ciągle jeszcze przyjacielem, towarzyszem, na którym można polegać, kolegą, który niósł ją w swych silnych ramionach, zabrał z sali opatrunkowej i przeniósł do hotelowego pokoju, gdzie miała wyzdrowieć...

Jednocześnie przypuszczała, że nie. Chciała zachować Jeffreya w pamięci jako nieodłączną część swobody, młodości, aby nie miał nic wspólnego ze ślubem, z towarzystwem weselnych gości, z chórem małych chłopców śpiewających *Ach, prawdziwa miłość*, z bandą przenikliwie patrzących na świat dawnych przyjaciół, z denerwującymi myślami, z gromadą czarnookich, smagłych Hiszpanów, którzy zaofiarowali swoją letnią rezydencję zwaną Cloisters, z trawnikami wielkości Morza Śródziemnego. Posy nie chciała, aby tam był Jeffrey, i miała nadzieję, że zaproszenia nie przyjmie,

TLR

Tych wszystkich uczuć doznawała w ciągu jednej krótkiej chwili, zanim Jeffrey zdążył odpowiedzieć — tak spokojnie!

— Czy przyjadę na twój ślub? Oczywiście, że przyjadę, obiecuję ci — dorzucił z jakąś dziwną nutą w głosie, pod której wpływem zadrżała, jak dzieci drżą, gdy opowiada się im o mieszkaniu, w którym straszy. — Mogę ci teraz przyrzec jedno, Posy, że nie pozwolę na to, abyś wzięła ślub beze mnie!

„Co miał na myśli, gdy to mówił?“, zapytywała siebie Posy, bo w tym powiedzeniu Jeffreya: „nie pozwolę, abyś brała ślub beze mnie“ było coś znaczącego, ale co?

Nim zdążył coś jeszcze powiedzieć, przyłączyli się do nich miss Hogarth i jej przyjaciel, Francuz. Nastąpiła wzajemna prezentacja... wyjaśnienie Jeffreya, skąd w ogóle znalazł się w Egipcie (choć w gruncie rzeczy w obecnych czasach trudno pytać pilota, jakim cudem znalazł się w tym czy innym miejscu). Jeffrey O'Brien, jak się okazało, przybywał właśnie z Aten i miał jeszcze przez kilka dni pozostać w Kairze.

—Dzięki temu — powiedział później Posy podczas powrotnej drogi z pustyni — będziesz mogła właśnie stąd wybrać się ze mną na pierwszą wycieczkę samolotem. Pamiętasz, jak przyrzekliśmy sobie wzajemnie, że pierwszą podróż samolotem odbędziesz ze mną?

—Czy pamiętam? Oczywiście. Cudownie — uradowała się Posy. — Dziękuję ci bardzo, będę ogromnie zadowolona.

—Na pewno będziesz zadowolona — powiedział krótko Jeffrey.

Posy pomyślała: „Ileż ten człowiek mówi, zdaje się mówić mi więcej, niż wypowiada słowami. Zdaje się pokazywać mi, że rozumie to wszystko, co ja czuję i co powinnam czuć. Jaka jest różnica między Jeffreyem i ludźmi, którzy mnie otaczają? Wszystko w moim życiu stało się nagle takie dorosłe. Od czasu zaręczyn George stał się typowym nauczycielem, mamie posiwiały włosy, wszyscy studenci z Oxfordu są w biurach albo w pułkach, albo jeżdżą szybkimi samochodami, Maureen Acres zdobyła sławę, moja siostra Kit stała się dobrą gospodynią, która ciągle tylko myśli o tym, że Franczkowi wyrósł drugi żąb! Nawet Sybila jest moją starszą zameżną przyjaciółką i wygłasza mi perory, nawet mój pies, Taffy, nie może już tak szybko biegać po górach. Tylko Jeffrey — tylko Jeffrey absolutnie nie wydorósł. Jest ciągle taki sam, jak za dawnych czasów, gdy mi dokuczał, że bawię się lalką. Tylko Jeffrey przyjmuje wszystko jak mały chłopiec, nie mając nigdy ponurej miny! Jest «właściwym człowiekiem na wła-

ściwym miejscu», a przy tym potrafi się cieszyć, zachował młodzieńczy entuzjazm".

I wśród tych refleksji usłyszała pytanie Jeffreya:

—O której godzinie będziesz mogła jutro wyjść?

—Będę zajęta do wpół do szóstej — nie, jutro do szóstej.

—Przyjdę po ciebie o wpół do siódmej do hotelu. Ale czy ta noc nie jest szalenie romantyczna? — W ustach Jeffreya brzmiało to jak świeżo odkryte pojęcie.

— Mamy nad sobą wspaniałą, egipski księżyc. Nie wiem, czy mi uwierzysz, że nigdy jeszcze nie pływałem łódką po Nilu. Co takiego? Ty także? Jesteś tu miesiąc i nie znalazłaś na to chwili czasu? Co za szczęście! Oczywiście teraz będziemy mogli doświadczyć tego razem po raz pierwszy.

TLR

II. EGIPSKA BAŚŃ

Była to prawdziwa fantastyczna baśń.

Jeffrey w drodze do przystani, skąd odpływały łodzie, rzekł: „Tutaj! Daj mi to!” i łagodnie odebrał jej naszywaną cekinami pelerynkę, którą Posy była okryta i która zdawała się ją męczyć. Tak, wielki ciężar zdjął jej z ramion. Swobodnie i wesoło rozmawiała z nim teraz o wszystkim i o niczym.

— To wszystko — mówiła mu, gdy wsiedli na statek kursujący po Nilu — wydaje mi się, jakby było baśnią.

Piętnaście lat temu o tej samej porze Posy Wynn, córka doktora, wydawała się sobie samej małą rusałką albo księżniczką, której bracia wyruszyli na krwawą wyprawę. Teraz Posy Wynn była pracownicą salonu Eve Evershalt w Kairze, wyjeżdżającą w przyszły wtorek do Anglii, aby poślubić szlachetnego młodzieńca, z którym była od dawna zaręczona, i jednocześnie była szczęśliwą dziewczyną, która po raz pierwszy wybierała się na przejażdżkę po Nilu.

*

Jeffrey i Posy prawie przez cały czas siedzieli w milczeniu. Zdawali sobie sprawę z cudownej wschodniej nocy, lecz jeszcze bardziej odczuwali swą obecność. Ta noc, podczas której księżyc mienił się wszystkimi barwami, wydała im się jakby częścią ich samych.

Jak długo trwało, póki któreś z nich nie przemówiło?

Posy nie potrafiłaby nic powiedzieć. Jeffrey pierwszy przerwał milczenie.

— Tutaj, gdzie musimy zmienić znowu... — Czy myślał o tym, żeby się przesiąść na przeciwną stronę statku? Gdy się podnieśli, podał jej rękę, lecz gdy usiedli, ręki tej nie wypuścił ze swego uścisku. Trzymał ją lekko, ale kurczowo.

—Zmienić — powtórzył — czas, który ty zmieniasz!

—Nie — szepnęła Posy, doskonale wiedząc, co miał na myśli.

—Dlaczego nie?

—Nie — powtórzyła znowu Posy, walcząc z urokiem, który ją powoli opamowywał, walcząc z czarem obecności Jeffreya, z blaskiem, jaki rozsiewała ta cudowna rzeka...

Jeffrey rzekł, potrząsnąwszy jej drobną ręką:

— Nie wrócisz już do George'a Stirlinga, nie będziesz myślała o poślubieniu go. Nie wolno ci. Dziecko, to by była zbrodnia! Wiesz przecież to, na co nie należy tracić słów. Należymy do siebie, ty i ja.

— Nie — wyszeptała Posy z zapartym oddechem. — Nie!
Powiedziała to w ten sposób, jakby mówiła „tak”, uśmiechając się do księżyca, który rozjaśniał teraz jej twarz.

— Cieszę się, że zdajesz sobie z tego sprawę — mówił Jeffrey. — Tak było od początku, nie uważasz? Słuchaj, najdroższa, czyż nie należeliśmy zawsze do siebie? Nie chciałaś na mnie patrzeć, gdy po raz pierwszy zobaczyłaś mnie w górach. Zostawiłem cię dla George'a. Gdy zjawiłem się podczas tego spotkania, tam, w Oxfordzie, czy nie byliśmy przyjaciółmi? Czyż nie mogłaś ze mną zupełnie szczerze mówić? Gdy siedziałem na podłodze u twoich stóp — ach, sam nie wiedziałem, dlaczego tak siedzę! Coś mnie do tego zmusiło. Sprawiałaś wrażenie małego, nierozwiniętego pączka róży, który miałem ochotę zerwać i włożyć do butonierki.

I tej samej nocy — u Armstrongów, ty w tej swojej czerwonej sukience i ta orkiestra grająca: *Wówczas, gdy byłeś jeszcze moim przyjacielem* — pamiętasz, jak stwierdziliśmy, że dobrze nam się razem tańczy?

Posy miała zamiar powiedzieć „nie!”, lecz mimo woli przypomniała mu:

— I powiedziałaś, że jestem doskonałą partnerką...

— Mówiłem prawdę. Jesteś doskonałą partnerką nie tylko w tańcu. Będiesz idealną towarzyszką życia. Jesteś tym, czym nie są inne dziewczęta. Och, nasze wspólne życie będzie cudowne. Tak, jak we Francji, tylko jeszcze lepiej, kiedy będziemy się śmiać z jednych i tych samych rzeczy, jak tam w hotelu, po twoim wypadku...

— Jeffrey, to wszystko nie ma nic wspólnego z...

Nie zwrócił uwagi na jej słowa. Jego głos, siła i słodycz rozbijały ją, starały się przebłagać w każdym najmniej dosłyszalnym tonie.

— Wiem, że bardziej mi się wtedy podobałaś niż ktokolwiek inny. Leżąc tam na trawie w jasnym blasku słonecznym i nie jęknąwszy nawet, tam pod opieką tego małego chłopca... I później, kiedy lekarz zszył ci nogę — Posy, kochanie, nie umiem ci powiedzieć, co wtedy czułem...

— Nie trzeba mówić — szepnęła Posy — bo ja i tak wiem.

— Ach, widzisz? Ty i to rozumiesz!

— Wiem: myślałaś wówczas, że zachowuję się po bohatersku...

—Właśnie tak i jeszcze coś więcej. To wszystko mówię w tym celu, żebyś przestała myśleć o dniu piętnastym sierpnia i została moją żoną.

Posy pozwoliła mu to powiedzieć. Pozwoliła, aby woda szumiała podniecająco, pozwoliła, aby żagle szeptały tajemniczo, zanim jeszcze odpowie nie tak, jakby chciała, lecz tak, jak musi.

— Jeffrey, jesteś kochany, strasznie cię lubię, zawsze cię będę lubić, tylko proszę, bądź rozsądny. Nie mów o rzeczach, które nie mogą istnieć.

— Te rzeczy będą istniały!

Zmusiła się do powiedzenia:

—Pleciesz głupstwa. Jasny księżyc w obcym kraju — czar upojnej nocy...

—Właśnie ten czar będzie zawsze istniał, będzie istniał dłużej niż przez jeden wieczór! Posy, od pierwszej chwili wiedziałem, że cię kocham. Wiedziałem, że jesteś nieocenionym skarbem dla mężczyzny, ale nie dla George'a. Już wówczas, podczas twego pobytu w Oxfordzie, chciałem cię zdobyć dla siebie, ale niestety był tam George.

Posy uczyniła lekki protestujący ruch lewą ręką, na której nosiła pierścionek od George'a. Ostatnio zauważyła, że błękitny turkus stał się dziwnie zielony — czy to z powodu zmiany klimatu, czy też ta zmiana barwy oznaczała zmianę, jaka zaszła w sercu tej, która nosiła pierścionek?

—George wciąż jeszcze jest przy mnie.

—Tak, jeszcze jest, ale przestał być tym, kim był przed siedmiu, ośmiu laty. Mógłby się wstydzić! — mruczał Jeffrey przejęty nagłym gniewem. — Teraz nie będę się już liczył z poczciwym George'em. Nie jesteś już dla niego! W dwudziestym siódmym roku życia jest jeszcze nadal lekkomyślnym, nierozważnym młodzieńcem! Czyż nie jest tak? Możesz mi tego nie mówić. Ty w dwudziestym trzecim roku życia jesteś rozkwitłą różą. George nie zastanawiał się nad tym, że swoją opieszałością może sprowadzić na siebie niebezpieczeństwo, że odwrócisz się od niego, że sam zamrozi twoje serce. Jesteś stworzona do tego, aby opiekować się domem, mężem i dziećmi już od wielu lat! Możesz przecież tyle dać z siebie. Czy wystarcza ci to życie poświęcone sprzedawaniu pudru i czekaniu na George'a? Przed laty George miał jeszcze pewne szanse. Czy nie zdawał sobie z tego sprawy? Czy nikt ci, Posy, nie mówił tego, że powinnaś teraz od niego odejść?

—Jeden mężczyzna, raczej chłopiec, który sam chciał mnie pokochać...

—Nie winię go! — uśmiechnął się Jeffrey, myśląc o nie znanym mu rywalu i Posy zdała sobie teraz sprawę z tego, że właśnie Jeffreyowi mogłaby całkiem szczerze opowiedzieć tamtą historię. — Nikt więcej?

—Sybila przed moim wyjazdem z Anglii powiedziała mi to wszystko, co ty teraz mówisz...

—Mądra kobieta!

—Nie chciałam jej słuchać...

—Ale mnie wysłuchasz. Nie znaczy to, że mam więcej od niej do powiedzenia. Powiedziałem już wszystko. Nic więcej nie dodam, z wyjątkiem kilku praktycznych rad.

—Nie mogę cię powstrzymać od mówienia głupstw. — W jej bladym uśmiechu było wyraźne podniecenie, lęk, szczerzy żal, dziewczęca radość. — Nie mogę cię powstrzymać przed wypowiedaniem tego, co chcesz mówić. I tak to wszystko nie robi żadnej różnicy...

— Myślę, że nie — odparł. — Wyjedziesz w środę z Aleksandrii, prawda? Ja wrócę, oczywiście samolotem, i będę w Londynie jeszcze przed tobą. Pójdę do Stirlinga i wszystko mu szczegółowo wytłumaczę, później zajmę się pozwoleniem, mieszkaniem i tak dalej. Przyjadę po ciebie autem, zabiorę cię i weźmiemy cichy ślub — a jeśli chcesz, może być nawet z orszakami. Weźmiemy ślub w urzędzie cywilnym w pobliżu mego mieszkania. Wszystko jest przecież takie proste.

— Fantastyczna baśń — wyszeptała Posy.

— Może po ślubie nauczę cię pilotować. Tak, musisz się dokładnie zaznajomić z samolotem, Posy. Chciałbym, żebyśmy mieli wspólne zainteresowania...

— Która godzina? — westchnęła.

— „Pół godziny po pocałunku” — powiedział wesoło Jeffrey — jak mówią dzieci w zabawie: „pół godziny po pocałunku to znowu czas na pocałunek”.

Na dźwięk tego głosu wydało się Posy, że znalazła się nagle w jego ramionach i że jej usta przylgnęły do jego stęsknionych warg. Miała tę jedną chwilę upojnej złudy.

Potem nastąpiło przebudzenie, lecz czuła wciąż na sobie jego łagodny, czuły, uspokajający wzrok.

— No tak! Dziś już dość na ten temat — rzekł Jeffrey z rozradowaną twarzą. — Jutro przyjdę po ciebie. Zgłoszę się o wpół do siódmej.

Nazajutrz o wpół do siódmej, gdy przyszedł do hotelu, aby zapytać o miss Wynn, portier hotelowy w czerwonym fezie powiedział mu, że pani wyszła, lecz zostawiła karteczkę:

Drogi Jeffreyu,

Sądzę, że pożegnania osobiste są błędem, więc w ten sposób właśnie pragnę Ci podziękować za cudowną wczorajszą wycieczkę i życzyć szczęśliwego powrotu do domu.

Twoja życzliwa

Posy Wynn

TLR

III. OKRUTNE PRZEBUDZENIE

Gdyby wiedział, co oznacza treść tej kartki, musiałby orientować się, co zaśzło podczas ostatniego zabiegu, jaki Posy Wynn tego dnia wykonywała w eleganckim salonie piękności.

Miss Hogarth i Posy miały jeszcze ze sześć Francuzek, które należało „załatwić” między godzinami wpół do trzeciej i wpół do szóstej. Klientka miss Wynn, zamówiona na wpół do szóstej, była żoną jednego z angielskich oficerów spędzających urlop w Kairze. Dama ta przyprowadziła z sobą przyjaciółkę z hotelu Shephard i obie przez cały czas gawędziły, podczas gdy Posy, spowita w swój śnieżny uniform, nakładała klientce na twarz krem zmywający, wklepywała w skórę krem odżywczy i podwiązywała podbródek delikatną opaską. Całe to zajęcie nie przeszkadzało Posy słuchać rozmowy, jaką prowadziły z sobą damy. Wprawdzie mało interesowała się tym, że zaszły jakieś zmiany w pułku i że wybuchł jakiś skandal w domu tego czy innego oficera. Były to plotki, których tyle już słyszała w Londynie, wypowiedane ukarminowanymi wargami, stanowiącymi teraz zabójczy kontrast z bladą, wymęczoną zabiegami twarzą.

Nagle do uszu Posy dobiegło nazwisko wypowiedziane przez klientkę, którą się zajmowała.

— Jeffrey O'Brien?

Czy Posy dokładnie słyszała? A może tylko się jej zdawało, gdyż to nazwisko szumiało jej ustawicznie w uszach od ostatniej nocy.

Nie, zostało ono głośno wypowiedziane przez siedzącą na fotelu klientkę.

— Jeffrey O'Brien, młody pilot, który przywiózł mi w zeszłym roku Stanleya... Tak, naturalnie. Ten rudowłosy. Dobry z niego numerek. Interesujący w swoim stylu. Ach, tak, moja droga! Trwało to dwa lata. Po prostu szalała za nim. Wreszcie wmieszał się w to mąż i nie pozwolił jej wyjechać.

Teraz zabrzmiał głos przyjaciółki, siedzącej na jednym z bocznych fotelików, zajętej wachlowaniem i odgradzonej od Posy stolikiem zastawionym słoiczkami, szklanymi podstawkami i wata:

—Zawsze mówiłam, że to się tak skończy!

—Ale sprawa jest o tyle mniej skomplikowana, że młody O'Brien uchodzi za człowieka bardzo romantycznego, podobno jest nieszczęśliwie zakochany, a szczęście ma tylko w drobnych miłościach. Bardzo dobra metoda, prawda? Poza tym mówiono mi, że najchętniej oświadcza się dziewczętom, które są już

zareczone i które oczywiście nie mogą tych oświadczeń przyjąć. Jednym słowem bawi się nimi cudownie, nigdy się zbyt nie angażując. Jak się taki człowiek pani podoba, miss Evershalt? — (niektóre klientki miały zwyczaj nazywać każdą pracownicę salonu „miss Evershalt”).

Posy, z której piersi mimo woli dobyło się lekkie westchnienie, odpowiedziała swym zwykłym, uprzejmym tonem:

— Szukałam tylko tego małego słoiczka z tuszem do rzęs. O, jest tutaj. — Nie patrząc na klientkę, sięgnęła po słoik.

Proszę sobie wyobrazić taką scenę: drobna, pobladła teraz nieco kapłanka zabiegów piękności, klientka owinięta białymi bandażami, prawie leżąca na fotelu i poddająca się masażowi delikatnych, miękkich palców ciemnowłosej dziewczyny. Na pozór było spokojnie i cicho, pachniało kremami i lakierem. Właśnie ta odurzająca woń przyprawiała o mdłości dziewczynę, gdy z ust obcej klientki dowiedziała się, że była oszukiwana przez człowieka, którego kochała.

Posy, która przez całą noc wspominała każde niemal słowo wypowiedziane przez Jeffreya, doznała teraz bolesnego wstrząsu. Nie przyszło jej na myśl analizować, czy opowiadana historia była prawdziwa. Zimne ostrze noża zatapiało się głębiej i głębiej w jej serce, w miarę jak drobne palce nakładały krem na twarz klientki, która mówiła dalej:

—A propos, jeżeli się nie mylę, właśnie Jeffrey kiedyś powiedział, że „romantyczność nie może być ogłupiana brakiem doświadczenia”.

—Bardzo słusznie — zaśmiała się przyjaciółka. — Pod tym względem zupełnie się z Jeffreyem zgadzam.

—Każdy się chyba z nim zgadza, kochanie! Oczywiście Jeffreyowi bardzo pomaga jego zawód — szczebiotała dama poddająca się zabiegom Posy. — Czy o marynarzu nie mówi się, że w każdym porcie ma inną żonę, a co dopiero, gdy się ma do czynienia z pilotem? Oczywiście taka praca jest odpowiednia tylko dla takich ludzi, jak Jeffrey O'Brien, który oświadcza się każdej przystojnej dziewczynie, ale właściwe uczucie zawsze zachowuje w rezerwie... Moja droga, co to za sensacja była podczas ostatniego meczu...

Dalszy ciąg rozmowy już nie istniał dla Posy. Na zewnątrz spokojna i zimna, jak tyko można być zimną w tak upalnym klimacie, stała pochylona, nakładając warstwę pudru na krem, wsłuchana ustawicznie w słowa szumiące jej jeszcze w uszach: „Mówiono mi, że ma zwyczaj oświadczać się dziewczętom, które są już zareczone”. Więc to było tak? Jeffrey, który zeszłej nocy zdawał się poddawać

nastrojowi, był nikiem innym, tylko zwykłym lowelasem, dla którego nie istniała romantyczność bez doświadczenia: Nie!

Choćby to nawet była mowa o jakiejś zameźnej kobiecie, której mąż nie pozwolił wyjechać. Więc takie myśli miał wtedy, gdy wyznawał miłość i gdy Posy miała wrażenie, że to wszystko jest cudną, tęczową baśnią? Zawrzała gniewem, gdy uprzytomniła sobie, że Jeffrey prawdopodobnie nadal będzie z nią mówił w ten sposób. Miał ją przecież zabrać na wycieczkę samolotową dziś wieczorem. Już mu się to nie uda. Całe szczęście, że Posy zorientowała się w porę!

—Czy pani życzy sobie, żeby dzisiejszy zabieg zapisać na rachunek? — zapytała z najuprzejmiejszym ze swoich uśmiechów ową klientkę, która się tak bardzo przyczyniła do wyjaśnienia sytuacji.

—Nie, zaraz zapłacę, miss Evershalt — zdecydowała sympatyczna plotkarka, nie mając pojęcia o tym, co się dzieje w duszy dziewczyny. Po wyjściu klientek Posy usiadła i napisała karteczkę do Jeffreya.

Teraz już nie powinna go więcej widzieć. Nie powinna nawet o nim myśleć, tylko wrócić do Londynu, do Harold-Hurst, pojechać na własny ślub. „Gdzie się to odbędzie, myślała? W domu, w Walii w otoczeniu starych przyjaciół, nie wyłączając parafialnej akuszerki?" Drżała na samą myśl o tym. „A może to będzie w Cloisters w otoczeniu hiszpańskiej rodziny, Donkiszota, Juanity, cioci Inez, tych chłopców i bez wątpienia całej masy krewnych, którzy zjadą na uroczystość ślubną młodego Stirlinga z tą prześliczną senioritą Pussy?" Ale i ta myśl nie sprawiła jej przyjemności. Miała teraz całkiem inny pogląd na to wszystko.

„Dobrze się stało, że przeżyłam ten maleńki epizod z Jeffreyem", tłumaczyła sobie chłodno i logicznie. „Nareszcie uporządkowało mi się wszystko. Wiem teraz, co mam sądzić o mężczyznach, którzy wydają mi się szczerzy i serdeczni i mają tyle młodzieńczego humoru i zapału. Z romantyzmem trzeba raz wreszcie skończyć. Tęczowa baśń jest snem i do tego bardzo niebezpiecznym. Nauczyło mnie to wreszcie, aby szanować George'a, jak go nigdy dotychczas nie szanowałam. Jeffrey chciał go przedstawić w jak najgorszym świetle! Doskonały sposób. Na George'u mogę polegać, mogę go być pewna, a to jest stanowczo lepsze od wszystkich księżycowych nocy i różnych wypowiedzianych bredni..."

Pozwoliła sobie jeszcze na krótką chwilę sentymentu. Tej nocy wrzuciła w fa-
le Nilu piękną skrzydlatą broszkę, którą dostała od Jeffreya. Pozbywszy się jej, poczuła się jakoś lepiej. Tej samej nocy znalazła w swym pokoju list od George'a.

Mam nadzieję, że piszę do Ciebie po raz ostatni, Skarbie, do kraju, w którym przebywasz sama, beze mnie. Zdarzyło się coś, o czym Ci koniecznie muszę powiedzieć, chociaż postanowiłem zachować to dla Ciebie jako niespodziankę; po namyśle jednak doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jak się o tym dowiesz. Chodzi tutaj o nasz miodowy miesiąc.

Któregoś dnia, gdy stary Donkiszot przyjechał do Harold-Hurst, zaczął mnie wypytywać, czy mamy zamiar miodowy miesiąc spędzić tam, dokąd chcieliśmy pojechać parę lat temu, wówczas gdy miał się odbyć nasz ślub? Powiedziałem mu, że wtedy była mowa o Szwajcarii, więc wpadł na pomysł wysłania nas tam koniecznie, pokrywając wszelkie koszty zamiast ślubnego prezentu. Przypuszczam, że będzie to raczej jeden z wielu ślubnych prezentów, gdyż stary, jak Ci wiadomo, jest bardzo szczodry. Widzisz więc, Najdroższa, że nic w naturze nie ginie, bo nasz miodowy miesiąc spędzimy jednak tam, gdzie planowaliśmy na początku! Wprawdzie pojedziemy do tego przepięknego kraju pod koniec lata, zamiast zimą, ale wrażeń i tak będzie mnóstwo. Teraz uwierzysz chyba, że Pan Bóg opiekuje się tymi, którzy potrafią cierpliwie czekać?

„Ciekawe, dlaczego to wszystko wydaje mi się raczej zabawne?“, pomyślała Posy, nie śmiejąc się jednak. Była jak skamieniała.

Następnego dnia, na kilka godzin przed wystartowaniem Jeffreya O'Briena, Posy wchodziła na pokład statku odpływającego z Aleksandrii. Przybyła do Londynu, gdzie zatrzymała się w mieszkaniu swej siostry Kit i tam zastała całe mnóstwo nieoczekiwanych wiadomości z domu. Podczas jej nieobecności George, dopingowany listami gościnnej hiszpańskiej rodziny, zdecydował, że uroczystość ślubna odbędzie się w Cloisters. Wynownie przystali na tę propozycję, chodziło więc tylko o zgodę Posy.

—Zgadzam się! Niech będzie w Cloisters — powiedziała Posy do George'a, który przyjechał do mieszkania Kit. Był czuły, uradowany, że ją widzi, chociaż jednocześnie zmęczony robieniem sprawunków w mieście i załatwianiem biletów u Cooka. — Cloisters? Mnie wszystko jedno... Chciałam powiedzieć, że tak będzie cudownie.

—Nasi opiekunowie chcą, żebyś przyjechała tam chociaż na dzień przed ślubem, skarbie.

Posy i pod tym względem było wszystko jedno.

— Szalenie miło z ich strony.

Nadeszły mniej przyjemne wiadomości, że Ir Wynn przeszedł właśnie gripę i chociaż powoli powracał do zdrowia, to jednak nie było mowy o tym, aby mógł wyjechać na południe, na uroczystość ślubną. Matka Posy, która pielęgnowała męża, nie miała sumienia zostawić go samego w domu. Ale...

Te słowa matka Posy podkreśliła dwa razy w liście, który Posy zastała wraz z bukietem walijskich wrzosów, stojących u Kit na toalecie: „Ślubu naszej Posy nie można znów odkładać. W żadnym wypadku nie może zajść zmiana, która by miała pokrzyżować ułożone plany! Wszystko musi się odbyć tak, jak zaplanowano! Chociaż ten ślub odbędzie się nie tutaj, rodzice będą wciąż myśleli o swojej małej dziewczynce, która piętnastego wychodzi za mąż!”

— Dobrze, niech i tak będzie — mruknęła Posy. Nawet nie czuła, że paradoksalny był taki nastrój u dziewczyny, która znajdowała się w przededniu tak długo oczekiwanej chwili. — Wszystko mi jedno! Mnie teraz w ogóle wszystko jedno.

Ale czy to nie był przykry koniec romantycznej historii dziewczęcego uczucia?

TLR

IV. DZIEŃ ŚLUBU

— Gdy w dniu ślubu świeci słońce, panna młoda jest szczęśliwa — powtarzali wszyscy wśród liczego towarzystwa w Cloisters owego pogodnego ranka, w dniu piętnastego sierpnia.

Madame Juanita w białym jedwabnym szlafroku, narzuconym na brzoskwińowe *dessous*, biegała z pokoju gospodyni do kuchni, wydając rozkazy po hiszpańsku i angielsku z iście południowym temperamentem.

Od czasu do czasu w korytarzach pałacu rozbrzmiewał głos gospodyni:

— Madame, wszystko będzie w najlepszym porządku. Zapewniam panią, madame, że nie po raz pierwszy urządzam wesele.

Po chwili znów zdenerwowanej głos starego Mr Stout-Corteza:

— Moja kamizelka... Juanito! Juanito! Moje notatki do toastów przy śniadaniu! Muszę się teraz koniecznie tego nauczyć! — a później głośno skandowane słowa: — Nareszcie wśród tych wszystkich powinszowań muszę wyrazić jedyny żal, głęboki mój żal, że nie mam tuzina dzieci, że tuzin wesel nie może rozweselić Cloisters na moje stare lata! Panie i panowie, wypijmy zdrowie nowo zaślubionej szczęśliwej pary!

Po chwili znowu głosy na korytarzu, gdzie mieszkała służba:

— James, proszę zaraz przygotować zimny bufet.

— Zimne pasztety, szynka, jeszcze ten półmisek... Trzeba wziąć dwanaście tuzinów mniejszych szklaneczek... Gdzieście byli i coście robili z tymi brzoskwiniami?...

— A to dla orkiestry?

— Oczywiście, mój drogi. Trzeba jeszcze pamiętać o szampanie. Stary powiada, że orkiestra nie potrafi grać bez szampana.

Te głosy poprzez kilkoro drzwi łączyły się z głosem dochodzącym z sypialni madame Inez Cottrell.

— Idioci! Głupcy! Matoły! Więcej nie zostało tego różu?

A tamten róż? Inny, inny! Oczywiście, dla ciebie to wszystko jedno, że ludzie będą na mnie patrzeć i mówić, że jestem strasznie mizerna...

Z ogrodu, z obszernych trawników również dochodziły głosy:

— Jeszcze odrobinę dalej, Bill — troszeczkę! No! Trzeba zatknąć hiszpańskie flagi, a tu angielskie. O, tak będzie dobrze...

Inne znów głosy słyhać było z gościnnego pokoju, zajmowanego przez siostrę panny młodej i szwagra.

— Zrozum tylko... — szloch — tę biedną Posy!

— Uspokój się, Kit. Weź pod uwagę, że nie tracisz siostry, tylko zyskujesz brata...

Szloch! Z błyskawiczną szybkością Kit podniosła głowę z poduszki i spoliczkowała swego młodego męża. Jakieś dziwne walijskie wyrazy popłynęły z ust Franka Lloyda, gdy ją chwycił za przeguby rąk. Potem zaśmiał się:

— Teraz się będziesz czuła lepiej, Kit. Ubierz się prędko i idź do Posy.

— Nie mogę — szlochała Kit. — Nie wolno jej nikogo wpuścić do siebie, dopóki nie będzie w welonie.

— Sama tak powiedziała?

— Nie! Oczywiście, że nie! Ja tak mówię. Ale ona tak myśli, biedactwo! Ta cała pompa i te wspaniałe przygotowania są strasznie niemiłe. To nie będzie takie wesele jak nasze!

Ach, Frank! Czy pamiętasz (szloch), czy pamiętasz ten cudowny następny dzień i jak strasznie padało...

*

Promienie słoneczne całowały drobną twarzyczkę Posy, gdy się obudziła, z ciemnymi włosami rozrzuconymi na białej poduszce.

Miała teraz już własny wspaniały apartament. Obszerna sypialnia z balkonem, przyległa łazienka, śliczny salonik i wążutkie kręte schody, prowadzące prosto do różanego ogródka. Apartament ten, jak jej wytłumaczył stary Mr Stout-Cortez, był częścią owego skrzydła, w którym — gdyby przed kilku laty nie zaszyły nieprzewidziane okoliczności — mieli mieszkać w Cloisters młodzi Stirlingowie. Mr Stout-Cortez miał jednak nadzieję, że może właśnie dzisiejszy dzień będzie choć drobną rekompensatą.

Posy spojrzała na swój podróżny zegarek. Został kupiony przed podróżą do Szwajcarii — nie teraz, nie na tę podróż, w którą miała się udać pojutrze, lecz w owym odległym czasie, przed wieloma, wieloma latami. Zegar, sukienki i szmaragdowe pudło do kapeluszy. Sukienki i pudło już się trochę zniszczyły, lecz mały podróżny zegarek tykał, jakby był nowy. Posy wyskoczyła z łóżka. Powiedziano jej, że stosownie do zwyczaju nie powinna się nikomu pokazywać, dopóki

nie nadejdzie pora ślubnej ceremonii. George miał przyjechać z Harold-Hurst z jednym ze świadków i ze swym bagażem, który miał zabrać do Szwajcarii. Po ślubie George przebierze się w pokoju Pedra, a Posy — oczywiście tutaj.

Później Mr i Mrs Stirlingowie mieli pojechać samochodem Stout-Cortezów do Londynu.

„Mam jeszcze siedem godzin czasu — myślała. — Stosownie do hiszpańskiego zwyczaju pozostanę przez ten czas niewidoczna dla krewnych i znajomych. Kit powiedziała wszystkim, że nie wolno tu do mnie wchodzić. Przecież istnieje hiszpańskie przysłowie, że w dniu ślubu pannę młodą można słyszeć, lecz nie widzieć! Cóż za przesada! Sądzę, że specjalnie mówią tak głośno w korytarzach, a może jeszcze więcej kwiatów przyślą do mego pokoju? Potem w południe przyniosą szampana, kurczęta i melbę na eleganckich półmiskach. Następnie zjawi się Juanita ze świtą, aby mnie ubrać, jak lalkę...

Jeszcze pełnych siedem godzin..."

Myśląc o upływających godzinach, wypila herbatę i wzięła kąpiel. Ubrała się jak w zwykły letni dzień, w skromną białą muslinową sukienkę, w której wyglądała raczej jak druhá niż jak panna młoda.

„Jeszcze sześć godzin. Trzeba ten ostatni dzień wykorzystać i wybrać się na samotny spacer..." — Zeszła na dół po krętych schodach do różanego ogródka. Wąskie ścieżki, porośnięte po obu stronach trawą jeszcze połyskiwały od kropelek rosy. Dookoła roztaczała się woń rozkwitłych róż. Nad głową miała czyściutkie niebo i złociste słońce. Poprzez gęste krzaki róż spojrzała na prawo. Jeden z większych trawników był już prawie cały pokryty parkietem do tańca. Bóg wie, ile Mr Stout-Cortez musiał wydać na orkiestrę!

„Jestem ciekawa, któredy będzie najbliżej na wybrzeże?", myślała Posy.

„Niejednokrotnie słyszało się o ludziach, którzy tam raz na zawsze zginęli. Ciekawe, jak oni to robili?"

W odległości dwudziestu mil, w dalekim Harold-Hurst, pan młody nie spał od wielu godzin. We flanelowych spodniach i w swetrze udał się na wybrzeże, aby się wykąpać. Ostatnia jego kawalerska kąpiel. Nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie teraz zasłyszane niegdyś historie o mężczyznach, którzy znikają w dniu ślubu, nie pozostawiając po sobie nic oprócz ubrania nad brzegiem, nie pozostawiając nawet karteczki z wytłumaczeniem, dlaczego to uczynili... Prawdo-

podobnie każdy mężczyzna wie, że tego dnia żegna się ze swobodą i z młodością... A przecież jedno i drugie jest mimo wszystko tak dużo warte. Poza tym... człowiek poświęca wszystko, aby uszczęśliwić dziewczynę... Kochana, mała Posy, pomimo wszelkich wad, jakie ma, jest naprawdę szalenie miła. Człowiek zapomina o sobie...

Zanurzył się w wodzie i popłynął ze sto metrów, lecz zaraz powrócił.

— Teraz mi lepiej — rzekł oddychając głęboko. — Trzeba będzie zjeść śniadanie, jeszcze się rozejrzeć i ubrać do ślubu.

Rozglądał się dość długo po pustych szkolnych salach, po mrocznych korytarzach i po ogrodzie, w którym nie było żywej duszy.

— Takie tu wszystko puste, jakby wymarłe! Piętnasty sierpnia, a szkoła rozpoczyna się dziewiętnastego września. Przyjemnie będzie wziąć się później do pracy... Na pewno będę się wtedy czuł lepiej.

TLR

Cofnijmy się znowu o dwadzieścia mil. W maleńkim różanym ogródku, w posiadłości Cloisters, dziewczęca postać w dziewczęcej białej sukience stała zapatrzona w krzew rozkwitłych róż z gatunku Amy Johnson. Róże te były dumą głównego ogrodnika Cloisters, lecz Posy w tej chwili wcale ich nie widziała. Dziwne obrazy przesuwwały się natomiast przed oczami jej wyobraźni, jak na ekranie filmowym...

Walia: zbocze góry, szare kamienne ruiny, pies Taffy, młody i ruchliwy, biegający tam i na powrót, obwąchujący leżące bez ruchu ciało młodego mężczyzny, który spadł ze skały. Cudowny sen. (Ale było dość czasu, aby się obudzić).

Gromadka kobiet, dwie młode dziewczyny pochylone nad haftem. Szkarłatny smok... szkarłatne motto... („Czerwony Smok wspina się w górę!”)

Twarzyczka siostry Kit, zalana łzami, lecz uśmiechnięta po jednej ze sprzeczek i pogodzeń z Frankiem...

Twarz ojca, uśmiechnięta dziwnie ironicznie, zwrócona z czułością w stronę twarzy matki. Matka siedząca z harfą, z oczami wpatrzonymi w dal, przebierająca drobnymi palcami po strunach. Płyne melodia... („Kuszająca miłość!”)

Twarz George'a, nagle jakaś inna! Pałająca, zdziwiona, pełna udreki, jak owego wieczoru, gdy przybył, aby jej powiedzieć: „To trzeba tylko odłożyć”. Wtedy George ją pocałował... Jedyne prawdziwe pocałunek George'a.

Francja: blask słońca, zapach perfum i twarz romantycznego włoskiego chłopca. („Kiedy pani musi poślubić tę rybę?”)

Egipt i zaróżowione piramidy, a na ich tle twarz Jeffreya O'Briena. Nie, Nie! Byleby nie jego twarz. Nigdy! Nie wolno o nim myśleć. Trzeba zapomnieć...

Była przecież w różanym ogródku w Cloisters i stała przy rozkwitłym krzaku róż gatunku Amy Johnson. Biegła właśnie w jej stronę zwirową ścieżką uśmiechnięta pokojówka w brązowym uniformie, takim, jakie nosiła cała tutejsza służba.

— Ach, bardzo przepraszam, miss Wynn, nie wiedzieliśmy, gdzie się pani podziała. Dopiero ogrodnik skierował mnie tutaj. Chciałam powiedzieć, że przyjechała pani przyjaciółka.

— Już przyjechała? Przyjaciółka?

— Tak, miss. Czeka u pani w saloniku.

W saloniku Posy zastała elegancką postać w pięknym kostiumie, w nowiutkich rękawiczkach i w wytwornym kapeluszu, jakby istotnie wszystko było zakupione na wspaniałą ceremonię zaślubin.

—Sybila!

—Tak, kochanie! Dostałaś mój telegram?

—A czy telegrafowałaś do mnie? Tam leży cały stos telegramów. Postanowiłam je otworzyć później. Ale, Sybilo, byłam pewna, że przyjedziesz o jedenastej trzydzieści razem z innymi.

—Sama przyjechałam autem. Nie mam pojęcia, o której wyjechałam z Brompton Square. Bądź chociaż wzruszona, Posy!

Tak, miło było patrzeć na wytworną Sybilę, siedzącą wśród tutejszych luksusów, miło było słuchać jej beztroskiego głosu; stało się to niejako odpoczynkiem po ustawicznych wybuchach hiszpańskich zachwyków, którymi zasypywano pannę młodą od trzydziestu sześciu godzin. Ale co to miało znaczyć? Czy nawet Sybila chciała ją widzieć wzruszoną?

—Przyjechałam tu w zastępstwie pani Wynn, Posy — Sybila usiadła w fotelu z udaną godnością. — Już wszystkim tutaj o tym powiedziałam. Wytłumaczyłam pani Juanicie, że zarówno ona, jak i twoja siostra są zbyt młode, aby ci mogły matkować. Po namyśle doszły do wniosku, że madame Cottrell ma tutaj odegrać rolę matki panny młodej.

—Ciocia Inez?

—Nie przerażaj się. Ja ją wprawdzie wzięłam przez omyłkę za jedną z druhen... Postanowiłam zostać tu do chwili, kiedy cię ujrzę w welonie. — Sybila niedbałym ruchem wskazała zwoje tiulu rozpostarte na niskiej kanapce. — Nie otworzyłaś jeszcze rannej poczty? Przecież masz mnóstwo listów i telegramów... Co, jakiś nowy prezent ślubny?

Rozpoczęło się rozpakowywanie kwadratowego białego pudełka. W pudełku ujrzały wianuszek z prawdziwym kwiatem pomarańczy, wyhodowanym w cieplarni, w domu i przysłanym przez matkę, wraz z prośbą, aby Posy tym kwiatem przystroiła sobie welon. Widok tego delikatnego wianuszka wstrząsnął Posy do głębi i na jej ustach zjawił się blady uśmiech, pierwszy zresztą w ciągu tego okropnego poranka.

—Juanita będzie oburzona, gdy nie włożę jej wspaniałego diadem. Trzeba będzie kwiat pomarańczy trzymać w ręku. Nikt go nie zobaczy spoza ogromnego bukietu białych lilii — mówiła Posy i po raz pierwszy jej głos zadrżał.

—Przybrana matka panny młodej musi teraz z nią rozmawiać, aby jej dodać otuchy — śmiała się Sybila, lecz jaki dziwny był ten śmiech. — Mamy jeszcze czas, mamy mnóstwo czasu, aby można było swobodnie pogadać. Posy, muszę ci koniecznie coś powiedzieć...

Posy, która spacerowała tam i na powrót po krwistoczerwonym dywanie saloniku, aby się przekonać, czy istotnie był tak długi i szeroki, jak opisywała go matce, odwróciła się teraz w stronę przyjaciółki, darząc ją ostrzegawczym spojrzeniem: „Nie teraz. Nie powtarzaj mi, że nie powinnam dzisiaj brać ślubu. Domyślam się, co mi chcesz powiedzieć”.

Lecz nie odgadła, co Sybila zamierzała mówić. Bawiąc się brzeżkiem ślubnego welonu, Sybila powiedziała przyciszonym głosem:

—Dopiero ostatnim razem, gdy cię widziałam, opowiedziałas mi, co ta idiotka mówiła o Jeffreyu O'Brienie i o tym, że był beznadziejnie zakochany w jakiejś kobiecie, która...

—Mówiłam ci to? Ach, tak, pamiętam. Ale jeżeli chcesz mi powiedzieć, że znasz już jej nazwisko — wtrąciła ostro Posy — to bądź łaskawa mi go nie powtarzać, Sybilo! Nie chcę o niczym wiedzieć, to znaczy — przestało mnie to wszystko interesować. Nic nie mów, nie mów, daj spokój!

—Muszę, ale to nie jest to, o czym myślisz. Nazwisko tej kobiety? Ona nie ma nazwiska! Cała ta historia od początku do końca jest kłamstwem!

—Co za różnica! — Posy spacerowała teraz nerwowo po czerwonym dywanie. — Powiedz mi, co za różnica? Wszystkie plotki są głupie, prawdziwe czy nieprawdziwe. Przypuszczam, że ta była prawdziwa...

—Dała mi słowo, że to nieprawda!

—Kto?

—Ona i on.

—Jeffrey?

— Tak, ale posłuchaj. Nie mogłam wczoraj porozumieć się z tobą telefonicznie, więc zatelegrafowałam. To właśnie jedna z tych depeesz, których nawet nie otwierałaś. Dlatego przyjechałam, aby ci powiedzieć. — Sybila patrzyła na przyjaciółkę z taką mocą, jakby ją trzymała teraz silnie za ręce. — Tak się złożyło, że ta plotkarka przyjechała do kraju zaraz po tobie. Najpierw zatelefonowałam do niej do klubu, jeszcze jej nie znając. Powiedziałam jej całkiem szczerze: „Wiadomo mi, że rozsiewała pani jakieś dziwaczne historie o moim przyjacielu, Mr Jeffreyu O'Brienie. Jak sądzę, wie pani o tym, że on sam nie ma zielonego pojęcia o ubieganiu się o względy zamężnej kobiety, której mąż podobno nie pozwo-

lił wyjechać. Poza tym Jeffrey nigdy w życiu nie oświadczał się żadnej zaręczonej dziewczynie. Po prostu to wcale na Jeffreya nie wygląda. Dlaczego rozsiewa pani o nim podobne plotki?" Mówię ci, wysłuchawszy mnie, zeszywniała!

Posy słuchała z szeroko rozwartymi oczami, unikając jednak badawczego wzroku przyjaciółki.

—Następnie powiedziałam jej: „Mr O'Brien odwiedził mnie wczoraj wieczorem. Pytałam go o to wszystko. Niestety zmuszona jestem pani powiedzieć, że w tych wszystkich plotkach, jakie pani rozsiewa, nie ma odrobiny prawdy!" Moja rozmówczyni zaczęła się jąkać i przepraszała mnie, tłumacząc się, że mówiła wówczas o kimś zupełnie innym. Twierdzi, że w ogóle nie wymieniła nazwiska Jeffreya O'Briena. Po prostu pomyliła go z jakimś innym rudowłosym młodzieńcem, który także jest lotnikiem. Powiedziałam jej tylko: „Na przyszłość radziłabym być ostrożniejszą" i odłożyłam słuchawkę.

—Ale — przerwała Posy pobladłymi wargami — czy to prawda, że Jeffrey odwiedził cię w Londynie?

—Oczywiście. Było to wczoraj rano. Opowiedział mi o tym, że widział się z tobą w Kairze i że później mieliście się spotkać, ale ty nie przyszłaś. Nie wyobraża sobie, co się mogło stać. Biedny chłopiec, chciał się czegoś o tobie dowiedzieć i oczywiście odwiedził mnie.

Z piersi Posy dobyło się głębokie westchnienie. Nie uświadomiła sobie w tej chwili, że to wszystko przyszło za późno — że powinna była mu ufać, nie zaś wierzyć plotkom jakichś obcych kobiet — że powinna była spotkać się z Jeffreyem owego wieczoru. Te wszystkie myśli snuły się teraz po jej głowie, choć nie zdawała sobie z nich sprawy; jednak na chwilę odczuła ulgę i była prawie szczęśliwa, że ukochany jej nie oszukał. Dręczyła ją myśl, że wyznał jej swą miłość, bo był przygotowany na odmowę. Była szczęśliwa, że teraz pozbyła się ciężaru tego podejrzenia, lecz niestety sytuacja wyjaśniła się za późno.

*

Bo właśnie w tej samej chwili w odległości dwudziestu mil pan młody z białą gardenią w butonierce stał na tarasie budynku Harold-Hurst w towarzystwie przyjaciela, doglądając, aby rzeczy troskliwie ułożono w aucie.

—Dwie duże walizy — wyliczał przyjaciel — trzy mniejsze, plecak, laska górską, koszyczek i termos. A tutaj jest worek z przewodnikami i mapami. Pokażna ilość! Masz zamiar dużo chodzić po górach?

—Przecież tutaj nie ma się takich rozrywek — tłumaczył poirytowany pan młody. — Ale był jeszcze pled. Jeszcze jeden pled, mówię!

—Daj spokój, na pewno już go włożyli.

—Gdzie jest pled? — wołał uparcie George, wracając do wnętrza budynku. Z mieszkania wybiegł ktoś z pledem przerzuconym przez ramię. Była to nowa gospodyni, którą przyjęto na miesiąc wcześniej, zanim szkoła zaczęła być czynna. Dzisiaj zajmowała się wszystkim, gdyż Harold Stirling już wcześniej pojechał do Cloisters.

—Przypuszczam, że to jest pański pled, Mr Stirling?

—Ach, serdecznie dziękuję — zawołał George, uśmiechając się po raz pierwszy tego ranka i patrząc figlarnie w oczy młodej gospodyni. Ona również obdarzyła go spojrzeniem, które mu przypomniało dawną Posy.

—Serdecznie dziękuję pani, właśnie o ten pled mi chodziło.

—Czy mogę panu życzyć dużo... dużo szczęścia, Mr Stirling?

—Dziękuję pani. Dziękuję pani serdecznie. *Au revoir!*

Jedziemy, Saunders!

Auto ruszyło z miejsca.

TLR

—Posy — mówiła poważnie Sybila — Jeffrey sam dał mi słowo honoru, że po raz pierwszy w życiu wyznał komuś miłość. Kocha tylko ciebie, Posy, tylko ciebie! Nic cię to nie obchodzi?

—Nie! Co za różnica! A gdyby mnie nawet obchodziło, gdyby nawet, czy nie mógł mi dać znać o tym w jakikolwiek sposób?

Sybila pobladła i umilkła. Miała już tego wszystkiego stanowczo dosyć. Jeffrey nie powiedział jej, co zamierza i czy w ogóle cokolwiek zamierza uczynić.

— Nie pozostaje nic innego, tylko trzeba przebrnąć przez ten ślub — rzekła Posy. — Nic innego, Sybilo! — Nagle wybuchnęła. — Kochanie, nie męcz mnie już dłużej...

*

W tej samej chwili w odległości dwudziestu mil na rozległej łące wysoki młody pilot stał przy uszkodzonym samolocie „Moth”. Pośpieszyli ku niemu mechanicy.

—Będzie pan mógł wystartować dopiero za pół godziny, sir.

—A gdzie tu macie telefon...? Proszę mnie połączyć z londyńskim klubem samolotowym. Halo. Chciałem prosić... Nie ma go tam? Może któryś z was pożyczycy mi swoją maszynę. Tutaj idzie o ślub... Tak! Teraz! Właśnie teraz! Możliwie jak najprędzej...

—Przepraszam — odezwał się miły głos tuż za jego plecami, głos zupełnie obcy (ale czy jeden pilot może być obcy dla drugiego?). — Czy mówił pan coś o tym, że się panu bardzo śpieszy? Chętnie dam panu moją maszynę, jeżeli...

—Niech pana Bóg błogosławi — zawołał Jeffrey O'Brien z prostotą. — Gdzie jest ta maszyna?

— Sybilo, ja mam słuszną rację, teraz trzeba się będzie jak najspieszniej ubrać — mówiła Posy bezdźwięcznym, złamanym głosem. Przeniosła spojrzenie na białą suknię haftowaną perłami, na zwoje piętującego się tiulu, na leżącą na stoliku biżuterię. Na jej twarzy pojawił się zdawkowy uśmiech. — Zawsze marzyłam o tym, żeby brać ślub w białym jedwabiu i w welonie przybranym pomarańczowym kwiatem. Przed kilku laty miałam brać ślub w podróżnym kostiumie. Teraz,

jak widzisz, ziściło się moje marzenie, bo dość długo czekałam... Co to? — w jej oczach odbiło się przerażenie.

Skądś, jakby z głębi domu, dobiegł dziwny szmer, który się po chwili zamienił w głośniejszy warkot. Posy już w pierwszej chwili była przekonana, że to warkot samolotu, a może w uszach jej tak szumiało...? Sybila absolutnie nie zwróciła na to uwagi.

—Posy, błagam cię, żebyś mnie wysłuchała. Nie mogę ci pozwolić na to, co chcesz dziś zrobić. Nie zwracaj na nic uwagi! Daj spokój! Wracaj ze mną do miasta.

—Niemożliwe. — Posy była teraz jak człowiek, który zмага się ze wzburzonymi falami. — Niemożliwe. Jak mogę dzisiaj zrobić zawód George'owi? Nie.

—Mrs Turner! Mrs Turner! — podniecone wołanie rozległo się u podnóża schodów i po chwili jeden z hiszpańskich wnuków począł się dobijać do drzwi.

—Mrs Turner, tam jest jakiś pan. Musiał lądować. Samolot! Wylądował na mniejszym trawniku tuż za różanym ogródkiem. Pierwszy go zobaczyłem i pobiegłem, ale jakoś nic mu się nie stało. Pyta o panią Turner, która dzisiaj rano przyjechała tu samochodem. Czy pani wyjdzie? Nie powiedział swego nazwiska. Już biegnę. Wyjdzie pani?

Sybila zerwała się na równe nogi.

—Ty także, Posy. Chodź ze mną.

Posy zawahała się.

—Nie!

—Tak! Zanim jeszcze tłum...

Posy trzymana za jedną rękę przez Sybilę, piastując w drugiej maleńki wianuszek z kwiatem pomarańczy, nagle zaczęła biec na dół po schodach, znowu do małego różanego ogródka. Posy, dziewczyna wychowana w górach, mogła przecież całkiem łatwo wyrwać się z uścisku Sybili, lecz miała w tej chwili wrażenie, że Sybili wyrosły skrzydła u ramion. Trzymała Posy silnie za przegub i ciągnęła ją energicznie za sobą.

— Spójrz, dziecinko, spójrz!

Dotarły do tak zwanego małego trawnika. Samolot zarył się trochę w ziemię przy lądowaniu. Skrzydła oparły się o trawę i wyglądały teraz jak dwa upiorne cienie. Motor jeszcze warczał. A tuż obok maszyny stał pilot, wysoki i uśmiechnięty, salutując dłonią przyłożoną do lotniczego hełmu, wpatrzony w dwie kobiece postacie, które się właśnie zbliżały.

— Dzień dobry, Posy.

Zanim go jeszcze ujrzała i tak była pewna, że właśnie jego zobaczy przy samolocie. Podszepnął jej to jakiś głos w głębi serca. Może wiedziała już o tym, gdy biegła przez różany ogródek, a może już wówczas, gdy hiszpański chłopiec oznajmił: „Musiał lądować”.

Jeffrey. Uśmiechając się tym swoim jasnym, rozradowanym uśmiechem, zwrócił się do niej z wymówką:

— A jednak nie przysłałaś mi zaproszenia na ślub, Posy?

TLR

V. WELON I KWIAT POMARAŃCZY

Posy stała jakby wrośnięta w miękką trawę, wpatrzona w mężczyznę, którego kochała. Nie widziała nic więcej dookoła.

— Przybyłem nie zaproszony — rzekł Jeffrey. — Przybyłem dlatego, że miałem twoją obietnicę, rozumiesz? Posy, powiedziałaś mi, że na pierwszą wycieczkę samolotem chcesz się wybrać ze mną.

Przyłożyła obie dłonie do białej szyi.

— Przecież nie sądzisz, żeby teraz...!

— Dlaczego nie? To potrwa dziesięć minut. Przywiozę cię z powrotem, Posy. Daję ci słowo, że z chwilą, gdy zechcesz wrócić, wrócisz natychmiast — mówił Jeffrey stanowczo, usiłując przekrzyczeć warkot motoru. — W przyszłym tygodniu wybieram się do południowej Afryki, więc Bóg wie, czy nadarzy się kiedyś znowu okazja — uśmiechnięty czekał na jakieś słowo dziewczyny. — Wsiadaj, kochanie, chcesz? Postaw tu nogę na skrzydle. Podaj mi rękę.

— Posy! Musisz! — szeptała jej Sybila Turner do ucha.

Dobiegły ich głosy osób zbliżających się od strony różanego ogródka. Gwar rozmów, pojedyncze słowa, podniecone okrzyki, jakby w kurniku pojawił się nagle niebezpieczny jastrząb.

— Tak, jest jeszcze tutaj. Tak, motor warkocze. Ach, zobaczymy... Co się mogło stać? Czy ktoś się zabił? Musiało się stać coś niedobrego. Juanito! Ojciec, Pedro, Alfonso...

— Wsiadaj, zanim tu wszyscy nadbiegną — namawiała ją Sybila. — Samolot jest otwarty, wsiadaj, weź to na siebie — narzuciła na ramiona Posy płaszcz, który przed chwilą miała na sobie. — I jeszcze to. — Był to duży biały szyfonowy szal. — Obwiąż to dookoła głowy, dziecinko.

— Nie. Przywiozłem z sobą drugi hełm — powiedział Jeffrey. — Włóż go, Posy...

Byli już otoczeni ze wszystkich stron ludźmi, którzy przyglądali im się ciekawie. Samolot, pilot, Sybila i Posy po prostu zniknęli w tłumie gapiów, zainteresowanych wypadkiem. Na samym przedzie dwaj chłopcy, jacyś robotnicy o

pocziwych twarzach, służba, madame Juanita, stary Mr Stout-Cortez, trzymający w ręku arkusz papieru (notatki). I nagle całkiem nieoczekiwanie zjawił się wśród tłumu George Stirling, który przyjechał nieco wcześniej, a wraz z nim kolega z Harold-Hurst, który miał być świadkiem na ślubie.

„Ach — pomyślała Posy — przecież to jest sen...”

Wszystko to było jednak bardziej rzeczywiste niż widok Sfinksa przy świetle księżyca! Stała przecież tutaj między dwoma mężczyznami. Z jednej strony był George, elegancko ubrany, z białym kwiatem w butonierce, konwencjonalny i typowy narzeczony, z drugiej strony stał Jeffrey w lekkim, raczej zniszczonym garniturze, w hełmie pilota. Przyłożył dłoń do hełmu i zasalutował.

—Halo, George.

—Halo, Jeffrey! Jak się miewasz? Nic ci się nie stało? Szczęśliwie przyleciałeś na mój ślub, prawda? — wołał George Stirling z wesołą uprzejmością. — Obawialiśmy się, żeś uległ jakiemuś wypadkowi...

—Nie, George! Twoja narzeczona przyrzekła mi w Egipcie, że na pierwszą wycieczkę samolotem uda się ze mną. Teraz nadarza mi się ostatnia okazja — mówił Jeffrey. Ten dziwny ironiczny uśmieszek błąkał mu się po twarzy. Oczami zdawał się przeszywać mężczyznę stojącego naprzeciw. Między nimi stała Posy. Czy to sen? Jeffrey podniósł głos, aby go słyszano w tłumie. To sen, myślała Posy w oszołomieniu. Eleganckie toalety, liberie, białe kamizelki, błękitne flanelowe koszule, wytworne kapelusze, wyprasowane marynarki, szare spodnie w paseczki... Twarzyczka siostry

Kit, mokra jeszcze od łez, lecz uśmiechnięta. Twarz starego Mr Stout-Cortez, jakby zgorszona, zwrócona w stronę zebranej rodziny, na której twarzach malowała się jedna i ta sama myśl: „W Madrycie coś takiego byłoby niemożliwe.

W Anglii ludzie mogą sobie pozwolić na wszystko. Nawet narzeczony uważa, że to jest w porządku...”

Głos Jeffrey: „Pozwolisz mi na to, George?”

Posy stała między dwoma mężczyznami. (Między tym, którego miała poślubić i tym, którego kochała). Z zapartym tchem myślała: „Czy George pozwoli mi polecieć z Jeffreyem? Jeżeli pozwoli, już nigdy więcej o nim nie pomyślę. Jeśli nie pozwoli — nigdy mu tego nie wybaczę. W każdym razie lecę...” Odwróciła się energicznie. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że ostatnie trzy wyrazy wypowiedziała głośno.

Głos George'a:

— Ach, oczywiście. Może lecieć, jeśli ma ochotę. Mamy jeszcze mnóstwo czasu. Przypuszczam, że to nie potrwa dłużej niż dziesięć minut. Tylko pamiętaj, Jeffrey, żeby się nie spóźniła. Przecież tutaj goście czekają...

— Ach, tego bym nigdy nie zrobił — rzekł Jeffrey.

Motor zawarczał głośnie. Pilot podszedł do George'a. Jego przenikliwe irlandzkie oczy zatoneły w zimnych, saksońskich kamiennoszarych oczach George'a.

— Słuchaj, stary — rzekł spokojnie Jeffrey O'Brien — ostrzegam cię. Jak zabiorę twoją dziewczynę, to mogę z nią już więcej nie wrócić.

— Cha, cha! — zaśmiał się George uprzejmie i ze swobodą. Stał się już typem człowieka, który nie śmieje się często, lecz od czasu do czasu potrafi się serdecznie śmiać, gdy słyszy dobry dowcip.

— A zatem niech będzie, co chce, jak mówią Anglicy — odparł Jeffrey, również wybuchając śmiechem. Zwrócił się do Posy. W jego głosie była teraz typowa irlandzka nuta, a na twarzy znaczył się ten ironiczny tajemniczy uśmiezek.

— A zatem wsiadaj, Posy, podaj mi rękę.

Ujął jej dłoń. Poczowała taki sam dreszcz szczęścia, jak wówczas, gdy podawał jej rękę przy wsiadaniu do łodzi płynącej po Nilu. Uczyniła tylko to, do czego ją skłonił.

Głośny warkot motoru zagłuszył gwar rozmów. Obejrzała się teraz jeszcze poza siebie... ludzkie twarze poczęły maleć.

(„To wszystko stało się tak prędko, jakby sceny filmu przesuwwały się na ekranie”, opowiadała później Sybila Turner swojemu mężowi. „Nigdy w życiu nie widziałam nic podobnego! Słyszałam, jak Jeffrey zawołał «Do widzenia!» i samolot wzniósł się w powietrze, zanim Hiszpanie zdolali cokolwiek powiedzieć. Cudowny był ten wzlot. Po chwili byli już wysoko, zdawali się płynąć. Jeffrey zatoczył koło nad ogrodem i wzniósł się jeszcze wyżej. Powiadam ci, Guy, serce biło mi jak młotem. Pomyślałam: Okrążą jeszcze raz ogród i wylądują. Przecież mają tylko dziesięć minut czasu. Na pewno Posy powie: «Wracajmy». Jeffrey dał jej przecież słowo, że natychmiast...”)

*

Posy, siedząc w samolocie przy akompaniamencie warkoczącego motoru, rozkoszowała się tą chwilą, kiedy koła oderwały się od ziemi i maszyna poszybowała w powietrze. Rozkoszowała się tą chwilą przebywania w towarzystwie

ukochanego. Kochała go naprawdę i teraz nie odczuwała ani cienia goryczy. Plotka, która ich rozłączyła, rozplynęła się w powietrzu jak mgła i niech chociaż to trwa dziesięć minut, co za różnica, myślała dziewczyna, płynęli przecież razem w powietrzu. Te dziesięć minut należało niepodzielnie do niej.

(„Stałam tak, Guy, patrząc na zebrany tłum, na narzeczonego, na Harolda Stirlinga i jego żonę, na druheny, na rodzinę Stout-Cortezów, na całe mnóstwo gości i na służbę pałacu Cloisters, na te dzieci ze wsi, dźwigające koszyki napełnione płatkami róż; niektóre upuściły je z rąk, wpatrzone we wznoszącą się w powietrze maszynę. Wszyscy obserwowaliśmy samolot", opowiadała dalej Sybila swemu mężowi. „Całkiem bezwiednie zaczęłam przesuwając w palcach perły, które miałam na szyi, i powtarzałam cichutko: Wróć, nie wróć, wróć, nie wróć").

Posy, siedząca w samolocie, usłyszała w pewnej chwili głos nachylonego nad nią pilota:

—Posy, czy nie mówiłem, że nie pozwolę na to, aby twój ślub odbył się beze mnie? Pamiętasz?

—O, tak, pamiętam.

Czy istniało takie słowo przez niego wypowiedziane, którego by nie pamiętała? Od owego pierwszego spotkania na zboczu góry, tam w domu, wszystko, co Jeffrey mówił— podczas jej pobytu w Oxfordzie podczas tego słonecznego dnia na Riwierze i po wypadku we Francji, podczas owego wieczoru w Egipcie — pozostało na zawsze w sercu Posy.

*

(„I nagle usłyszałam, jak jedna z drухen zaszczebiotała: «Przypuszczam, że on wie, jak daleko może lecieć. Też znalazł sobie czas na wycieczkę samolotem! Czy Mr O'Brien wie dokładnie, o której ma być ślub? Może się spóźni?»

Zwróciłam się do dziewczyny: Cokolwiek by się stało, Jeffrey O'Brien na pewno na żaden ślub nigdy się nie spóźni").

—Posy! Mam pozwolenie w kieszeni. Pozwolenie na ślub. Urząd stanu cywilnego zezwala na to, aby Jeffrey Terence Anton O'Brien i Gwyneth Winifred Wynn zawarli związek małżeński w dniu dzisiejszym o godzinie trzeciej. Czy słyszysz, najdroższa?

—Słyszę.

—Doskonale. Możemy znaleźć się w urzędzie stanu cywilnego za kilka minut. Na lotnisku Croydon będzie na nas czekać auto. Posy, zastanów się, zastanów się i daj mi odpowiedź... — Chwila nagłego milczenia, letni wiatr dął teraz mocniej. — Czy mnie słyszysz?

—Słyszę...

—Posłuchaj teraz głosu własnego serca — mówił Jeffrey. — Myśl tylko o tym, że w dniu dzisiejszym możesz zostać moją żoną. Nie myśl o tamtym towarzystwie, które czeka, nie myśl o tamtym związku. Będiesz szczęśliwa przez całe życie i ja także. George'a Stirlinga już nie uszczęśliwisz. Zwróć się do człowieka, którego Bóg przeznaczył dla ciebie.

—Nie, nie — zawołała Posy, bo odezwała się w jej duszy nagle uczciwość.

—Teraz masz ostatnią sposobność. Dziesięć minut już upłynęło. Przysięgam ci, że wrócimy, gdy tego zażadasz. Czy chcesz wrócić? Weź pod uwagę, że w tej chwili jest to kwestia życia i śmierci. Musimy lądować.

Przed oczami jej wyobraźni zamajaczyły twarze tłumu w kościele, regularny profil George'a, witraże w oknach, twarz księdza i wypowiedziane głośno słowa: „Nie opuszczę cię aż do śmierci...” Nagle usłyszała własną stanowczą odpowiedź:

—Nie!

—Więc chcesz się połączyć ze mną?

Usłyszała ten kochany, młodzieńczy śmiech Jeffreya, spojrzała w jego twarz, pałającą uczuciem, w obramowaniu skórzanego hełmu. Usłyszała głos Jeffreya: „Chcę, żebyś dzieliła ze mną wszystko w życiu. Zawsze cię kochałem...”

W ostatecznej rozpacz, lecz zdecydowana powiedziała:

— Tak!

Jeffrey milczał, tylko po chwili samolot poszybował na północ...

(„Po chwili dostrzegłam, jak maszyna ruszyła w kierunku północy, Guy. Na niebie ukazał się wielki biały obłok. Samolot był czarny na tle tej bieli. Potem

zaiskrzył się srebrem w blasku słońca i wiedziałam już, że jest po wszystkim i że lepiej będzie, gdy wrócę do miasta i zaczekam w domu na telefon Jeffreya").

*

Na lotnisku Croydon czekał samochód. Cały był przystrojony kwiatami, czerwonymi różami, heliotropem, werbeną i tuberozami — wszystkie najcudowniejsze kwiaty kończącego się lata.

—Więc byłeś pewny swego... A gdybym się nie zgodziła? — zapytała Posy, radośnie uśmiechnięta.

—Wówczas te kwiaty znalazłyby się na moim grobie — odpowiedział z powagą narzeczony.

—Ale pozostawiłeś to wszystko na ostatnią chwilę, Jeffrey! Nie mogłeś zatelefonować albo zjawić się wcześniej?

—Nie chciałem ryzykować. Mogłabyś mnie wówczas nie usłuchać. Za dużo było czasu. Wiedziałem, że to jest jedyna dla mnie okazja. Byłem przygotowany na porażkę lub na zwycięstwo. A co ty trzymasz w ręku, najdroższa?

—Ach! Zupełnie zapomniałam — jak dziecko ścisnęła w dłoni wianuszek z kwiatem pomarańczy. — To przysłała mi moja matka, ale na ślubie miałam wystąpić w brylantowym diademie...

— Na naszym ślubie wystąpisz w tym wianuszk! Własnoręcznie włożył wianuszek na jej ciemną głowę, przystroił nim szyfonowy szal Sybili, który nagle przeobraził się w ślubny welon.

— Czekaj. Jeszcze jedno — zawołał i pocałował ją w usta, po czym opuścił welon na jej zarumienioną twarzyczkę. — Po raz drugi pocałuję już własną żonę.

Gdy wchodzili do urzędu stanu cywilnego, zdjął z jej ramion długi jasny płaszcz. W białej sukience, w białym welonie przystrojonym wianuszkiem z kwiatem pomarańczy przestępowała próg kancelarii, radosna i szczęśliwa panna młoda.

—Tak, to już będzie wszystko, Mrs O'Brien — oświadczył życzliwie urzędnik, gdy podpisała się w wielkiej, oprawnej w skórę księdze. — Nie pozostaje mi nic innego, tylko życzyć państwu szczęścia...

—Sądzę, że pańskie życzenia się spełnią, sir — uśmiechnął się pan młody, wyciągając do urzędnika rękę — jeżeli prawdą jest stare przysłowie, że „to jest szczęśliwe, co nie trwa długo”.

— Tak? — zdziwił się urzędnik, patrząc z zainteresowaniem na piękną parę.
— Więc narzeczeństwo było krótkie?
A panna młoda odpowiedziała nieśmiałym głosem, jakby nie była jeszcze pewna, czy przypadkiem to wszystko nie jest snem:
— Istotnie, nasze narzeczeństwo nie było długie!

TLR